



CUDA SIĘ ZDARZAJĄ,  
BO... KTO SZUKA,  
TEN ZNAJDZIE.

Matylda Man

# Trzeba marzyć

Prószyński i S-ka

Matylda Man

# Trzeba marzyć

Prószyński i S-ka

Copyright © Matylda Man, 2017

Projekt okładki  
Sylwia Turlejska  
Agencja Interaktywna Studio Kreacji  
[www.studio-kreacji.pl](http://www.studio-kreacji.pl)

Zdjęcie na okładce  
© Ebru Sidar/Arcangel Images

Redaktor prowadzący  
Michał Nalewski

Redakcja  
Ewa Charitonow

Korekta  
Sylwia Kozak-Śmiech  
Zofia Firek

ISBN 978-83-8123-483-2

Warszawa 2017

Wydawca  
Prószyński Media Sp. z o.o.  
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28  
[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

Dla M., dla B.

Wszelkie postacie występujące w książce są fikcyjne, zaś ich podobieństwo do kogokolwiek jest niezamierzone.

*Kark wyjął z kieszeni nową lepszą wersję siebie i popatrzył z uznaniem.  
Wszystko było pod kontrolą.  
Całe życie miał w komórce.*

*Pani Irena mówiła, żeby marzyć.*

Żeby coś się zdarzyło,  
Żeby mogło się zdarzyć,  
I zjawiała się miłość,  
Trzeba marzyć.

I patrząc na pełną niedowierzania niespełna trzydziestoczteroletnią twarz Jagody, uśmiechała się i dodawała, że w życiu i w marzeniach trzeba sięgać gwiazd.

I żeby uważać na to, o czym się marzy, bo nie daj Boże, może się spełnić.

W ostatnich latach życia dziadek mawiał tak:

– Jagódka, musisz wiedzieć; ty, Baśka, też słuchaj. Obie słuchajcie. Jagoda, zapamiętaj, bo mieszkanie będzie twoje. Powiem o opłatach. Czynnosc wynosi pięćset pięćdziesiąt złotych. Co roku są podwyżki. Plus opłaty za prąd i gaz. Raz na rok trzeba zapłacić podatek od nieruchomości i podatek od dzierżawy wieczystej. Prawie osiemset złotych.

My z babcią odłożyliśmy na pogrzeb, więc nie musicie się martwić. Najważniejsze, żebyśmy leżeli razem. Człowiek musi leżeć razem. Kamieniarz kończy robić tablicę. Chcemy mieć z babcią ładny pomnik. Jasny. Ciemny od razu będzie upačkany. Nad zdjęciami się waham. Może ślubne będzie najlepsze?

Uprzedzając o wysokości opłat za mieszkanie, dziadek nie uprzedził ani Jagódki, ani córki swojej, Baśki, że mieszkanie, owszem, na wnuczkę zapisane zostanie, ale warunek jest jeden. Jagoda może się wprowadzić tylko jako mężatka. Dziadek był rozczarowany kondycją tak zwanego młodego pokolenia, czyli pokolenia urodzonego po wojnie. Według niego wszyscy się parzyli jak króliki i rozwodzili, jak tylko pojawił się problem. „A życie to nie bajka”, napisał dziadek w testamencie.

„I wolą moją jest, żeby Jagoda Barska, córka mojej córki Barbary, a moja wnuczka, żyła tak, żebyśmy się z moją żoną, a jej babcią, w grobie nie przewracali. Nie będziemy folgować wolnym związkom”.

A matka Jagódki, Barbara Barska, która w młodym wieku została wdową, wieszczyła tak swojej Jagódce:

– I ty wyjdiesz kiedyś za mąż i sama zobaczysz. A jak zostaniesz matką, to dopiero zobaczysz. Sama się przekonasz. Wspomnisz moje słowa.

I Jagoda nie wiedziała, czy bać się, czy cieszyć.

A ciotka Malina, siostra Barbary, kiedy po trzydziestu latach szczęśliwego, według niej, pożycia (nic nie musiał robić, wszystko miał pod nos podane) odkryła, że jej mąż ma romans z sekretarką, przez pierwszy rok od demaskacji mówiła tak:

– Basia, Basia, to ty? Śpisz? Baśka, ale jak on mógł? Jak mógł? JAK MIECZYŚLAW MÓGŁ MI TO ZROBIĆ? Mnie i DZIECKU? Basia, czekaj, to ja ci przeczytam, co było w tym esemesie. Słuchasz? Czy piłam? Nic nie piłam, Baśka. Nie piłam, nie jadłam. Tyle co kurczaka z różną zjadłam. Nie mam głowy do jedzenia. Baśka, jestem wrakiem człowieka. Wrakiem kobiety. Nie, nie chcę, żebyś przyjeżdżała. Będę siedzieć po ciemku, sama. Nie chcę nikogo widzieć. Basia, Basia, dlaczego mnie to spotkało? Za tyle serca? Powiedz mi po co? Po co ja się tak poświęcałam? Całe życie tylko mąż i syn, syn i mąż. To teraz mam. Męża nie mam. Syn w Niemczech, nigdy już nie wróci. No, syn nie wróci, Baśka. Do czego miałby tu wracać? Ja ci mówiłam, ile on na godzinę zarabia? Jako programator? Programista, Baśka, nie musisz mnie poprawiać. Jakbyś taką tragedię przeżyła, to jest, tego... Niech ci będzie. Co przeżyłaś, Baśka, to przeżyłaś. Twój przynajmniej uczciwie umarł. Baśka, może ja teraz bluźnię, grzech popełniam. Ale czy nie byłoby lepiej, gdyby Mieczysław umarł? Baśka, wyc się chce!

Beata, jedyna przyjaciółka w wieku Jagody, przez lata mówiła tak:

(...)

Chociaż właściwie nic nie mówiła. Sprawy sercowe były poza nią. Beata miała nadwagę i głębokie przekonanie, że każdy dodatkowy kilogram oddala ją od prawa do miłości i wszystkiego, co za tym idzie.

Błędem byłoby natomiast myśleć, że do czasu osiągnięcia wąskiej talii nie miała Beata doświadczenia w ważnych w życiu człowieka sprawach cielesno-miłosnych. Otóż miała. Jakiekolwiek, bo jakiekolwiek, ale miała. A jakże. Ostatnie, które według wiedzy Jagody było także pierwszym i jedynym, miało



miejsce w czasach studenckich i zaszło w okolicznościach mazurskich szuwarów. Ośmielenie przyszło po pełnym wrażeń Dniu Strażaka, podczas którego serwowano nie tylko grochówkę, ale i piwo gratis. Beata, objedzona zupą, lekko napita, legła w słońku pod bramką do piłki nożnej i z tego wygodnego miejsca obserwowała rywalizujące ze sobą na sikawki zespoły strażackie z okolicznych wsi. I taką pełną, senną i zarumienioną dostrzegł niejaki Adaś, kawaler z pobliskiej wsi. Strażak nad strażaki. W cywilu – rolnik.

Adaś lubił duże kobiety, bo jak mówił: „widzę, na co patrzę”. W dodatku panna nie była miejscowa, co podnosiło jej atrakcyjność. Biegając z sikawką i gasząc pozorowany pożar, strażak-ochotnik czuł, że prawdziwy żar wzniecił się w nim, dokładnie w środku, i ogień ten musi bezwzględnie ugasić. Jako że były to czasy przed polską edycją programu *Rolnik szuka żony*, miał uwieść pannę urokiem wsi i perspektywą sielanki do końca życia, przedstawiciel zwycięskiej drużyny ochotników, wąsaty i o płowej czuprynie strażak Adaś, podał Beacie ręką, wymówił swoje imię i zaprosił na spacer.

Spacer zakończył się w okolicznych zaroślach scenami miłosnego uniesienia.

Spacery kontynuowane były do końca wakacji, przy czym warto dodać, że w poznawaniu siebie Beata i Adaś obeszlili prawie całe jezioro. Adaś był bardzo na tak. Panna wydała mu się silna i mądra. Był nawet skłonny zaakceptować miastową potrzebę studiowania. A Beata, owszem, zjadała przyniesione dary, w postaci domowych dżemów, ciast drożdżowych, swojskiej kiełbasy czy samodzielnie uwędzonego węgorza, ale w chwili czułego pożegnania na przystanku PKS-u podała strażakowi-rolnikowi błędny adres i pomodliła się, żeby niedoszłemu narzeczonemu nie przyszło do głowy jechać za nią na włączony syrenie.

Od tamtych mazurskich nocy Beata nie dała się ponieść namiętności. Postanowiła, że następnym razem rozbierze się, dopiero kiedy osiągnie figurę klepsydry, a wybranek będzie jeśli nie ze stolicy, to co najmniej z kilkusetletniego miasta.

I tak Beata jadła i tyła, tyła i jadła, a lata mijały. Z każdym poniedziałkiem, pierwszym dniem miesiąca, Nowym Rokiem poprzysięgała sobie wytrwanie w kolejnej diecie, a z każdym piątkiem, połową miesiąca czy zaledwie pierwszym kwartałem roku, zniechęcona i sfrustrowana kiepskim rezultatem, zrywała się po zakupy i uzupełniała lodówkę i brzuch artykułami spożywczymi, które wystarczyłyby do wykarmienia czteroosobowej rodziny.

Dla Beaty były to dwie lub trzy nocne uczty. I tak w kółko. Od kolejnego postanowienia, przez kilkudniową dietę, burczenia w żołądku, przejmującego głodu – do utraty cierpliwości i galopu do spożywczego pudełka z lodami, kiełbaski, szyneczki, świeże chrupiące pieczywo, maselko, sery pleśniowe, czekolady z orzechami, eklerki, ciastka ponczowe i bajaderki.

Kawalerowie, którzy nie lubili wieszaków i wodzili oczami za wdziękami Beaty, byli odprawiani z niczym. Bo ona na dobre wbiła sobie do głowy, że miłość nie idzie w parze z nadwagą. Sytuacja skomplikowała się bardziej, kiedy dostała stałą pracę jako jeden z koordynatorów w fundacji na rzecz zdolnej młodzieży ze wsi. Praca była zacna i prestiżowa. Jednak z racji, że w fundacji zatrudnionych było sześć kobiet w wieku od dwudziestu pięciu do sześćdziesięciu plus oraz księgowy (wprawdzie jak na księgowego młody, bo zaledwie po trzydziestce, ale o skłonnościach skierowanych w stronę płci własnej), szanse Beaty na poznanie przystojnego nieznanego zmalały. Natomiast, o ile to możliwe, na etacie jeszcze wzrosła konsumpcja słodczy i wyrobów mącznych.

Sfrustrowana swą jałową egzystencją, ograniczoną do pracy, spotkań z Jagodą i smarkania w mankiet księgowemu o mile brzmiącym imieniu Wit, Beata za dnia jadła i działała na rzecz wsiowej młodzieży, a wieczorami jadła, żarła i oglądała filmy o miłości. Łzy wzruszenia – a może żalu? – spływały po eklerkach, babeczkach i ozdobach tortowych.

Miłość jest nie dla niej, miłość jest dla pięknych i szczupłych, płakała, zagryzając kolejnym ptysiem i pogłaśniając pilotem wyznania czynione przez nie zawsze młodych i szczupłych amantów filmowych zawsze szczupłym i młodym amantkom.

I stało się tak, że którejś sobotniej nocy, w towarzystwie ciasta czekoladowego i lodów waniliowych jedzonych wprost z pudełka, obejrzała Beata jeden z odcinków *Mad Mena*, kultowego serialu o pracownikach nowojorskiej agencji reklamowej. A serial tak ją wciągnął, że lody się roztopiły, zaś czekoladowe ciasto pozostało nietknięte. Nad ranem Beata wyrzuciła pudełko z roztopioną masą, a ciasto pokruszyła ptaszkom. Spała krótko, lecz wyjątkowo dobrze. Pierwszy raz od dawna zapragnęła wyjść z domu, i to niekoniecznie do cukierni.

Po paru miesiącach znała już wszystkie dostępne sezony serialu. *Mad Men* podbił jej serce, i to wcale nie dlatego, że główna bohaterka przez większość odcinków była gruba i brzydka. Beatę uwiodły wszystkie postacie, z reguły

piękne i powabne (nie licząc głównej bohaterki). A już najpiękniejsze wydały jej się stroje. Z podziwem patrzyła na wystylizowane zgodnie z modą lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych aktorki, których świetnie skrojone sukienki tak pięknie podkreślały kobiece kształty.

– Też tak chcę – wyszeptała do siebie Beata na widok grającej w serialu Christiny Hendricks, której łączny obwód w dolnych i górnych partiach ciała musiał przekraczać dwa metry.

Och, też tak chcę! – marzyła, patrząc na poruszającą się z kocim wdziękiem, zagarniającą pełnymi biodrami przestrzeń nowojorskiej agencji reklamowej, kipiącą życiem i seksapilem aktorkę Barbarę, ubraną, jak to do biura, w obcisłą czerwoną sukienkę. Długość za kolano. Albo w maleńki sweterek noszony na sterczącym w szpic biustonoszu typu *coeur croisé*.

O matko, coś pięknego! – ekscytowała się na widok butów na wysokich obcasach. Aktorki poruszały się na nich z gracją i lekkością, jak gdyby chodzenie w szpilkach było umiejętnością wrodzoną. Sunęły na dwunastocentymetrowych słupkach poprzez mięsiste dywany, nierówne chodniki, śliskie jezdnie. Po to, by pozwolić oczom upatrzonemu mężczyzny spocząć na zgrabnej łydce okrytej cienką pończoszką ze szwem i stopie wsuniętej w wytworny pantofel.

Teraz rozumiem Jagodę, doznała olśnienia Beata. I zdecydowała, że czas na zmiany.

W końcu główna bohaterka również przepoczwarzyła się z maślanego pączka w całkiem zgrabną spryculę!

Co najważniejsze jednak, dzięki obejrzeniu kilkudziesięciu odcinków amerykańskiego serialu zdobyła Beata tajemną wiedzę o męskiej naturze i gustach. Kiedy już trochę ochłoneła, a stało się to po jakimś piątym sezonie, była w stanie ukuć opinię, że w gruncie rzeczy mężczyźni są jednostkami o dość przewidywalnych reakcjach i prostym postrzeganiu świata. Powiedzenie: jaki jest koń, każdy widzi, oddawało istotę rzeczy. Dlatego też, myślała Beata, prostym samcom należy dostarczać bodźców, które potrafią odebrać i zinterpretować. Innymi słowy, sylwetka kobiety ma być złożona z elementów wypukłych i sterczących.

Strój ma podkreślać to, co ukryte, i rozpalać męską wyobraźnię.

Dzięki halkom i usztywnianym biustonoszom można wyrzeźbić sylwetkę i nadać jej kształt idealnej klepsydry. Jagódka, na przykład, jest bliska ideału, pomyślała Beata. No, może tylko cycki mogłaby mieć większe.

Nie ma co czekać, trzeba działać. Szkoda tracić czas. *Mad Menie*, prowadź mnie! – podjęła decyzję Beata i wyrzuciła z kuchennych szafek wszystkie poutykane paczki ciastek i czekoladek w sreberkach.

Następnie przejrzała szafę i postanowiła, że już niedługo wymieni całą garderobę na nową. Żegnajcie obszerne swetrzyska i spódnice z gumką! Poszły sio wielgachne sukienki i szerokie tuniki! Będzie biust w szpic, będą smukłe łydki. Krągłe biodra i apetyczne ramiona.

Styl, określony przez stylistów jako *vintage*, wydawał się odpowiedni do przedsięwziętej strategii.

W krótkim czasie Beata schudła (dieta plus ćwiczenia na stacjonarnym rowerku) oraz zamieniła workowate spodnie na ciasną ołówkową spódnicę i sweterek z dekoltem w serek. Zrobiła u fotografa profesjonalną sesję w stylu pin-up girl. Na każdym z dziesięciu zdjęć wyglądała jak z ilustracji do bajki *Rzepka*. Fotografie były tak sugestywne, że oglądająca je Jagoda skojarzyła wypięty zadek przyjaciółki z często słyszonym w dzieciństwie refrenem: „Zasadził dziadek rzepkę w ogrodzie...”. Oj, zasadził. Jędrna i krzepka była ta rzepka.

Z dalszych działań prowadzących do nowego wspanialszego życia: Beata zerwała lokatę w banku i płacąc wpisowe w wysokości półtorej pensji, zapisała się do agencji matrymonialnej. Do sekcji VIP.

Od tego czasu rozpiniała guzik w jedwabnej bluzeczce (czy w moherowym sweterku), tak by wyglądać ponętnie, lecz nie wulgarnie. Porannej garderobie towarzyszyła zaś gorliwa deklaracja – otóż co jak co, i bez fałszywego wstydu, ale ona, Beata, idzie na akord.

Jak każda kobieta, Jagoda marzyła o wielkiej miłości.

Owo marzenie towarzyszyło Jagódce od dziecka, kiedy to dała się ogłupić bajkom czytany przez mamusię i filmom amerykańskiej wytwórni filmowej, propagującym mit Kopciuszka, którego ujawniona dzięki inwestycjom dobrej wróżki w kawałek mydła i porządną sukienkę uroda prowadzi wprost w ramiona blond idioty wystrojonego w białe pończochy i koronę na głowie.

W doroślejszym życiu Jagódka przeszła od bajek do komedii romantycznych, wyobrażając sobie, że pewnego dnia, niczym Audrey Hepburn w *Sabrinie*, będzie się zastanawiać nad przyjęciem awansów od Humphreya Bogarta.

A już tajemnicą poliszynela był fakt, że uwielbiająca książki Jagódka

zaczytywała się w harlequinach. Pokusiła się nawet o wydanie opinii podczas jednej z lekcji języka polskiego, że harlequin jest gatunkiem literackim skończonym, czyli doskonałym. Zbudowanym precyzyjnie, z ciągiem zdarzeń przyczynowo-skutkowym. Forma harlequina jest formą zamkniętą. Chyba do końca życia nie zapomni Jagoda spojrzenia polonistki, która najwyraźniej skończyła studia wyłącznie dzięki punktom za pochodzenie. Polonistka spoglądała na nią jak na zbłąkaną miastową królową, która wie o życiu tyle co nic, a w tym dorosłym nie trafi palcem do... Tu polonistka zebrała się w sobie (była jednak pedagogiem) i rzekła tylko:

– Barska, zapisz. Wszyscy niech piszą. Gibały kopały ziemnie. – Polonistka dyktowała powoli. – Co ja powiedziałam? Ziemnie? Nie ziemnie, tylko torf. Gibały kopały torf.

Asystowanie Kopciuszkowi, śledzenie gęsiareczek i szlochanie na *Pretty Woman* zrodziło w Jagódce marzenie o miłości idealnej, od pierwszego wejrzenia i na całe życie. Na taką miłość warto jest czekać.

Gdyby Vladimir Propp żył współcześnie, mógłby z powodzeniem dokonać reanalizy swojego wiekopomnego dzieła, posługując się li tylko przykładem perypetii miłosnych Jagody Barskiej.

Lata temu, w dziele pod tytułem *Morfologia bajki magicznej*, brodaty uczoney dokonał rozkładu struktury baśni ludowej na czynniki pierwsze. Jego przełomowa praca zachwyciła francuskich strukturalistów, a książka, posługując się terminami współczesnego marketingu, stała się światowym bestsellerem.

Biorąc pod lupę strukturę narracyjną – *wot, dawaj!* – Propp wyodrębnił schemat postaci z przypisanymi im typowymi rolami. I tak w bajce magicznej występują: królowna, jej ojciec, bohater, przeciwnik, osoba wystawiająca bohatera na próbę, pomocnik oraz fałszywy bohater.

Każdy z wymienionych ma do spełnienia określoną rolę. Podejmuje odpowiednie działanie. Do czynów przedsięwziętych przez wymienione postacie należą między innymi następujące działania i przeciwdziałania: zakaz – naruszenie zakazu, odejście, wywiadywanie się przeciwnika, udzielanie przeciwnikowi informacji o bohaterze, podstęp, pomaganie, pośredniczenie, przeciwdziałanie, wyprawa, rola donatora, czyli osoby wystawiającej bohatera na próbę, zachowanie się bohatera, przekazywanie środka

magicznego, walka, zwycięstwo. Cały zestaw zachowań bohatera, to jest: jego powrót, prześladowanie, ocalenie niebogi, żądania fałszywego bohatera. I dalej: zawieszenie poprzeczki, czyli wyznaczenie trudnego zadania, wykonanie trudnego zadania, rozpoznanie, demaskacja, ukaranie. A w końcu ślub i huczne wesele.

Można powiedzieć, że wychowana na bajkach i zafascynowana strukturą harlequinów Jagoda, posiadająca, miast ojca-króla, mamusię, dla której dziecko będzie zawsze dzieckiem, i która wie, co dla dziecka jest najlepsze – otóż Jagoda nie dotarła w swojej, nazwijmy to: strukturze narracyjnej dalej niż do etapu „szkodzenie”. A etap ten mógłby się nazywać „Barbara Barska”, na której jak na przeszkodzie przewracali się nieliczni śmiałkowie adorujący jej córkę w latach licealnych. Podczas nielicznych wizyt domowych kawalerów Barbara Barska tak zawzięcie szorowała szmatą podłogę, że mokry materiał to wsuwał się do pokoju Jagody, to się z niego wysuwał. Kiedy tak szorowała, a do jej nadstawionych uszu nie dochodził żaden dźwięk, oznaczać to mogło najprawdopodobniej przystąpienie jedynaczki i początkującego mężczyzny do czynów lubieżnych. Wtedy otwierała po prostu drzwi i bez względu na porę, ze słowami: „Mnie się wydaje, że już jest późno, i proszę, poproś kolegę, żeby poszedł do domu”, czekała, aż rozpalony młodzieniec drżącymi rękami wsunie rozdeptane obuwie sportowe, pozapina, co rozpięte, i po dwa stopnie sfrunie z trzeciego piętra.

Tak, gdyby Propp żył współcześnie, strukturę narracji mógłby zapisać następująco:

1. Przejrzała królowna, wtórna dziewica marząca o miłości życia do końca życia.
  2. Mamusia – wywiad, służby specjalne.
  3. Wakacyjne miłostki królowny. Ciągu dalszego nie będzie.
  4. Podstępny mamusi, czyli próby wywiadzenia się, czy jest jakiś kawaler.
  5. Rozterki, wątpliwości, lęki królowny: brak dostępnej wiedzy dotyczącej etapu „żyli długo i szczęśliwie” (czyli jak, do cholery?).
- Aha, i punkt zero: Jak poznać, że Romeo to Romeo?

Jak każda kobieta, Jagoda marzyła o ślubie.

Ślub miał być skromny. Tylko rodzina.

Rodzina i przyjaciele.

Rodzina, przyjaciele, koledzy z pracy.

Kiedy skończyła trzydzieści dwa lata oraz niemal rok grzesznego pożycia z obywatelem Szwecji, mężczyzną zonatym, życzenie urodzinowe było proste.

Świadcami ślubu oraz wstąpienia na nową drogę życia (z mężczyzną wolnym – podkreślić „wolnym”) będą: rodzina, przyjaciele, koledzy z pracy oraz sąsiedzi. Być może także znajome panie ekspedientki.

No, może ekspedientki to przesada.

Ale niewykluczone, że doktor Wolski, ginekolog. Miły pan w średnim wieku, który od lat zadawał pacjentce jedno, jedyne pytanie: „Kiedy dziecko?”.

A Jagoda zamykała oczy, zaciskając pięści na brzegu fotela ginekologicznego i pamiętając, że powagę odbiera jej zarówno brak dolnej części ubrania („skarpetki może pani zostawić”), jak i mało stabilna pozycja. Odpowiadała w miarę spokojnym głosem:

– Panie doktorze, nie można mieć dziecka, jeśli się nie ma męża.

Na to doktor Wolski zdejmował okulary, przecierał szkła i nieco skonfundowany ni to odpowiadał, ni pytał:

– Jak to? Z tego, co wiem, można.

A Jagoda na to:

– Jak to? Bez męża?

Tak, zdecydowanie doktor Wolski powinien pojawić się na ślubie, podsumowała swoje życzenie urodzinowe i patrząc na matkę, zdmuchnęła trzydzieści cztery świece na torcie.

Pani Irena była kobietą doświadczoną przez życie.

Pomimo że nie miała żadnego męża, ani własnego, ani cudzego. Tak, można śmiało powiedzieć: znała się na rzeczy jak nikt.

Jagoda lubiła swoją sąsiadkę. Starsza pani miała wyjątkowe poczucie humoru. Subtelna nić ironii oraz niesłychany dystans do świata i siebie w połączeniu z niewinnymi, zielonymi niczym groszek oczami dawały mieszankę piorunującą. Duchem pani Irena nie przekroczyła dwudziestu kilku lat, zwykła natomiast mawiać, że: „na ziemsko mam ze dwieście”.

Gdy tylko Jagoda była smutna – a smutna była przez rok grzesznego związku i kolejne dwa lata lizania ran – często wieczorami schodziła ze swojego pierwszego piętra do pani Ireny. Piły razem herbatę i godzinami rozmawiały o życiu, czyli o mężczyznach. Był to, jak mówiła pani Irena, temat rzeka.

W chwilach większej chandry i zwątpienia pani Irena stawiała przed Jagodą nie tylko herbatę, ale i kieliszek nalewki z pigwy.

– To na serce – mówiła. – Napij się dla zdrowia. Pij, Jagódko, to dla zdrowia, nie dla przyjemności.

I kiedy Jagoda była już pokrzepiona dobrym słowem i dolewką domowego trunku, pani Irena przynosiła z sypialni stare żurnale. Szeleszcząc „Burdą” czy „Vogiem”, obie patrzyły z podziwem na ponadczasowy francuski szyk i niemiecką solidność.

– Życie jest za krótkie, żeby płakać i cierpieć przez mężczyzn. W życiu trzeba iść przed siebie radośnie, z głową pełną marzeń. Robić sobie małe przyjemności, mężczyznom kazać sobie robić duże przyjemności i nauczyć się mówić nie.

Pani Irena nigdy nie powiedziała Jagodzie, że trzeba być pierwszą nawiną, żeby przez rok spotykać się z facetem i nie spytać, czy jest wolny. Bo jak się okazało, był żonaty, a wiadomość o tym spadła na Jagodę jak grom z jasnego nieba. Co gorsza, nie robił z tego tajemnicy. Wystarczyło go spytać. A że nikt nie pytał...

Pani Irena przytulała zapłakaną Jagodę, która przez kolejne dwa lata wypłakiwała sobie oczy po niewiernym i niedoszłym narzeczonemu i coraz bardziej cierpiała, spędzając kolejne święta w towarzystwie matki; gładziła po długich jasnych włosach i spokojnym, ciepłym głosem kołła tak:

– Zobaczysz, pewnego dnia w twoim sercu zakwitnie wiosna. I przyjdzie miłość. A miłość przyjdzie wtedy, kiedy najmniej będziesz się jej spodziewać. Zobaczysz. Zanim się obejrzysz, już zdążysz się znudzić zbieraniem śmierdzących skarpetek.

– Ale ja się już nie spodziewam! – łkała Jagoda nad kawałkiem czekoladowego tortu, z którym prosto po pracy przyszła do pani Ireny, żeby wspólnie opłakać żonatego łososia, tego oszusta Szweda. – Zatem uważam, że powinna już przyjść!

– Przyjdzie, zobaczysz – uspokajała pani Irena. – Nie znasz dnia ani godziny. Nie obejrzysz się, a już wpadniesz w sidła – zażartowała.

I żeby uczcić zdrowie jubilatki, naląła im obu po kieliszku nalewki.

– Twoje zdrowie, Jagódka! I pomyśl marzenie! Pomyślałaś? No to mam nadzieję, że dobrze pomyślałaś. Bo wiesz, marzenia lubią się spełniać.



Z życzeniami i tortem orzechowym, dokładnie takim, jaki lubił nieboszczyk mąż, czekała na córkę Barbara Barska. Emerytka, wdowa i matka Jagody.

Dochodziła dwudziesta i chociaż pani Barbara wiedziała, że teraz młodzi pracują w różnych dziwnych godzinach, a ich szefowie dzwonią w weekendy, święta, w dzień i w nocy, to jednak nie mogła się przyzwyczaić, że jej córka od niemal dziesięciu lat pracuje zawodowo w charakterze specjalisty od marketingu i czegoś tam jeszcze (kto wie, co to znaczy?). Kiedyś nazywało się pracę biurową pracą biurową i wiadomo było, że o 15.30 można było iść prosto do domu. Bo niby gdzie? Pani Barbara stała przyklepiona do okien balkonowych, ale nadchodzącej córki widać nie było.

– Żeby się tylko nic nie stało – martwiła się, bo przecież wiadomo, że zło nie śpi, nieszczęścia chodzą po ludziach. A Jagódka to jej sens życia, jej oczko w głowie, córeczka tatusia, grubasek kochany. Boże, swoją drogą, jaka ta dziewczyna naiwna! Niedojrzała. Nedorosła. Wciąż sama. Gdyby była dorosła, nie byłaby sama. Dziecko we mgle.

Rozmyślania rodzicielki przerwał chrząst zamka.

– Wreszcie. – Pani Barbara poderwała się i lekkim truchtem, w skórzanych kapciach z bazaru, rzuciła się do drzwi.

W progu stała lekko zawiana jubilatka. W dłoni trzymała pęk kluczy i starając się przybrać minę niewinną i trzeźwą oraz utrzymać pion moralny, z godnością przywitała rodzicielkę donośnym:

– Cześć, mammo.

Posilona pigwówką i wybraniem wzoru sukienki ażurowej, którą pani Irena wydzierga ulubionej Jagódce, by kusiała wdziękami, kiedy już będzie kogo kusić, gotowa była przyjąć życzenia od najbliższej osoby na świecie.

– Jagódko... – Matka matczynym gestem objęła jedynaczkę. – Piłaś? – Oderwała się od całowania policzków córki. – Jezus Maria. Dziecko, co się z tobą dzieje?

– Mammo. – Jagoda starała się odwrócić głowę. – Nic nie piłam. To znaczy, piłam. Urodzinowy kieliszek z panią Ireną.

– To pani Irena pije? Kto by pomyślał? Co za tragedia, starsza kobieta... – Matka wydawała się wstrząśnięta. – Ja podejrzewałam, że coś jest nie tak. Ona się często zatacza i pachnie tak jakoś, hm, spirytusem. Jezus Maria...

– Mammo, na miłość boską! Przecież ona ma cukrzycę. Jakie zatacza, co zatacza? Zawroty głowy ma kobieta! Pije? Ona pije, ale krople ziołowe! Jaki spirytus? Mammo!

– Nie wiem, nie wiem – powtarzała matka. – Nie masz innych koleżanek?  
– Nie mam. Mam Beatę. Ale Beata jest na spotkaniu w sprawie męża.  
Określa kryteria – odpowiedziała z wysiłkiem Jagoda.  
– O Boże, dziecko, świat zwariował. Jakie kryteria? Co się z wami, młodymi, dzieje? Dlaczego ty wciąż jesteś sama na tym świecie? Sama, bo nie wiadomo, ile mi czasu zostało! – Matka uderzyła w rzewne tony. – Jagódko, dziecko moje. Życzę ci, żeby wszystkie sprawy ułożyły się po twojej myśli! Żebyś nie była sama. Żeby wiesz, kto był. Ojciec na pewno też by tego chciał. I dziadek napisał o tym w testamencie. Wiesz czego? Kogo? – Na wszelki wypadek upewniała się matka.  
Ale Jagoda dostała czkawki.

– Basia, śpisz? Basia, idź, obudź Jagodę, niech dziewczyna nie myśli, że ciotka zapomniała o jej urodzinach. Basia, nie mogę w takim stanie rozmawiać. Basia, przekaż Jagódce, że życzę jej, żeby jej nigdy takie nieszczęście, jak mnie, nie spotkało. Żeby spotkała na swojej drodze życia wyjątkowego męża. Żeby nie znała żadnych sekretarek. Żeby życie jej tak nie skrzywdziło, jak mnie, Baśka, mnie, która nie jem, nie piję, tyle co tego kurczaka z różną zjem kawałek, żeby się całkiem nie przekręcić. Z rozsądku coś jem, Baśka. Nic nie jem. Przekażesz, Jagódce?

Wieczorem przed snem Jagoda Barska dokonała stosownego w dniu urodzin podsumowania:

Otóż Jagoda miała – przede wszystkim Jagoda miała – nieułożone życie. Na dramat ten składały się: skończone trzydzieści cztery lata, jeden długi, bo prawie trzyletni związek z dentystą i protetykiem, poczciwym Danielem, porażka życiowa w postaci związku pozamałżeńskiego z obywatelem Królestwa Szwecji, skryte marzenie o własnym ciepłym domu, z własnym mężczyzną, skryte marzenie o ślubie, mieszkanie po dziadkach, samodzielne, bez kredytu (co, jak mawiała ciotka Malina, zwiększało jej szanse na małżeństwo), obarczone klauzulą, która prowadziła Jagodę prosto do depresji i niniejszego podsumowania.

W przypadku wspomnianej klauzuli... Może kiedy Jagoda miała dwadzieścia kilka lat, pocieszenie jej, że na pewno niedługo pozna miłego chłopaka i zacznie z nim wic wspólne gniazdko, miało jakiś sens.

Kiedy skończyła trzydzieści dwa, mamusia powiedziała tylko:

– I co, sama byś w domu sterczała, niczym przysłowiowy kołek. Nie dramatyzuj. Masz swój pokój, zawsze możesz koleżankę do siebie zaprosić.

Ponadto Jagoda miała dobrą pracę na stanowisku samodzielnej kierowniczki, kierowniczki bez zespołu, kierowniczki tyrającej za nieistniejący trzyosobowy zespół, kierowniczki działu marketingu i public relations w szwedzkiej, nastawionej prorodzinnie firmie logistycznej. Oraz matkę-mamusię.

Przede wszystkim Jagoda miała mamusię. Mamusię, która wychowała Jagodę sama. Sama.

Kiedy jej mąż zmarł, umarł, przyszedł z pracy... Miał pracę biurową, wcale nieciężką, ale może czasy były ciężkie? Więc przyszedł z pracy, uśmiechnął się blado, usiadł w fotelu i zmarł na serce. Bez obiadu.

Jagoda miała wtedy pięć lat i z życia rodzinnego pamiętała tylko, że tatuś był często blady, siedział w fotelu i pił bladą herbatę. Mamusia nie pozwalała mu ruszyć się z fotela, niech siedzi taki blady. Zresztą co mężczyzna po studiach miałby robić w domu? Ani gwoźdźnia nie wbije, ani zlewu nie przetka. Mężczyzna po studiach nie jest od gotowania i prasowania. Mężczyzna po studiach jest od zarabiania groszy na życie i załatwiania raz na rok turnusu wczasowego. Z mężczyzną po studiach nie ma nawet o czym rozmawiać. Wszystko musi wydawać mu się takie banalne. Przyziemne. Dlatego Barbara wolała się nie odzywać, a podziwiać. Wobec czego pytała tylko swojego wykształconego męża, jak mu minął dzień.

– Nic ciekawego – odpowiadał tatuś i łykając bladą ogórkową, pytał o to samo mamusię. I nie czekając na odpowiedź, pytał, co na drugie.

– Nic ciekawego – odpowiadała mamusia, zadowolona z faktu posiadania małżonka wykształconego i kulturalnego. – Mięso – uzupełniała odpowiedź i oddalała się do kuchni.

Oprócz tych rozmów i wczasów raz do roku, podczas których kulturalny i wykształcony tatuś spał nad jeziorem przykryty gazetą, a mamusia latała od piekarni do GS-u w poszukiwaniu tego, czego nie było w mieście, na przykład ekspresu przelewowego, Jagoda nie zapamiętała nic więcej. Żadnej interakcji pomiędzy rodzicami.

Nawet do kościoła nie chodzili razem. Osobno zresztą też nie. Nawiasem mówiąc, kwestie wiary były zagadnieniem dość często poruszonym przez dziadka, który mawiał:

– W coś trzeba, dziecko, wierzyć.

I wysyłał babcię ze święconką do kościoła, twierdząc, że gdyby miał tyle lat, co ona, to sam by poleciał. A tak, to niech babcia chodzi. Jest dużo młodsza. Całe pięć lat.

Według Jagody, robienie z bez mała osiemdziesięcioletniej staruszki żwawej dzierlatki było co najmniej odważne społecznie. Ale dziadek był silną osobowością, a babcia była młodsza. I koniec dyskusji.

Na myśl o dziadku Jagoda uśmiechnęła się od ucha do ucha.

Do końca życia był aktywny i pełen pasji. To właśnie on nauczył Jagodę robić ludziki z kasztanów i zaraził pasją czytania.

W myślach uzupełniła życzenie urodzinowe: żeby mąż był pełen pasji. Żeby nie było blado.

Barbarze – którą znała od czasu, kiedy ta jako młoda mężatka zastukała do niej, sąsiadki z parteru, spłoniona ze wstydu, że zabrakło jej soli, a pani Irena dała sól i poradziła, jak doprawić sos chrzanowy; która w piątym roku małżeństwa nagle została wdową – pani Irena powiedziała wówczas tak (i przez całe lata powtarzała):

– Basiu, jesteś taka młoda, za młoda na wdowę. Masz zaledwie dwadzieścia kilka, trzydzieści kilka lat. Czterdzieści... Pięćdziesiąt. Powinnaś się z kimś związać. Znaleźć męża dla siebie, ojca dla Jagódki. Dlaczego skazujesz się na samotność?

Ale lata mijały, a Barbara tylko mocniej zaciskała usta i kręciła przecząco głową.

– Nie, nie, dla mnie życie się już skończyło. Ale wszystko przed Jagódką. – Wskazywała na maleńką córeczkę. – Niech ona trafi na dobrego męża, a ja będę najszczęśliwszą matką na świecie.

I Basia, ciągnąc za tłusciutką rączkę małą Jagódkę, szła na swoje trzecie piętro i żeby zapomnieć o samotności i słowach sąsiadki, zabierała się do sprzątanía. I nic to, że całe mieszkanie lśniło, podłogi świeciły, na lustrach nie było znać ani zacieku, ani plamki, firanki pachniały świeżością, a włos na puchatym dywanie w dużym pokoju nie zdążył jeszcze opaść po działaniu elektroluksu.

– Odgruzować, odgruzować – powtarzała i przesuwając się na kolanach, precyzyjnie czyściła fugi w łazience.

Jagoda pamiętała, że mama opowiadała swoim rodzicom o radach sąsiadki. I w oczach miała niemą prośbę, by jej rodzice tchnęli w nią nadzieję na nowe lepsze życie.

Ale dziadek prychnął, parsknął i chodząc po kuchni, mówił tak:

– Baśka, to byłby tylko kłopot. Jedno miejsce zajął twój mąż, dwa są dla mnie i dla babci, no, dla twojej matki. Zostaje jedno. Dla ciebie. Widać rodzina twojego męża nie myślała perspektywicznie. Jagódka, kiedy dorośnie, będzie musiała położyć się obok swojego męża. Malina jest załatwiona, Mieczysław weźmie ją do siebie. Więc jak to widzisz? Napisy już są. Wystarczy uzupełnić daty. Więcej się na płycie nie zmieści.

A babcia, przytakiwała:

– Tak, tak, ojciec ma rację. Zrobi się tłok.

Więc Barbara, nie chcąc nikomu sprawiać kłopotu, nie przedsięwzięła szukania męża, nawet z własnym grobowcem.

Z godnością przyjęła status wdowy, rolę samotnej matki i z każdym rokiem coraz bardziej poświęcała się swojej córce.

Kiedy Jagoda i Beata miały mniej więcej po dwadzieścia lat, stan ich był wolny, a cnota uchowana diabli wiedzą jakim cudem. Przy czym w ich mniemaniu były na początku drogi życiowej (dla porównania samotna indyjska kobieta w tym samym wieku leżałaby zapewne na zapleczu), poczęły zatem snuć wyobrażenia o chwili, która nadejść musiała: że na drodze życia pojawi się ten mężczyzna, wyjdzie się za tego mężczyznę, będzie się żoną, będzie się miało męża. I wreszcie – będzie się miało prawdziwe zajęcie.

Fakt, że mąż pojawi się prędzej czy później, był według dziewcząt niezaprzeczalny. Natomiast pojawiły się pytania kluczowe: Kto to będzie? Jaki będzie? Czy będzie się go lubiło, kochało? I wreszcie najważniejsza sprawa: co się będzie z mężem robiło? Były to ważne pytania. Zwłaszcza dla Jagody, która mało co pamiętała ojca, a jeszcze mniej pożycie rodzinne.

Inaczej, chociaż nie lepiej, było u Beaty. Jej rodzice byli rozwiedzeni, ale mieszkali razem. Każde miało swój pokój, zamykany na klucz. Mówili do siebie w trzeciej osobie, ale na przykład do kościoła chodzili razem. Do kościoła i do biedronki. Chociaż czasami ojciec Beaty mówił do matki:

– Nie pójdę z nią, ponieważ nie dysponuję wolnym czasem.

Oznaczało to: poproś mnie ładnie, a może się zgodzę.

Jak to będzie? Jak będzie? Kim będzie mąż? Nasz mąż? Jagoda i Beata zadawały sobie, oraz wzajemnie, te czysto retoryczne pytania.

Nie było jednej odpowiedzi.

Mąż mógł być wyjątkowy.

Mądry, przystojny, zabawny.

Czarujący.

Mógł być także idiotą.

O poziomie inteligencji niższym niż stan wody w płytkiej kałuży.

Mężem mógł być każdy.

Mężem nie mógł być każdy.

I tak, w okolicznościach czy to wakacji, niedzielnych spacerów czy nocnych rozmów, wśród pisków i chichotów, łez i tęsknych westchnień, wymieniały się wizjami, jak to małżeńskie życie będzie wyglądać.

Będzie wspaniale. Nie będzie wspaniale. Mąż będzie wyjątkowy. Wkrótce po ślubie okaże się nudziarzem. Ogier w sypialni. Pod względem alkowy kompletny nietot. Z każdego dnia będzie potrafił zrobić święto. Skąpy. Skąpy skąpiec. Nawet Moliere by się brzydził. Przystojny. Hm, nie wiadomo, co się stało, ale zbrzydł okrutnie... Potrafi gotować. Pluje przy jedzeniu. Często mówi „kocham”. Nic nie mówi. Najwyżej pyta, czy starczy mu majtek na wyjazd służbowy.

Najchętniej sprawy przyszłego pożycia omawiały, wiosłując po mazurskich jeziorach, płosząc tym samym nie tylko ostatnie sielawy, ale i cudzych mężów-wędkarzy ukrytych między pałkami wodnymi, którym chichot wynikający z pytania, co robi mąż w domu i po co, przypominał, żeby następnego dnia udać się na ryby jeszcze wcześniej, a najlepiej na całą noc.

W późniejszych latach refleksje dotyczące pożycia dopadały Jagodę i Beatę w okolicznościach nieadekwatnych do podobnych roztrząsań. Najlepiej myślało się im podczas zebrań w pracy czy w trakcie opracowywania planów kwartalnych.

Będzie mnie uwodził nawet dziesięć lat po ślubie. Odgadnie, że marzę o kursie groomerskim.

Teściowa będzie prawdziwym skarbem. Duszą domu. Będzie spluwała ukradkiem do jedzenia.

Teść nie będzie potrafił jeść sztuccami.

Paznokcie u stóp męża będą zielone. Twarde i zrogowaciałe.

„Będzie mu śmierdziało z dupy i z gaci”, przypomniała sobie Jagoda jedną

z ulubionych fraz z Tarantina. I obie z Beatą aż popłakały się ze śmiechu.

Skąd przychodziły im do głowy takie, a nie inne wyobrażenia, nie wiadomo. W każdym razie im dłużej były same i im bardziej marzyły o spotkaniu prawdziwej miłości, i im więcej rozmawiały o tym, jakie chciałyby mieć rodziny, mężów, dzieci, teściów, tym bardziej ich wyobrażenia ciągnęła w stronę, którą można by uznać albo za absurd, albo za antycypację.

A już największą radość sprawiały im obserwacje w terenie. Ludzie złączeni w pary zachowywali się różnie, żeby nie powiedzieć abstrakcyjnie. Mówili jedno, robili drugie. Co przy tym myśleli? Nie wiadomo. Tak, podglądanie cudzego szczęścia, które pod byle pretekstem mogło prysnąć jak bańka mydlana, stało się ich ulubionym zajęciem.

Jako że temat przyszłego pożycia był ważny, żeby nie powiedzieć najważniejszy, a nie zawsze była możliwość, żeby się spotkać i podzielić nowym, i wychichotać nową wizję, przyjaciółki poczęły spisywać swoje świadectwa. Dla potrzeb dramaturgii stworzyły postacie Męża, Żony i Przyjaciela Męża, który z racji charakterystycznego wyglądu (wyobrazony mix kibola z trenerem z siłowni) dostał na imię Kark.

Cykl nazwały *Pożycie*, a poszczególne świadectwa, które powstawały w ich głowach, spisywały, w zależności od sytuacji, albo w formie e-maila, albo na odwrocie teczek skrywających materiały konferencyjne, albo na druku podania o urlop. Nie trzeba dodawać, że najlepsze wizje pojawiały się w chwilach, w których spisanie świadectwa bywało trudne czy wręcz niemożliwe. Bohaterską postawą odznaczyła się Beata, która po wybudzeniu z narkozy po zabiegu usunięcia wszystkich ósemek, będąc wciąż pod wpływem „głupiego Jasia”, wybuchła nerwowym płaczem i sepleniąc bolesnymi dźwiękami, zażądała kartki i długopisu. Uspokajała przy tym pielęgniarkę, że nie zamierza spisywać testamentu.

W zależności od potrzeb, Mąż, Żona lub Kark miewali różne zawody, bywali w różnym wieku. Miewali różne problemy. Szereg problemów. Życie ich nie rozpieszczało. Zawsze im było pod górę, a pod nogi ślepy los rzucał im kłody.

Mąż, z samej tylko racji, że był mężem, był dojrzały od Karka, życiowo mądrzejszy. I na pewno bardziej sfrustrowany.

Żona była żoną. Fakt ten uszlachetniał ją, sprawiał, że była dookreślona. Posiadanie męża dawało jej także prawo do ferowania sądów bez sensu, tak zwanego pierdolenia, i zajmowania uwagi społecznej życiem małżeńskim i wynikającymi z tego pożycia problemami.

# Mąż-człowiek

Mąż był człowiekiem. Dobrym człowiekiem. Tak myślała o nim Żona, kiedy znużony po całym dniu pracy, na ostatnich nogach przekraczał próg domu, zzuwał ciasne pantofle i zostawiając mokre ślady skarpet na dopiero co wycyklinowanym parkiecie, zbierał wszystkie siły, żeby odpowiedzieć na pytanie, co zje na kolację.

– Zjem, co jest.

Nie każdego stać byłoby na taki gest.

Zdaniem Barbary Barskiej, jej córka była blada i anemiczna.

Zupełnie jak jej ojciec.

Barbara nie powiedziałaaby o sobie, że jest urodzoną pesymistką, dla której szklanka jest zawsze do połowy pusta. Bo co to znaczy „do połowy pełna”? Albo pełna, albo pusta. Po co się oszukiwać? W skrytości ducha dawała sobie nawet prawo do lekkiej przewagi nad innymi kobietami, którym wszystko szło jak po maśle, których mężowie zarabiali, dbali o domy. A przede wszystkim nie umarli.

Barbara swoje wiedziała. Życie to nie bajka. O, nie. Nieszczęście może się zdarzyć w każdej chwili. Jej Adam też żył, był wykształcony, kulturalny. Do życia wystarczał mu święty spokój i letni turnus wczasowy. I co? I okazało się, że to za mało. Za mało świętego spokoju. Nie uprzedzając nikogo, wybrał podobno ten lepszy świat. Nie, nie, Barbara nie ma żalu do losu, bo cóż los? Ślepy i nierychliwy. Barbara umie pogodzić się z losem. A co, może ma jakiś wybór? Że niby miałyby wziąć sprawy w swoje ręce? Ciekawe jak. No, ciekawe jak! Niech jej ktoś powie, skoro taki mądry. Jak samotna matka z małym dzieckiem ma przeć do przodu? E, głupie gadanie.

Barbara pamiętała, że od czasu, kiedy zmarł jej mąż, pani Irena przez całe lata radziła jej, żeby nie zamykać się w czterech ścianach i dać sobie szansę na



miłość. Ale ona nie wyobrażała sobie, że ma chodzić i szukać. Już to widzi: idzie ulicą i krzyczy: „Szukam, szukam, szukam!”. No nie. Pewne sprawy przystoją tylko mężczyznom. Barbara nie zniżyłaby się do publicznego anonsu.

A poza tym jej własny ojciec tak ją przeraził wizją kosztów pochówku, kucia tablic i tym, że jak się ma pecha, to się ma pecha, że nieszczęścia chodzą parami („Daj sobie, Baśka, spokój, po co ci drugi nieboszczyk? Masz dziecko, zajmij się dzieckiem”), i Barbara tak się przestraszyła, że zostanie podwójną wdową, że wybiła sobie z głowy wszelkie marzenia. Zaczęła nosić się jak pokutnica i nawet koleżanki z biura nie zdołały jej przekonać, że nie ma sensu – Boże, Baśka! – umierać za życia. Baśka odpowiadała, że ona już swoje życie przeżyła. I żyje tylko dla dziecka. Dla siebie nie pragnie niczego. Zresztą nigdy nie pragnęła. Jedyne, czego pragnęła, to wykształconego męża. No, niech mu, świeć mu. Ale dla dziecka trzeba żyć. I pomagać mu w miarę sił. Dziecko musi czuć, musi wiedzieć, że ma wsparcie w postaci kochającej matki. Matki, która żyły, bebechy sobie wypruje, żeby tylko. Jedyne marzenie, to żeby Jagódce się udało. A uda się na pewno, prędzej czy później. Może lepiej już prędzej, bo trzydzieści cztery lata to jest jednak wiek. To znaczy, to już nawet nie jest wiek chrystusowy, to niemal rycząca czterdziestka.

A Barbara sobie nie życzy słyszeć o swojej córce „rycząca czterdziestka”. Ostatnio tak zażartował właściciel mięsnego, kiedy poprosiła o ładne dwieście gramów wołowiny dla dziecka.

Rzeźnik spytał, ile dziecko ma lat.

– Trzydzieści cztery – odpowiedziała zdziwiona Barbara.

A do zdziwienia doszło uczucie niesmaku i złości, bo rzeźnik, nie wiedzieć czemu, zarechotał. A przecież wiadomo, że wołowina jest zdrowa dla anemików, a Jagoda taka blada. Ale dopóki matka jest obok, czujna, gotowa wspierać córkę, walczyć o mięso, wszystko jest dobrze. Wszystko jest pod kontrolą.

Ale co, kiedy matki zabraknie?

Spokojnie. Spokojnie.

Jagódka jest jeszcze młoda, a Barbara ma dużo sił.

Jagódka jest jeszcze młoda i dość ładna.

Co prawda to Barbara ma długie nogi, ale przecież nie mówi się dziecku, że ma iksy.

Może jeszcze Jagódka z tego wyrośnie?

Zresztą dopóki Jagoda nie nabierze rumieńców, to może niech się nie bierze

za małżeństwo.

Może to i lepiej, że jest sama. Na razie. Dwa miesiące wołowiny i zielonej pietruszki i Jagoda będzie gotowa poznać kogoś.

Zresztą nie wiadomo, kto się trafi.

Dzisiejsi mężczyźni tacy słabi. Barbara to wie, bo czyta regularnie rubryki z poradami. Jak wskrzesić konar czy złagodzić objawy hemoroidów. Matka musi znać odpowiedzi na takie pytania, bo do kogo zwróci się dziecko o poradę, jak nie do matki? Barbara uważa, że można bez takich rzeczy żyć, ale Barbara nie jest zacofana i czyta także o takich rzeczach. Im więcej matka wie, tym bardziej może pomóc córce.

Matka Jagody sama najlepiej wie, jakie to nieszczęście stracić małżonka i zostać ze wszystkim na głowie.

Tak, Jagoda zdecydowanie nie jest jeszcze gotowa na małżeństwo.

Był czas, że Barbara myślała, że to już, już. Że Jagoda wyjdzie za mąż. Na samą myśl czuje teraz, że jej ciśnienie rośnie. Jagoda mogła mieć męża już. Zaraz, ile to będzie...? Osiem lat? Czas leci. A tak to ani męża, ani mieszkania, bo dziadek zapisał, jak zapisał. Ale może to i dobrze? Młodym się zdaje, że tacy dorośli... A Jagoda nawet nie potrafiła za mąż wyjść, chociaż mąż był podany niemal na tacy. Taki zakochany. A jaka dobra partia! Dentysta z dentystycznej rodziny.

Barbara położyła dwa palce na wewnętrznej stronie nadgarstka. No tak. Na samo wspomnienie dostawała kołatania. Nawet myśl o nieboszczyku nie budziła takich emocji, jak zaprzepaszczone szansa jej dziecka.

Dlatego jak się trafi druga szansa, a Barbara mocno wierzy, że się trafi, to Barbara nie pozwoli jej zmarnować.

Jej obowiązkiem jako matki jest karmienie Jagódki czerwonym mięsem, żeby nabrała rumieńców. I pomoc w utrzymaniu małżeństwa.

A rzeźnik to cham i prostak. Debil jeden. Nie żeby Barbara chciała idiotcie ubliżyć. Niech się lepiej skupi na wybraniu ładnych kawałków wołowiny dla jej dziecka, żeby dziecko rumieńców dostało. A jak będzie zdrowie, to inne sprawy także się ułożą.

Barbara nabrała powietrza. Nie powinna się tak denerwować i zamartwiać. Dobrze nie jest, ale też nie jest tragicznie.

I niech się rzeźnik nie spodziewa, że się Barbara zacznie wstydić za córkę, że Jagoda jest sama. Bo sama nie jest. Ma matkę.

Wyłożona terakotą podłoga lśniła czystością. Barbara spojrzała z uznaniem

na wynik swojej przejażdżki na szmacie.

– No to odgruzuję łazienkę – powiedziała do siebie i wyciągnęła z szafki pod kuchennym zlewem płyn do czyszczenia fug.

Powinna zrobić remont. Coś się stało z muszlą klozetową, która niespodziewanie zrobiła się mobilna. Powinna wymienić zawiasy w szafkach w kuchni. Wymienić szyny w szafach suwanych. Wycyklinować podłogę w dużym pokoju. Odświeżyć pokój dziecka. Najwyższy czas na remont.

Barbara aż jęknęła. Ostatni remont robiła osiem lat temu, a i to tylko dzięki swojemu ojcu, który do ostatnich lat życia zachował jasny umysł i zdrowy rozsądek. Sam znalazł Baśce ekipę remontową i nadzorował prace.

– Jeśli Jagoda nie wyjdzie prędko za mąż, to zginiecie bez chłopca – przepowiedział wtedy dziadek i z myślą o małym dopingiu, zniesmaczony zepsuciem obyczajów, napisał ten przekłęty paragraf.

Barbara zabrała się do czyszczenia fug. Żeby tak cofnąć czas! – rozmarzyła się. No, nie mogła przestać myśleć o Danielu. Nie mogła. Delikatnie oparła się o mobilną muszlę.

Było tak dobrze.

Widocznie za dobrze.

Gdyby tak cofnąć czas...

Chłopak był miły. Uczynny. Co ważne, miał własne mieszkanie, zatem mieszkanie, które Jagódka pozornie odziedziczyła po dziadkach, można byłoby wynajmować i pomnażać kapitał. Ale nie. Za dobrze było. Było za dobrze i pannie się w głowie przewróciło.

Barbara na samą myśl poderwała się do pracy. Zaczęła z całej siły trzeć szczoteczką czystą fugę.

– Odgruzować, odgruzować – dodawała sobie werwy i jeszcze szybciej szorowała szczoteczką białe linie.

Było dobrze i Jagodzie najwidoczniej odbiło. No bo co innego mogło się stać? Co innego mogło się stać, skoro Daniel był nie tylko wykształcony, ale i ładny? Młody, a samodzielny. Dojrzały. Gotowy do założenia rodziny. Rodziny, w której ona, jako teściowa, byłaby ceniona i doceniana. Z której zdaniem Daniel się liczył. No jak nie liczył? Do tej pory Barbara pamięta, jak kiedyś Jagódka była niemiła dla Daniela i Barbara aż fuknąć na nią musiała. „Przepróż pana Daniela, zachowujesz się jak dziecko!”. Daniel tak się wtedy na nią spojrzał, z szacunkiem. Mądry chłopak. Tak się starał. Szczerze mówiąc, Barbara do tej pory nie rozumie, co Daniela pociągało w jej

krnąbrnej córce. Zawsze powtarzała Jagódce:

– Niech ja doczekam, aż się znajdzie taki, co z tobą wytrzyma.

No i chyba wykrakała, bo ani Daniela, ani nikogo.

Szatyn. Wysoki. Oczy zielone. Mieszkanie urządził. Bardzo zaradny. Jagódka miałaby dobrze. Tym samym Barbara miałaby dobrze. Na samym starcie życiowym, a Jagoda już wszystko gotowe, załatwione by miała.

Barbara z nieboszczykiem to o wszystko sami musieli się starać. Nikt im niczego nie dał. W tym całym nieszczęściu to tyle tylko szczęścia mieli, że na mieszkanie dwa lata czekali. Inni w tamtych czasach czekali i po dwadzieścia, a oni tylko dwa lata. Takie eleganckie mieszkanie w bloku dostali. Pokoiki dwa. Kuchnia widna. Eee, co było, minęło.

Barbara coraz szybciej tarła bielutką fugę.

A Daniel miał dobry zawód. Dentysta. Dentysta-protetyk. Na świecie może być bezrobocie, a dla protetyka zawsze będzie praca. I tak się troszczył o Barbarę. To jest o Jagódkę. Barbara na samą myśl dotknęła językiem wmontowanego mostka. Dobrze, że zęby zrobić zdążyła. A Daniel, tylko patrzeć, a pierścionek by wsunął Jagódce na palec. O Boże. Barbara do dziś pamięta, jak córka wróciła do domu po spotkaniu z Danielem i powiedziała, żeby o nic nie pytać, nie mówić, nie komentować, nie wtrącać się. I poszła do swojego pokoju. Bo dziecko musi mieć swój pokój.

Barbara odruchowo spojrzała w stronę pokoju córki. Powinna wysprzątać dziecku, odkurzyć, zanim dziecko wróci z pracy. Niby Jagódka dorosła, ale wciąż jak dziecko. Jak matka nie posprząta i nie upierze, nie ugotuje, to... Ech. Może kiedyś Jagódka doceni. Może. Bo na razie to jeszcze dziecko z Jagody. Dziecko, bo gdyby była dojrzała, na pewno zastanowiłaby się dwa razy, zanim odeszłaby od Daniela. Barbara do dziś dnia pamięta tamten dzień. Dzień, w którym jej córka zerwała tak perspektywiczny dla Barbary związek. Nawiasem mówiąc, dentystka-protetyk w spółdzielni może jest i miła, ale ma dwie lewe ręce. Barbara ma porównanie.

Następnym razem wezmę sodę, stwierdziła, gdy rozmyślania o kondycji stomatologii oderwały ją od priorytetów. Sodą wyczyszczę, powiedziała sobie, krytycznym okiem spoglądając na białe spoiwo między płytkami łazienkowej terakoty.

Barbara do dziś pamiętała tamten straszny dzień, kiedy Jagoda pogrzebała jej marzenia o małżeństwie. Od śmierci męża nie była tak wstrząśnięta.

– Dlaczego, Jagódko? Dlaczego? – pytała córkę, jednocześnie ścieląc jej

łóżko.

Tak jakby Jagoda wróciła chora i trzeba było ją zapakować pod kołdrę, żeby wypociła głupotę i oprzytomniała życiowo. Ale córka odpowiedziała hardo:

– Mam jeszcze czas.

I zamiast się położyć i wypłakać, po prostu zwierzyć się matce, wzięła prysznic, założyła obcisłą sukienkę i wyszła. Tak po prostu wyszła i wróciła po północy. Gdzie była? W kinie była. Z przyjaciółką. Z przyjaciółką? Z Beatą? W kinie?

– Czy to jest odpowiedni czas na kino i czy wiesz, która jest godzina? – spytała wówczas matka.

Ale Jagoda bez słowa poszła do swojego pokoju.

Czy matka mogła wówczas coś zrobić? Pomóc ocalić związek? Nie mogła. Nawet lekki atak nerwowy i konieczność wezwania karetki nie pomogły.

– Co robić? Co robić? – powtarzała bezgłośnie pytanie, kiedy następnego dnia Jagódka najnormalniej w świecie szykowała się do pracy.

– Co robić? – zapytała teraz, patrząc z nadzieją na lśniącą taflę lustra.

Matka dotknęła nadgarstka. Puls był przyśpieszony. Nieznacznie, ale był. Jeśli był nieznacznie, to nie wiadomo, czy za chwilę nie dojdzie do ataku.

Matka poszła do kuchni i spojrzała na wiszący nad stołem zegar kuchenny. Dziewiąta. Za chwilę powinna mieć atak. Niech Jagódka tylko zdąży dojechać do pracy.

Trudno. W miłości i na wojnie wszystkie środki są dozwolone, rozgrzeszyła się matka i odruchowo dotknęła językiem porcelanowej koronki.

W chwilach napięcia przedmiesiączkowego, kiedy hormony szaleją, a dół i poczucie bezsensu są tak bezkresne, że nic tylko brać sznur – albo najlepiej skopać komuś tyłek, a przy tym jeść lody, ciastka, torty, łyżkami jeść, bez gryzienia, połykać, pochłaniać, śmiać się i płakać, wściekać się, chlipać, zaśmiewać, wydzwaniać do Beaty, schodzić do pani Ireny na kieliszek nalewki; i tak co miesiąc, od nowa, koszmar jakiś! – w takich dniach Jagoda widziała swoje przyszłe życie niczym życie bohaterki z powieści Sarah Waters.

Londyn. Lata trzydzieste.

Mężczyźni, do niedawna żołnierze, nie potrafią odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Są okaleczeni, rozczarowani. Nie mają pracy, zajęcia.

Kobiety, którym wojna odebrała mężów, braci, muszą nauczyć się decydować o sobie. Walczyć o przetrwanie. Pozycja społeczna owdowiałych kobiet jest z dnia na dzień coraz gorsza. Jagoda ceruje swoje ostatnie pończochy. Istny cud, że materiał wytrzyma kolejną łątę. Bieliznę ma tak znoszoną i szarą, że sama myśl, że miałaby zdjąć ubranie, powoduje, że jeszcze bardziej zaciska blade usta i białe uda.

Z dużego pokoju dobiega stękanie. Ktoś woła Jagodę coraz głośniej i głośniej. Nawoływaniom towarzyszy coraz silniejszy stukot laski o podłogę. To matka staruszka woła swoją podstarzałą, przebrzmiałą jedynaczkę.

– Zaraz, mamó! – krzyczy w kierunku matki Jagoda i nalewa cienkie kakao do wyszczerbionych filiżanek.

Nalany płyn musi energicznie zamieszać. Kakao jest tak podłej jakości, że na dnie filiżanki osadza się brązowy proszek, a płyn robi się wodnisty.

Filiżanka kakao to ich rytuał przed snem. Matka wierzy w zbawienną moc naparu. Czasami Jagoda kładzie na talerzyku przy filiżance małeńki maślany herbatnik. Ale herbatników już nie ma. Jagoda zjadła je łąpczywie dzisiejszego poranka; cała truchleje na myśl, co powie matce, kiedy ta zażyczy sobie ciastko.

– Nie powinnaś tyle jeść. Mężczyźni nie lubią tłusciosek – z pewnością powie matka, kiedy odgadnie los maślanych ciastek.

Będą sączyły kakao w milczeniu. Raz tylko matka westchnie i spyta, czy naprawdę to koniec. Że to już wszystko, całe życie? Kilkanaście minut później matka zaśnie, a Jagoda w swoim pokoju będzie bezgłośnie przewracać się z boku na bok, by wreszcie przegrać walkę z bezsennością i wpatrywaniem się w noc szeroko otwartymi oczami.

Wiatr wdziera się przez nieszczelne okna. Jest zimno. Jagoda cała drży.

Nigdy już nie zadrży jak kobieta.

Głodna męskich ramion, zaczyna płakać.

# Fantazje

Od dłuższego czasu Kark usiłował opowiedzieć Mężowi o swoich fantazjach. Ale Męża zajmowała wyłącznie jedna myśl: żeby tylko karp nie zdechł.

Miłość niejedno ma imię, przekonała się Jagoda, kiedy to w sobotnie popołudnie zdążyła do Beaty na wspólne oglądanie ulubionego serialu przyjaciółki.

Specjalnie na tę okazję Beata miała przygotować dietetyczną wersję pizzy na cieście razowym. Jagoda zastanawiała się nawet, czy na wszelki wypadek nie zjeść obiadu, który proponowała mamusia, ale na widok krwistego kawałka befsztyka, który miał ponoć dodać jej sił witalnych i kobiecości, zdecydowała się zaryzykować razowy wypiek Beaty.

Był ciepły październikowy dzień, prawdziwe babie lato. Żółta tarcza słońca przygrzewała mocno i drzewa w parku, przez który Jagoda szła do przyjaciółki, mieniły się czerwienią i złotem. Pięknie, delektowała się Jagoda.

Beata była o oczko wyżej w tak zwanym dorosłym życiu, bowiem mieszkając przez lata z rozwiedzionymi rodzicami, którzy uparcie trwali w jednym mieszkaniu, gdy tylko dostała umowę na czas nieokreślony w swojej fundacji, wynajęła maciupęnką kawalerkę i żyła sobie na osiemnastu metrach kwadratowych, śniąc o królewiczu z bajki, ale z rysem łobuza. Nie mogła też zrozumieć Jagody, teoretycznie posiadaczki dwupokojowego mieszkania na Żoliborzu, która z powodu kuriozalnej woli tyranicznego starca, za życia wykuwającego rodzinie tablice cmentarne, mogła się tylko obejść smakiem i również wyciągać ręce w błagalnym geście o podstawienie pod jej nogi nie kłody, a samca żwawego. Prawdziwego zwierza. Takiego, co to okiełzna ją, doprowadzi do drzenia całe jej trzydziestoczteroletnie ciało, zaimponuje wszechstronną wiedzą i poprosi o rękę.

Humor Jagoda miała taki sobie, bo w sumie jaki humor może mieć panna,

która sobotni wieczór ma spędzić z drugą starą panną? W dodatku pogryzając niskokaloryczny specjał. Szaleństwo. Pozazdrościć. Ale gdyby nie Beata czy pani Irena, to dopiero byłby dół! Jagoda, będąca na dobrej drodze, żeby przywołać obraz starej matki pijącej cienkie kakao z wyszczerbionej filiżanki, gdy wiatr hula i wpada przez nieszczelne okna, a zimno jest zimnem wewnętrznym, aż zadrżała z emocji.

Precz! – nakazała złym myślom i układając uśmiech do słońca i świata, wyszła z parku na osiedlowy chodnik.

Trzeba myśleć pozytywnie. Świat jest pełen wspaniałych mężczyzn, wystarczy się rozejrzeć.

Nie uszła daleko, ponieważ z naprzeciwka chwiejnym, acz z zamierzenia szybkim krokiem podążał mężczyzna, na oko lat... nie wiadomo ile. Mężczyzna ubrany był w ubranie z teksasu. Z pewnością nie był to dzins, tylko drelich pamiętający lata, kiedy polski przemysł odzieżowy produkował konkurencyjny do zachodniego doskonały materiał przeznaczony na młodzieżowe ubrania. Mężczyzna miał twarz w wąsach; sumiaste, żółtoszare, na końcach fantazyjnie skręcone, sięgały mu niemal do uszu. Włos szary, typu suchy mop. Mężczyzna mruczał coś do siebie pod nosem, od czasu do czasu odwracał się i wygrażał. Za nim, dobre kilka metrów dalej, próbowała przyspieszyć kroku obuta w koturny, jak żywcem wyjęta z katalogu mody lat siedemdziesiątych, sądząc po zdyszczanym okrzyku: „Czekaj no, czekaj no, ja ci się wyprowadzę!”, najpewniej konkubina wąsacza. A sądząc po sposobie poruszania się i tak zwanej mowie ciała, oboje musieli mieć mocno wypite.

Ufarbowana na czerwień koralu chuda oblubienica przystanęła na chwilę, podciągnęła opadające dzwony, charchnęła i rzuciła się w dalszą pogoń. Okrzyk: „Czekaj no!” został wzbogacony o frazę: „Ja ci się wyprowadzę, ja ci się wyprowadzę, dziadu jeden!”. Wyrażany publicznie sprzeciw wobec planowanej zmiany adresu wąsacza, jak widać, nie wywołał skruchy. Wąsacz nie zatrzymał się, nie powrócił w chude ramiona, a jednostajnie niejednostajnym krokiem szedł środkiem chodnika.

– Tak? Chcesz dostać, dziadu jeden? Będiesz się stawiać? – Ognista czerwień zachybotwała się na płytce chodnika i przytrzymała pasek dzwonów. – W dupę musisz dostać, żeby się uspokoić? Wyprowadzić? Gdzie? Do tej zdziury? Yyyh... – Posiadaczka rozszerzanych spodni najwyraźniej uległa zapowietrzeniu. – Czekaj no, jak cię zaraz... Cię zaraz. – Muza wąsacza dobyteła coś z torebki i zamachnęła się przez chodnik. – Zaraz mi tu przyjdź,



cholero jedna, bo dostaniesz, mówię ci! Yyyh... – Zamachnęła się po raz drugi.

Jagoda, która przezornie chwilę wcześniej zeszła z chodnika, z przerażeniem stwierdziła, że poziom uczuć i zazdrości wyrażany jest za pomocą psiej smyczy, której karabińczyk niebezpiecznie dosięgał głowy węsacza.

– Proszę pani, tak nie można, zrobi pani krzywdę – krzyknęła spontanicznie.

– Spierdalaj – zainterweniował węsacz. – Widzisz no, Grażka, takie czasy, że już nawet spokojnie porozmawiać nie można. Idź mnie stąd! – huknęła. – A ty, Grażka, spodnie podciągnij, bo ci całkiem z tyłka lecą. Jeszcze ktoś pomyśli, że nie dbasz o siebie.

Pizza na razowym cieście okazała się nadspodziewanie smaczna. Jagoda zjadła trzy kawałki i wygodnie ułożyła się na materacu, który służył przyjaciółce za łóżko, stół do jedzenia, deskę do prasowania i biurko. Ku rozpaczy właścicielki, nie służył do bezceństw.

– To co oglądamy? – spytała Beata i nie czekając na odpowiedź, nastawiła kolejny odcinek *Mad Mena*.

Mrucząc do swojej ukochanej Christiny Hendricks, wlepiła orzechowe oczy w ekran małego telewizora zawieszzonego na ścianie.

Jagodę natomiast wzięło na rozmyślania.

Wciąż była sama. Jak ten przysłowiowy palec. Nawet obdartus i pijanica miał swoją królową, która zresztą, gdy tylko Jagoda oddaliła się kilkanaście metrów, wróciła do zarzucania smyczy – niby lassa – na swojego partnera.

A jej związki? Wcale nie były lepsze. Jak w przypadku Daniela, kiedy Jagoda myślała, że to już ten wiek i że może miłość to jakaś bzdura, i wcale nie jest tak, że ziemia musi zdrzeć. Może lepiej, jak jest spokojnie i bezpiecznie, a partner przewidywalny? A Daniel był kulturalny, spokojny, miał dobry zawód i jak rzadko który mężczyzna chciał się żenić i rozmnażać. Początkowo Jagoda zachłysnęła się samym pomysłem, że może zostać żoną. Tyle tylko że Daniel nie był zwierzem i po trzech latach delikatnych całusów i pożycia tak nudnego i pozbawionego ognia, że nie dało się już dłużej patrzeć w sufit, klepać wybranka po plecach i myśleć, że stanie się cud i kochanek zapłonie, Jagoda zadała sobie pytanie, czy chciałaby, żeby tak właśnie wyglądało jej życie. I z przestachem pomyślała, że dopóki jeszcze jej się chce, a się chce, to nie wyobraża sobie, żeby spokojny i kulturalny Daniel miał

raz na jakiś czas szeptać jej do ucha: „Dziękuję, a ty?”. Samo to pytanie odbierało wszelką ochotę na jeszcze, więc Jagoda musiała przyznać, że jeśli tak to ma wyglądać, to stanie się coś strasznego. Nieprzewidywalnego. Że ona rzuci się w akcie frustracji i rozpaczy na jakiegoś Bogu ducha winnego samca i wykorzysta go do cna. I że więcej wigoru od Daniela ma słup telegraficzny. Ku rozpaczy swojej matki podziękowała Danielowi za udane lata, tak jak on dziękował jej po nielicznych chwilach uniesienia.

Jagoda nawet nie chciała pamiętać, jaki popis dała wówczas mamusia. Córkę uznała za rozpieszczoną i niedojrzałą. Ale najgorsze było to, że próbowała przeproszać Daniela i namawiać go, żeby nie rezygnował z Jagódki. „Młoda jest, może się przestraszyła obowiązków? Trzeba zrozumieć”. Daniel taki inteligentny, wykształcony, taki dentysta. Na pewno zrozumie. A kiedy i to nie pomogło, mamusia nagle podupała na zdrowiu. Co tylko Jagoda zdążyła wejść do pracy, już dzwoniła, ona albo ciotka Malina, że matka ma zapaść, arytmie, wstrząs, a karetka albo właśnie jechała, albo już odjechała. I żeby Jagoda się nie denerwowała, bo całe życie przed Jagodą i Jagoda z pewnością sobie życie ułoży. Nie, niech nie myśli o biednej matce, która dla córki... Która córkę... „A może byś przeprosiła Daniela, co?”.

To podupadanie na zdrowiu tak osłabiło Jagodę, że uciekła w pracę, mocno wierząc w słowa pani Ireny, że jak ma przyjść, to przyjdzie. Cicho i bez zapowiedzi. Wielka i nieskończona. Miłość na wieki.

I miłość przyszła. I to na pokład samolotu lecącego do Malmö.

Jagoda po raz nie wiadomo który od... przypomniawszy sobie każdy szczegół, kiedy to przed trzema laty – wiosna, wszystko kwitło, a co żywe, chciało się parzyć – doszło do trzęsienia ziemi o niespotykanej skali. Miejsce obok Jagody zajął ktoś tak duży, że dobre kilka minut manewrował nogami i rękami, żeby tylko zmieścić się na niewielkiej przestrzeni. Jagoda skuliła się w sobie i przysunęła bliżej okna; miała obawę, żeby wielgus obok przypadkiem nie wsadził jej łokcia w oko podczas próby zdjęcia marynarki. Ale pasażer po kilku ruchach ramion, z których próbował zrzucić część garnituru, najwyraźniej się poddał i zastygł. A ona z zaciekawieniem odwróciła głowę i zobaczyła zgrabny profil z blond czupryną.

Szwed, jak nic, odgadła. Na Ruska za szczupły. Na Niemca za wielki. I bez drucianych okularów. Polak też nie. Polak miałby na sobie garnitur z wyhaftowanym logo, żeby nikt na całym świecie nie miał wątpliwości, że Polaka stać.

Nie wiadomo dlaczego spociły jej się dłonie i zrobiło się gorąco. To na pewno stres przed lotem, pomyślała i uśmiechnęła się nerwowo na uprzejme skinienie blond głową.

Musi być problem z klimatyzacją, pomyślała Jagoda, czując, jak fala gorąca przelewa się przez jej nagle omdlałe ciało. Na wszelki wypadek przeżegnała się dyskretnie i łyknęła podwójny aviomarin.

Maszyna wystartowała. Kątem oka Jagoda zobaczyła, że siedzący pasażerowie odpinają pasy i zabierają się do otwierania swoich laptopów, uruchamiania wszelkiego sprzętu elektronicznego oraz przeglądania gazet. W przypadku mężczyzn także do rozglądania się za stewardesami. Ale nawet oni nie wyglądali na przegrzanych.

Klimatyzacja kompletnie ogłupiła ludzi, doszła do wniosku. Jak mogą nie czuć, że robi się coraz goręcej?

Jagoda przeklęła chwilę, kiedy wiedzioną zdrowym rozsądkiem dzień wcześniej sprawdziła prognozę pogody w Szwecji. Miało być chłodno. Zdjęła sweter. Dyskretnie zsunęła suwaki wysokich kozaków (ciepło ucieka przez nogi i głowę). Przecież nie zdejmie butów. A w sumie, dlaczego nie? Wspomagając się czubkiem buta, delikatnie wysunęła stopę z jednego kozaka. Z drugiego nie zdążyła; przy rzędzie, w którym zajmowała miejsce, stanął wózek z napojami i kanapkami. Jagoda zażyczyła sobie wodę z podwójnym lodem. Niech on tak nie patrzy, co on tak patrzy, jakie on ma oczy, czy on też czuje, że zaraz się udusimy? – myślała spłoszona na widok błękitnych oczu sąsiada wpatrujących się w nią z uprzejmą życzliwością. Drżącymi dłońmi odebrała od wyglądającej niczym miss świata szwedzkiej blond stewardesy kubek z lodem i kanapkę. Może łyknąć jeszcze jeden aviomarin? – przeszło jej przez głowę, kiedy omal nie rozlała wody, starając się rozłożyć stolik.

– Proszę pozwolić mi pomóc – doskonałą angielszczyzną przemówił Szwed i grzecznie, acz stanowczo rozłożył stolik, wyjął z ręki Jagody kubek z wodą i ustawił go na blacie.

Blond stewardesę poprosił o coś, z czego Jagoda wyodrębniła jedno słowo: *lax*. *Lax* okazało się kanapką z łososiem.

I nie wiadomo co – czy błękitne oczy, czy blond czupryna, czy męskie ramię ratujące przed rozlaniem zimnej wody, czy sposób, w jaki poprosił o kanapkę z rybą, czy ta cholerna klimatyzacja – przesądziło o tym, że nagle w sercu Jagody zakwitły kasztany.

I jak on wymawiał to słowo oznaczające pocziwą rybę! Nie „laaaks”, tylko

„laks”. Laks. Krótko, zdecydowanie. Tak jakby Jagoda miała jakiegokolwiek pojęcie, jak należy wymawiać *lax*.

A jaki on był delikatny, kiedy wyjmował z jej dłoni kubek z wodą. Jak delikatnie ujął jej dłoń i tak po męsku, zdecydowanym gestem, wyszarpnął plastik. Jagoda aż musiała przymknąć oczy i odżałować, że nie zdjęła drugiego buta, bo fala gorąca, która przeszła przez jej ciało, była nie do wytrzymania.

Laks. Laks.

A jak dotknął jej dłoni... Co on zrobił, co on najlepszego zrobił? Pewnie jestem w połowie cyklu, próbowała pocieszać się, nieszczęsna. Hormony plus klimatyzacja. I próbując przybrać normalny wyraz twarzy, to jest pozbawione emocji oblicze o pustych oczach, Jagoda odważyła się spojrzeć w stronę Szweda.

Znad kanapki z wędzonym łososiem patrzyły na nią dwa oceany. Dwie błękitne głębie.

Tonę! – tonęła Jagoda. I w tym samym momencie zsunęła drugi kozak.

Ach, co to była za podróż! *Lax* był pyszny. Szwed dowcipny. Żaden typ samobójcy z Północy. Lot trwał krótko. Zdecydowanie za krótko. Zdążyli wypić po małej butelce wina. Jagoda chyba nawet nie zjadła swojej kanapki. Po odbiór bagażu szli już razem. Lars położył dłoń na jej plecach, drugą torując im drogę.

Lotnisko było piękne. Ludzie byli piękni. Łosoś na plakacie był piękny. Przepiękny.

Kilka godzin później, po całej serii spotkań służbowych, na których, ku zdumieniu szwedzkich kolegów, to wsuwała, to zsuwała kozaki, czekała na Larsa w hotelowym pokoju. I wśród szeptów i krzyków zatonęła w jego oceanach.

Miłość spadła na nią niespodziewanie. Dokładnie tak, jak mówiła pani Irena.

Zakochała się w Larsie, a Lars potwierdził, że tak. Że też.

Ciekawe, gdzie będziemy mieszkać, zastanawiała się Jagoda, lecąc w kolejną podróż służbową do Malmö. Było jej nawet na rękę, że firma Larsa przestała wysyłać go już do Polski. Musiałabym go ugościć. Wy tłumaczyć, dlaczego mieszkam z matką. Mógłby nie zrozumieć, pocieszała się, spędzając

kolejny samotny weekend i czekając na e-mail czy choćby krótkiego esemesa.

Jak mogłam być tak głupia?

Jagoda aż stęknęła, a Beata pytająco spojrzała na przyjaciółkę.

– Pogłośnić? – spytała. – Czy winka?

– Winka – odparła Jagoda i powróciła do wspomnień.

Przy okazji kolejnej wizyty w Malmö Jagoda zagadnęła Larsa o wakacje.

– Chciałbym – odpowiedział. – Ale wakacje spędzam z żoną i dziećmi.

Z perspektywy czasu Jagoda zastanawiała się, czy była bardziej głupia, czy naiwna, sądząc, że Lars odejdzie od żony. I czy ona przeprowadzi się do Szwecji, czy może Lars zamieszka w Polsce. A jego dzieci? Jagoda postanowiła, że będzie kochać je jak swoje.

Ale kiedy powiedział, że kocha żonę i nie wyobraża sobie zostawienia rodziny, Jagoda kazała mu się wynosić. Pamięta, że dostała ataku nerwowego śmiechu na widok Larsa skaczącego w jednej nogawce spodni, próbującego założyć drugą, jednocześnie włożyć koszulę i znaleźć buty.

– Paszół won.

Otworzyła na oścież drzwi hotelowego pokoju, palcem wskazującym pokazując kierunek won. Hysteryczny śmiech przeszedł w płacz; był to i płacz, i śmiech. Ha, ha, ha, śmiała się, ocierając strumienie łez tak długo, aż zabrakło jej tchu, a wyrażane emocje znalazły ujście w silnej czkawce. Czkaając tak i wstrzymując powietrze, chodziła po pokoju hotelowym i powtarzała na głos:

– To cóż, że ze Szwecji. To cóż, że ze Szwecji.

Ale im więcej było łez, tym trudniej było ową frazę powtórzyć. Tak trudno, że późnym wieczorem Jagoda zmęczona czkawką i płaczem chlipała już tylko: „To cóż, że ze Szwecji, to cóż..., to cóóóó...”.

# Majątek

W niedzielę Mąż z Żoną i Karkiem jechali do Ojców. Ojcowie mieli dzielić ziemię między dzieci żonate i dzieci nieżonate. Jednak wskutek wzajemnych pretensji i roszczeń podział nie doszedł do skutku.

Kark, jako że gość ze stolicy, dostał nutrię na czapkę.

Żona nie powstrzymała się od komentarzy.

Barbara Barska, do czasu kiedy o jej córkę Jagodę starał się kulturalny Daniel dentysta, to jest jakieś osiem lat temu, wieki temu, myślała, że ma ułożone życie. Ostatnie urodziny jedynaczki, kiedy jej Jagódka, chwiejąc się na nogach po zgubnym działaniu pani Ireny i jej nalewki z pigwy, zdmuchiwała świeczki w kształcie trójki i czwórki, były okazją do smutnej konstatacji, że ostatnia rzecz, jaką Barbara może powiedzieć, to to, że ma ułożone życie. Na smutny ten stan składały się:

sześćdziesiąt dwa, niełatwe na tym padole, lata,

status wdowy,

wykuty w marmurze napis z jej imieniem (niestety, nie obok małżonka),

wypracowana emerytura,

przeżyte życie,

młodsza o całe pięć lat siostra Malina, która jeszcze przed rokiem była szczęśliwą żoną Mieczysława.

Barbara mogła kiedyś powiedzieć o siostrze: „O, Malinie to się w życiu powiodło”.

Niczego jej nie brakowało,

mąż zaradny, syn wykształcony, pracować nie musiała,

Malina miała życie usłane różami,

nie to, co Barbara, wdowa i samotna matka (w sensie wdowa, nie że z nieślubnym).

A życie samotnej matki, wdowy, nie jest łatwe, o nie. Życie to nie bajka. No nic. Na Malinę też padło. Nie ma w życiu żadnej gwarancji na szczęście.

Ponadto Barbara posiadała dwupokojowe mieszkanie z balkonem i córkę. Córeczkę.

Przede wszystkim Barbara była matką.

Miała swoją Jagódkę.

I jak każda matka, Barbara pragnęła dla swojego dziecka szczęścia.

A szczęście wiadomo. Jest względne.

Bo jednemu jest potrzebne to, drugiemu tamto.

A matka pragnęła dla Jagody tylko zdrowia.

I męża. Może nawet w odwrotnej kolejności: męża i zdrowia.

Rozumu też, ale od czego jest matka?

Jak będzie mąż, to się wszystko ułoży.

Wszystko.

I życie Jagódki, i życie Barbary.

Nawet remont się jakoś robi.

Remont trzeba zrobić, bo jednak sedes nie powinien służyć do jazdy po mieszkaniu.

Jest dużo do zrobienia przed matką.

Jagódka i remont.

Są priorytety.

– Basia, śpisz? Basia, ja nie śpię. Cały czas myślę, analizuję. Sięgam pamięcią, Basia, do naszych początków. Basia, przez ostatni czas dokonywałam analizy trzydziestu lat małżeństwa. Basia. Nie przyjeżdżaj. Nie chcę nikogo widzieć. Chcę być sama, po ciemku. Facet od kurczaków pytał, czy się czegoś domyślałam. Co rozpowiadam, co rozpowiadam?! Na oko widać, jaka mnie tragedia spotkała. Mnie i dziecko. Co z tego, że dziecko ma trzydzieści lat? Dziecko to dziecko. Sama wiesz. Jagoda też infantylna, a starsza. A moje dziecko jest wrażliwe. To programator. Dobrze, niech ci będzie. Programatyk. Zwichnię go ta sytuacja. Może być nawet tak, że mój Bartuś nie zbuduje normalnej relacji. Basia, powiedz sama, fatum wisi nad nami? Ty wdowa, Jagoda przy tobie, mój Bartuś sam, ja wyrzucona poza nawias życia, jak ten wytarty dywan. Sama się weź w garść! Basia, zastanowiłam się. Nie było powodów. Żadnych symptomów. Obiektywnie

oceniłam, że Mieczysław nie miał źle. Mieczysław miał lepiej niż dobrze. Miał za dobrze. Garnitur wyczyszczony, koszula odprasowana. Na palcach chodziłam, bo przecież rozumiałam, że jest zmęczony. Po zakupy nie chodził, ze śmieciami nie biegał. Basia, myślisz, że to moja wina? Zagłaskałam Mieczysława? Powiedz szczerze! Facet od kurczaków zdradził mi dzisiaj, że mężczyźni żenią się z żoźzami. Basia, czy on mi ubliżył? Jak to kto, właściciel różna, Basia. Basia, nie odkładaj słuchawki. Sięgam po kartkę, zapisałam sobie co do słowa. A każde słowo napisane w esemesie przez sekretarkę wyryło się na wieki w mojej głowie.

– Basia, śpisz? Basia, właściciel kurczaków powiedział, że zdradę najszybciej widać w sypialni. Że jak facet ma kogoś, na przykład kochankę, to albo nabiera do żony wstępu, albo wręcz przeciwnie. Jak to, co przeciwnie, Basia? Nie rozumiesz? Może nim kierować niespodziewana śmiałość i pomysłowość. Będzie oczekiwał realizacji jego fantazji. Basia, jaki wstyd, jaki wstyd? Z kim mam rozmawiać, jak nie z siostrą? Basia, ile to mogło trwać, Basia? Może przez całe małżeństwo byłam głupia i ślepa? Ale Basia, tak się starałam. Ubierałam go, dbałam o niego. Buty wypastowane. Buty to wizytówka mężczyzny. Majtki całe. Basia, jakbym wiedziała, tobym go w dziurawych bokserkach z domu wypuszczała. Ze szlakiem pośrodku. Basia, uważaj. Basia, czytam esemesa od Mieczysława.

– Basia, to ja. Śpisz? Basia, powiedz mi. Jak myślisz, jak długo to mogło trwać? I czy było ich więcej, tych sekretarek? Basia, czy Jagódka śpi? Idź, spytaj Jagódkę, co ile się zmienia sekretarki. Basia, ja widziałam tylko jednego esemesa. Mieczysław dobrze się krył. Widać kasował pozostałe. Basia, oszaleję z niepewności. Ile to mogło trwać? Od kiedy jest telefonia komórkowa, Basia? Od dziewięćdziesiątego?

– Basia, dzwonię, bo nie śpię. Basia. Facet od kurczaków powiedział, żebym teraz, w ogromie rozpaczy, nie była sama i otoczyła się przyjaznymi ludźmi. Najlepiej, żebym stworzyła grupę wsparcia. Basia, niech ja ci dla przypomnienia przeczytam esemesa od Mieczysława. Co na pamięć znasz, Basia? Wytypowałam trzy osoby do grupy wsparcia. Ty jako siostra, Jagódka, bo jest z pokolenia, które zna sekretarki. I facet od kurczaków. Niezależny.



Obiektywny. Nie, nie przyjeżdżaj. Muszę się przyzwyczaić do samotności. Nie chcę jedzenia, nic nie jem. Tyle co mam pół kurczaka z rożna. Po co mi więcej, Basia? Mnie już nic więcej nie jest potrzebne.

W dzień po trzydziestych czwartych urodzinach córki Barbara postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce i zająć się najważniejszymi kwestiami w życiu, to jest własnym dzieckiem i remontem. Maliną się zająć nie dało, ponieważ Malina była zajęta cierpieniem. A także telefonowaniem, spożywaniem drobiu i oglądaniem programów poradnikowych.

Barbara, która od śmierci męża, a minęło już niemal trzydzieści lat, nie spozrzała na żadnego mężczyznę i jakoś tak automatycznie przybrała wizerunek cierpiętnicy okutanej w czernie i szarości, była przekonana, że nigdy, przenigdy nie powie na głos (ba, nie pomyśli nawet!), że jednak przydałby się w domu. A wraz z awarią sedesu i kilkoma innymi usterkami przysłała taka chwila, że mężczyzna okazał się potrzebny, niezbędny i obyć się bez niego nie dało. Oczywiście Barbara mogła wezwać ekipę remontową, ale po co zaraz ekipa do jednego sedesu? I jeszcze Malina ją dobiła, kiedy podczas jednego z nocnych telefonów, płacząc i gryząc udko z kurczaka, wypowiedziała to, co Barbarze spędzało sen z oczu: jej Jagoda wciąż jest sama i w dodatku nie młodnieje. Przybiło to Barbarę. A jakby kłopotów było mało, zauważyła, że w ostatnim czasie jej Jagódka pobladła i schudła. I wygląda jak cień.

Tak samo wyglądał nieboszczyk mąż przed śmiercią.

Trzeba na Jagódkę chuchać i dmuchać. Dziecko z niej jeszcze.

Trzeba ją wzmocnić, trzeba dodać jej sił. Matka robi, co w jej mocy, tyle, co może. Inni też powinni pomóc.

Ale wszystko po kolei. Sedes, dieta Jagody, grupa wsparcia. Malina miała swoją grupę wsparcia w postaci właściciela rożna i Barbary, zatem Barbara też może mieć swoją.

Uśmiechnęła się w duchu z uznaniem dla własnej mądrości życiowej.

Do grupy wsparcia należeć będą: pani Irena, Maniek oraz – w perspektywie – Malina. Jak się tylko podzwignie. Do tego czasu może być konsultantem.

W miłości jak na wojnie, wszystkie środki dozwolone. A miłość do jedynaczki jest wielka. Córeczka, oczko w głowie tatusia. Sen z powiek mamusi. Jak jabłko od jabłoni. Barbara Barska zadrzała na samą myśl, że ktoś jej dziecku może zrobić krzywdę. Jakiś popapraniec życiowy, jakich nie mało.

Albo że mogłaby ją skrzywdzić jakaś sekretarka.

I że życie jest takie krótkie.

Takie krótkie.

Ot chwila, jest się dzieckiem, panienką i nie wiedzieć kiedy, już się nabywa praw do emerytury.

Zatem nie ma co czekać. Trzeba działać.

Trzeba zacząć od razu.

Jagoda jest anemiczna, a Barbara ma swoje lata. Dziecko nie może zostać bez opieki. Dziecko nie może zostać samo.

W razie gdyby nieboszczyk zawołał Barbarę pierwszą do siebie, Jagoda musi mieć tu na ziemi opiekę. I wsparcie.

Barbara ubrała się w szary jesienny płaszcz, wsunęła szare pantofle, owinęła szyję burym szalem i z zatroskaną miną ruszyła w świat.

Chciała z samego rana pojechać na grób nieboszczyka i prosić go o ekstrawsparcie.

Godzina, jak na emerytów, była późna – jedenasta rano – i Barbara Barska spodziewała się zastać w domu zarówno panią Irenę, jak i Mańka.

Właściwie, pukała się w głowę, jak mogła do tej pory nie pomyśleć o Mańku? Maniek był całkowicie niewykorzystany. A znali się od dziecka, wychowali na jednym podwórku. Maniek był młodszy od Basi o dwa lata. W dzieciństwie była to przepaść nie do pokonania. Nie dość, że starsza, to wyższa i silniejsza Basia ignorowała młodszego kolegę, który za wszelką cenę chciał grać z nią i jej koleżankami w zbijaka albo wspólnie urządzać stonkom pogrzeb i odprawiać rytuał nad wykonanymi wedle własnego pomysłu grobami z przeszkłonym wiekiem. Pod szkiełko wsuwało się kwiaty.

Maniek, trzeba przyznać, wyrósł na rosnącego chłopca. Nie był typem intelektualisty, tak jak mąż Barbary, ale skończył technikum i nie było rzeczy, której nie umiałby naprawić. Mąż nieboszczyk skończył studia, ale nie umiał naprawić niczego. Był zawsze błądny i na dodatek zmarł. Więc może wykształcenie nie jest najważniejsze? Barbara nie pamiętała, czy Maniek zdał maturę, ale manualnie był uzdolniony jak mało kto. Miał dobry fach w rękę, był elektrykiem. I co ważne, zawsze był życzliwy i uczynny. Barbara pamiętała, jak pomógł jej ojcu wstawić silniczek do „Frani”. Albo na przykład samodzielnie, od projektu po odlew, wykonał ozdobne uchwyty do szafek

kuchennych (pech chciał, że paździerz się wypaczył i uchwyt matka Basi musiała zmienić na lżejsze). Albo na przykład przerobił znajomemu dziecku sąsiadów rowerek Pelikan na Wigry-1, które z kolei uszlachetnił do wersji Wigry-2 i kolejno do Wigry-3.

A to wyszykował i uruchomił motorynkę wyrzuconą na złom. Pojazd zmienił się w istną torpedę. Wszyscy na podwórku wiedzieli, kiedy Maniek motorynkę uruchamiał. Silnik rakiety nie robiłby takiego hałasu, jak ten podrasowany. Albo na przykład zrobił bielutką kołyskę ze stelażu po wysłużonym tapczanie. Basia sama widziała. Na płozach. Niestety, musiał ją schować z powrotem do piwnicy, gdzie miał swój mały warsztacik. Naklął się wtedy na cieciovą, która u Mańka kołyskę zamówiła, na już, „na cito”, jak powiedziała, bo jej siostra ze wsi lada dzień rodzi. A jak już Maniek się nad robotą napocił, bo wygiąć płozy ze stelaża nie było łatwo, cieciowej kołyska się odwiedziła. Odżałowała zarobione na prywatnym sprzątaniu pieniądze i kupiła „drogie gówno”, jak to określił. Ponoć zwierzyła się sąsiadce:

– Pani kochana, jak by to wyglądało! Ja już, można powiedzieć, z miasta jestem, z samej stolicy. A stolica zobowiązuje. Powinam siostrze sprezentować prawdziwe łóżeczko. Eleganckie, sklepowe. – I patrząc chytrymi oczkami na sąsiadkę, spytała: – A pani sprzątania nie potrzebuje? Środki mam swoje, państwowe. Niedrogo policzę. Żeby na kołderkę starczyło.

I chociaż Maniek wyrósł na przystojnego dorodnego chłopaka, takiego, o jakim się mówi, że i do tańca, i do różańca, to lekkiego życia nie miał.

Tak, wszystko jest dobrze, dopóki jest zdrowie, pokiwała głową Barbara.

A Maniek zdrowie stracił. Pewnie przez majsterkowanie w piwnicy, zdiagnozowała. Wilgoć, grzyb, najgorsza zaraza. Zachorował na stawy, czy jakoś tak. Ilekroć Barbara odwiedzała rodziców i spotykała Mańka, swoje widziała. Widziała i wiedziała, że coś jest na rzeczy. Pochowała jednego nieboszczyka, miała doświadczenie życiowe i wiedziała, jak wygląda ktoś, kto jedną nogą już na tamtym padole.

Maniek z rosłego chłopca zrobił się o rozmiar mniejszy. Wychudzony, blady. Ale nie wypytywała.

Nie wypytywała także, dlaczego nie ułożył sobie życia. Nie pytała, bo Maniek sam gadał. Sam zaczynał, niepytany.

– Miewałem – mówił i podkręcał węża – różne samice. – Ale widzisz, Baśka, samice miały oczekiwania. Chciały się pobierać, rozmnażać.

A Maniek myślał, że ma czas. Czasu a czasu. A czas mijał. I został sam.

– Zupełnie jak ty, Baśka. Tyle że mniej szczęścia miałem, bo emerytury nie mam, tylko rentę. Ale ja sobie poradzę, Baśka. Załatwię ich, Baśka. Pomalutku, powolutku. Ja jestem cierpliwy. Taki już mam stos pism do ZUS-u! Taki! – Maniek rozkładał ramiona. – O, taaaki! Z każdego listu robię kopię. Znalazłem jeden punkt ksero, gdzie mi już nawet taniej liczą jako stałemu klientowi. Ty nie potrzebujesz czegoś skserować? Ja jestem cierpliwy, Baśka. Przyznają mi dożywotnią, zobaczysz.

I Maniek znów podkręcał wąża i uśmiechał się na myśl o chwili, kiedy listonosz przyniesie mu poleconym decyzję o dożywotniej rencie. A żeby chwilę tę przybliżyć, skwapliwie pisał kolejne odwołania do ZUS-u, chodził po lekarzach, zaś resztę wolnego czasu przeznaczal na świadczenie drobnych prac remontowo-budowlanych na czarno oraz wyszukiwanie okazji w dyskontach.

Tak, głupotą było nie pomyśleć o Mańku wcześniej, doszła do wniosku Barbara i zapukała.

Maniek akurat był. Ubrany po domowemu, w wyświechtane dzinsy i flanelową koszulę w kratę. W ręce trzymał amperomierz.

Był i był zajęty.

– Sama widzisz, Baśka. – Zaprowadził Basię do kuchni. – Człowiek zajęty. Non stop coś w domu do zrobienia. A ja, popatrz, takie sobie ledy zakładam. Kombinacja szesnastu kolorów plus czujnik. Wyobraź sobie. Zbliżam się do kuchni. Czujnik pracuje. Ledy zapalają się, zanim wejdem. Rozumiesz? Ja, proszę cię, wchodzę i już jest jasno. W domu ciemno, a wystarczy, że zechcę wejść do kuchni, a jasno się robi. Herbaty chcesz? – zaproponował.

Baśka chciała. Zawsze to przy herbacie łatwiej pogadać.

Maniek nalał wody do czajnika i postawił na gazie.

– Elektryczny też mam – pochwalił się. – Ale na działce.

– Masz działkę? – spytała uprzejmie Baśka i odchyliła głowę.

Było jej gorąco. Może dlatego, że siedzieli w kuchni.

– Mam, Baśka, działkę, a co mam nie mieć. Człowiek coś musi mieć – odpowiedział i zalał wrzątkiem herbatę z dzikiej róży. – Proszę bardzo. – Maniek postawił na blacie fajansowy błękitny kubek. – Czysta witamina C. Rozgrzejesz się, Baśka.

– Dziękuję, Mańku. – Barbara przysunęła kubek i pomieszała łyżeczką. –

Ładnie pachnie – dodała, widząc, że gospodarz oczekuje reakcji. Udała, że wdycha napar z róży, i przymknęła oczy. – Pięknie pachnie. Kwiatowo. – Upiła łyk.

Czy to możliwe, że róża już podziałała? Barbarę ogarniał płomień.

Zaraz się ugotuję, pomyślała i zzuła jeden pantofel. Ciepło uchodzi głową i przez nogi.

– Mańku... – zaczęła.

– Czekaj, Baśka. Coś mi ten kabel nie wygląda. Ja go tu trzymam, a ty wyjdź z kuchni i wejdź. Zobaczymy, czy zadziała.

Barbara wstała. Powinnam but założyć, spojrzała na stopę w cienkiej rajstopie.

– Idź, Baśka. Idź i wejdź. Zobaczymy, jak czujnik reaguje.

Posłusznie wyszła.

– Idę, Mańku! – zawołała z przedpokoju.

– To ja wiem, że idziesz – odpowiedział mądrze Maniek. – Leda się zapaliła.

– Mańku... – zaczęła Barbara.

– A ty idź, Baśka, jeszcze raz, co? – Maniek chciał skorzystać z okazji, że ktoś jest w domu. – Ja tu zrobiłem takie odgałęzienie. – Pokazał zawieszony pod szafkami kuchennymi sznur ze światełkami, który za okapem rozdzielał się na dwa przewody. Jeden kończył się wraz z szafkami wiszącymi, drugi został poprowadzony pod krawędziami szafek stojących. – Będzie świeciło jak na lotnisku. – Zatarł ręce. – No, idź, Baśka. Zobaczymy, czy działa.

Oba sznury działały.

Szafki były podświetlone niczym pas startowy. Maniek aż mruknął z zadowolenia.

Barbara uznała, że zadanie wykonane, i usiadła. Na wszelki wypadek wsunęła na stopę pantofel. Poszło jej oczko. Ale co tam oczko! Jeśli oczko w rajstopie ma być ofiarą, to Barbara, jako matka, poniesie tę ofiarę.

– Mańku... – zaczęła.

– Miałem jeszcze w tym tygodniu zrobić zlew. Bo ten, widzisz, uszczerbiony. Ale psia mać, wykupili.

– A gdzie byłeś? – zapytała odruchowo Barbara.

– W oszołomie, a gdzie? – odpowiedział ze zdziwieniem Maniek. – Jutro z samego rana pojedę, może rzucą jeszcze.

– Rzucą na pewno. – Barbara postanowiła dodać Mańkowi otuchy. –

Słuchaj, Mańku. Jest sprawa.

Maniek kiwnął głową.

– Zamieniam się w słuch – powiedział i podkręcił wąsa.

Upił łyk herbaty z dzikiej róży. Przestał tarmosić wąsa i przybrał wyraz twarzy wyrażający głębokie zainteresowanie wypowiedzią Barbary. Zainteresowanie przerodziło się w zrozumienie, poparte kiwaniem głową.

– Coś tak czułem, tak mi się właśnie zdawało. Nie pytałem, bo niby czy to moje sprawy, ale teraz to co innego. Ciebie, Baśka, znam od lat. Dobra kobita jesteś, ale czemuś sobie chłopa nie wzięła? No dobrze. Wiem, że nie o tym.

Tak, Maniek zgodził się z Baśką, chociaż nie z autopsji, raczej z tego, co po cieciowej widział, jak pijanego męża do domu wlokła. Tak, małżeństwo wymaga krzepy fizycznej. Może Baśka ma rację, że jak się Jagódkę dokarmi, odkarmi, to może i z tej mąki będzie chleb. Maniek nie wie, czy poprawnie użył powiedzenia, ale Baśka rozumie.

Ponownie zaczął tarmosić wąsy i niespodziewanie przeprosił.

Przeprosił Barbarę, którą znał od wieków, że nie dostrzegł, że jej córka, jedyna córka, niknie w oczach. Gaśnie. Błada i chuda. Taki wiór. Błady i chudy. Niczym chudy twaróg.

Ale widywał ją rzadko. Tyle co raz na jakiś czas, jak się lokator w mieszkaniu po dziadkach zmieniał.

– Baśka, cichaj, jakie nieszczęście? Kogo zabraknie, nikogo nie zabraknie. Ludzie nie są sami na świecie.

Maniek nie ma daleko, motorynką raz-dwa. Pomoże Baśce.

Nie wie, jak mógł nie zauważyć. Był się nawet teraz gotów bić w piersi albo dać sobie rękę odciąć, że Jagoda nie wyglądała na jakąś szczególnie zabiedzoną. Ale skoro Baśka tak twierdzi...

Ale Maniek już wszystko wie.

Nie trzeba go prosić. Znają się przecież od dziecka.

Pomoże Baśce, jak będzie mógł. Cicho sza. Baśce i Jagodzie. Zakupy podrzuci. Pod Halą Marymoncką jest taka buda.

– Byłaś tam, Baśka? Zawsze świeże podroby mają. Kupię trochę serduszek, wątróbki. To Jagodę postawi na nogi. Albo wiesz co, Baśka? Salcesonu i kaszanki! Co, nie zje, co, nie zje? Zje! – I Maniek zanotował na kartce: „podroby plus pietruszka zielona, plus kość ze szpikiem, plus tłusta śmietana, najlepiej prawdziwa”. – A o sedes się nie martw. Naprawimy. No to byś, Baśka, raz jeszcze wyszła i weszła, co? – poprosił Maniek na koniec.

I Baśka grzecznie wyszła i weszła.  
Ledy działały bez zarzutu, dając jasne trupie światło.

Kolejnym etapem pielgrzymki Barbary była sąsiadka, pani Irena.

Szczerze mówiąc, Barbara najchętniej poszłaby do siebie. Poranna wizyta u nieboszczyka i bieganie po mieszkaniu Mańka w celu weryfikacji czujnika mocno ją zmęczyły. Ale obowiązek obowiązkim. Człowiek nie zawsze robi coś tylko dla przyjemności. Czasami trzeba dać coś z siebie. A nawet się poświęcić. Zwłaszcza jeśli chodzi o dziecko. Na szczęście rezultat wizyty u Mańka był satysfakcjonujący. Maniek obiecał wpaść w tym tygodniu i zobaczyć, czy u Baśki takie ledy da się zainstalować.

– Witaj, kochanie. – Pani Irena ucałowała Barbarę. – Dawno cię nie widziałam. Co takie rumieńce?

– Od Mańka – odpowiedziała machinalnie Barbara. – To jest: od róży. Herbaty z różą.

– Aha. – Pani Irena kiwnęła głową ze zrozumieniem. – A Maniek wolny? – spytała z uśmiechem i pomogła Barbarze zdjąć płaszcz.

– Pani Ireno, co też pani! Przecież on jest stary. Ma z sześćdziesiąt lat.

– Aha. – Po raz drugi powiedziała pani Irena. – To faktycznie. Można powiedzieć, że już obiema nogami w grobie. Napijesz się czegoś?

– A co pani ma? – podchwytliwie spytała Barbara.

– Wodę, sok malinowy, czarną herbatę, dziurawiec, szalwię, kawę zbożową i kakao. Krople na serce. Aha, i na żołądek – zaśmiała się pani Irena. – Chyba że masz jakieś specjalne życzenie? Coś mocniejszego?

A jednak, pokiwała głową Barbara z ponurą satysfakcją. Alkohol. Od rana.

– Może wody, pani Irenko – odpowiedziała.

Dała się zaprowadzić do pokoju i posadzić na jednym z dwóch wielkich pluszowych foteli.

Pani Irena wysłuchiwała wersji Barbary. Jagoda taka anemiczna, taka blada. Może i lepiej, że sama, bo jak by udźwignęła ten ciężar? Kto wie lepiej, jeśli nie matka, dla której dziecko jest zawsze dzieckiem. Proszę bardzo, nawet teraz. Nawet wobec faktu, że Jagoda dopiero co skończyła trzydzieści cztery lata.

– Jedyne, czego dla niej pragnę, to oby jej zdrowie dopisywało. Reszta się sama ułoży – podsumowała Barbara. – Zdrowia i miłości. Takiej prawdziwej.

Po grobową deskę – dodała i rozejrzała się dyskretnie po dużym pokoju pani Ireny.

Ale nie, nigdzie nie widać było alkoholu.

Pani Irena tylko kiwała głową.

Pokręciło biedną Basię, myślała. Miałaby chłopa, to może by tak nie zdziwaczała. A tak to co? Zakutana po szyję, po oczy, w szarobure golfy, nieforemne spódnice. A ma takie piękne nogi!

I włosy wciąż czarne. Ani jednego siwego.

– Tak, zdrowie najważniejsze – odpowiedziała, słowem nie zdradzając się, że biedna i anemiczna Jagoda wciąż wypłakuje oczy po solidnym szwedzkim mężu. – Oczywiście, będę miała Jagódkę na oku – przyrzekła znękaney matce. – Ale ty, Basiu, może pomyśl o sobie – dodała cicho. – Może jakiś miły starszy pan? Szkoda życia, kochanie.

Lecz matka była nieprzejednana. Ona już swoje życie, swoje szczęście miała. Teraz, dzięki Bogu, ma emeryturę. Ma stały dochód. Od nikogo nie jest zależna, nikogo o nic prosić nie musi. Dlaczego niby miałaby zainteresować się jakimś starym dziadem?

Podciągając nerwowo grubą golf, Barbara przemówiła z wyższością:

– Można powiedzieć, że życie moje i mojej córki jest ułożone. Reszta w rękach losu. Na resztę nie mam wpływu. Jedyne, na co być może mam wpływ, to żeby w razie co Jagoda nie została sama. Jak ta sierota. Albo jak moja siostra Malina.

Dopiła wodę i nerwowym ruchem zrzuciła ze stóp oba pantofle. Zreflektowała się, że starsza pani przygląda się jej z zaciekawieniem. Szybko wsunęła buty na stopy, odstawiła szklankę i wstała. Kierując się w stronę przedpokoju, podziękowała pani Irenie za rozmowę i przeprosiła za zajęty czas.

– Ależ Basiu, znam cię od lat, za co dziękujesz, nie dziękuj. – Pani Irena aż przygryzła wargę, żeby nie powiedzieć więcej. Żeby po prostu nie fuknąć na Barbarę i nie kazać jej ściągnąć tych wstrętnych opończy. – I nie martw się Jagodą. Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz. A może zostaniesz jeszcze? Nalewki byś się napiła. – Ujęła dłoń Barbary i pogłaskała przyjaźnie.

– Proszę? – Barbara chwyciła za klamkę. – Idę, pani Ireno. I bardzo dziękuję.



Piątkowy poranek był ciężki.

Znowu przypomniał się jej Lars. Jak usiadł obok niej. Jak jedli kanapkę z łososiem. Jak czekała na niego w hotelu.

W oku niebezpiecznie zakręciła się łza.

Co to, to nie. Nie będzie już więcej płakać. Dwa lata wystarczą.

Było, minęło.

Trzeba się skupić na tym, co tu i teraz.

A skoro tu i teraz nie ma nikogo, skoro i tak mężczyźni są niewierni i skoro pani Irena mówiła, żeby marzyć, to Jagoda pomyślała, że nie ma co. Poprzeczkę trzeba podnieść.

Trzeba w końcu zacząć wymagać.

Wstała, umyła zęby, przebrała się z piżamy w dres i zjadła solidne śniadanie. Z kubkiem kawy w ręce, rozciągnięta w pościeli, korzystająca z dobrodziejstw instytucji *home office*, Jagoda poczyniła stosowne postanowienia.

Po pierwsze, koniec z rozpaczą po Larsie.

Trzeba myśleć życzeniowo. Trzeba mieć oczekiwania i wymagania. Trzeba wiedzieć, czego się chce. Nie ma czasu na tracenie czasu. Trzeba się zastanowić, trzeba podjąć decyzję, jaki ma być mąż.

A zatem, mąż powinien być:

przystojny,

wysoki,

blondyn,

blondyn z włosami,

wykształcony,

inteligentny,

błyskotliwy,

z pasją.

Powinien mieć takie hobby, takie pasjonujące życie wewnętrzne, że hej!

Musiałyby to być tak wyjątkowe hobby, że uprawianie go wiązałyby się z przynależnością do jakiejś elity.

Łowiectwo wykluczone.

Powinien być także bardzo zajęty. Zajęty pracą i hobby. I Jagodą, oczywiście. Ale tak, żeby Jagoda miała czas dla siebie.

Bo Jagoda także miała hobby, i to hobby bardzo adekwatne do ewentualnego męża.

Otóż Jagoda, gdziekolwiek była, była paryżanką. Kolekcjonowała

podręczniki stylu i znała wszystkie tajemnice Francuzek: dlaczego nie tyją, dlaczego się nie starzeją, dlaczego mają piękną cerę, jak kompletują garderobę i dlaczego są najlepszymi kochankami na świecie. Kupiła sobie nawet kaszmirowy płaszcz z przeceny, bo jak wyczytała w jednej z biblii Francuzek, kobieta powinna mieć w szafie jedną rzecz, w której wygląda doskonale. Różowy kaszmir był strzałem w dziesiątkę; niezależnie od pory roku Jagoda najchętniej nosiłaby go non stop. Ponadto Jagoda malowała usta czerwoną szminką, zakładała bluzki w marynarskie paski, maleńkie kardigany i perfumowała się w tych miejscach, które całowałyby mężczyzna. Gdyby takowy był. Póki go jednak nie było, zapisała się do Instytutu Kulinarnego, by pod okiem kucharzy rodem z Francji czy Hiszpanii doskonalić sztukę lepienia ravioli lub przygotowywania tapas. Co prawda Jagoda gotowała tylko podczas kursów, bowiem w domu gotowała mamusia, a jakiegokolwiek próby zajęcia kuchni przez córkę kwitowała:

– Dziecko, zajmij się sobą, jeszcze przyjdzie czas.

Więc Jagoda marzyła, że kiedyś nadejdzie ta chwila, że będzie miała komu zrobić obiad. I że nie będą to banalne pierogi czy zabelany barszcz, ale puszysty suflet i chrupiące liście sałat. Mąż będzie delectował się zarówno daniem, jak i lekką konwersacją z uroczą swoją żonką Jagódką.

W wysublimowanej przygodzie kulinarnej Jagodzie wiernie towarzyszyła Beata. Również i ona miała nadzieję, że być może wśród takich afrodyzjaków, jak krewetka czy gorzka czekolada, pozna jakiegoś mistrza patelni, który uwiedzie ją grzanką po hiszpańsku i ręcznie wyciskany sokiem. Inna sprawa, że w wykwinnych lekcjach wzięły udział z Beatą zaledwie kilka razy. Kto by wytrzymał wysoką temperaturę topnienia masła, podczas gdy uczęszczające na kurs zakochane pary kładą sobie kaski do ust i obdarowują się słodkimi pieścizotami?

W dupie z sufletami! – zdecydowała Jagoda. I zakończyły z Beatą naukę na układaniu sałat.

Co jeszcze? – zastanowiła się.

No tak, mąż powinien być szczodry.

I dowcipny.

Tak dowcipny, żeby płakać przy nim i przez niego, wyłącznie ze śmiechu.

Żeby przez niego nie płakać.

Oczy mógłby mieć jednak piwne. Takie orzechy laskowe.

Piwne oczy i blond włosy. To byłoby dopiero coś!

Bardzo oryginalne zestawienie.  
Dłonie o długich palcach.  
Silne ramiona.  
W tyłku więcej niż Jagoda. Żadnych wąskich pośladków.  
Powinien być wolny.  
Bardzo wolny.  
Wolny, ale z doświadczeniem.  
Może być po rozwodzie, ale żeby nie w samych skarpetkach i z długami.  
I żeby miał gdzie mieszkać.  
Jagoda zamyśliła się nad listą oczekiwań tworzoną w dokumencie wyników sprzedaży.  
No tak, zapomniałabym, stwierdziła.  
Powinien umieć zrobić szybki remont, przepchać zlew, wkręcić żarówkę.  
Jagoda wiedziała, jaki to kłopot mieszkać bez mężczyzny.  
Sedes poruszał się sam, trzeba się było zapierać nogami, żeby nie odjechać.  
Humanista i inżynier w jednym.  
Wykształcony, ale majsterkowicz.  
Majsterkowicz, ale z hobby.  
Z hobby, ale pełen pasji i uwielbienia dla Jagody.  
Powinien tak samo zręcznie przepchać zlew, jak uwieść ją ad hoc.  
Żeby Jagodzie zabrakło tchu.  
Powinien być odczytany.  
Umieć przygotować podstawowy posiłek obiadowy bądź kolacyjny.  
Kochać ją bez granic.  
Nosić na rękach.  
Bezustannie zachwycać się Jagodą i światem.  
Dawać jej spokój w trakcie PMS-u.  
Obdarowywać prezentami. I nie chodzi o cenę. Może to być nawet pudełko czekoladek, byleby tylko kupione z myślą o niej...  
Jagoda upiła łyk wystygłej kawy i krytycznie spojrzała na listę. Na pierwszy rzut oka spisane oczekiwania wydawały się kompletne.  
Jak mi się coś przypomni, to najwyżej dopiszę, pocieszyła się w myślach.  
Zapisała plik i niechętnie spojrzała do służbowych e-maili.  
Dział oprogramowania życzył sobie wsparcia marketingowego w organizacji konferencji dla stałych klientów.  
„Żeby było na bogato”, pisał Robert, szef działu software. „Zimna płyta

i baran z różną? Zbliża się koniec roku i trzeba klientów dopieścić. Niech wydadzą, co kiszą w rezerwie! Część rozrywkowa musi być przemyślana, sama wiesz”.

Jagoda wiedziała. Część rozrywkowa powinna zaspokoić około trzydziestu uczestników konferencji. Trzydziestu spuszczonej ze smyczy samców.

Przymknęła oczy.

Wizja opiekanego barana w towarzystwie kilkunastu podpitych dyrektorów żądnych przemyślanej rozrywki sprawiła, że do listy życzeń dopisała kolejny punkt.

Towarzyski.

W południe dało się słyszeć energiczne pukanie do drzwi. Jagoda poprawiła koc i odruchowo nadstawiła ucha. Czyżby pani Irena? Rzadko kto je odwiedzał.

Najpierw dało się słyszeć potężne męskie kasznięcie, a potem nerwowy chichot mamusi.

– Tak, Mańku, witaj, Mańku, dobrze, że już jesteś, eee, wchodź, no coś ty, butów nie zdejmuj! Już ci herbaty robię.

– Zrób mi, Baśka, herbaty. Gorącej. Zmarzłem. Za słabo się na motorynkę ubrałem.

Pięknie! – skostatowała Jagoda. Już dawno nie słyszała w głosie matki takiego podekscytowania.

– I jak, Baśka, ledy działają? Widzę, że działają.

– Mańku, działają, działają. Dziecko może w nocy wstać po szklankę wody i nie potyka się po ciemku.

Jakie dziecko? – zastanowiła się Jagoda.

– Baśka, patrz! – W głosie Mańka zabrzmiała prawdziwie męska duma. – Wątróbka kurza jest! Serca kurze są! Kaszanka jest! A weź no plasterek, spróbuj! Ach, jaka pycha! Najlepsza na gorąco, z cebulką! Baśka, usmażysz, to się przekonasz. Uczta prawdziwa. Ale wszystkiego wziąłem więcej, bo ty też nie najlepiej wyglądasz.

– Dziękuję – dziękowała matka, nie wiadomo: za komplement czy za podroby. – Herbata dla ciebie.

– A co ty pijesz, Baśka? Gówno pijesz, nie herbatę! Herbata to w liściach musi być! A nie w gazie i na sznurku. Baśka, ja ci kupię dobrą herbatę.

Dlaczego nie powiedziałaś, że nie masz herbaty?

– Nie no, Mańku, bez przesady. Dobra herbata. Lipton.

– Dobra herbata to kiedyś była. Assam była dobra. Oj, dobra była assam! A jeszcze jak soku dolać malinowego. Baśka, ty masz sok malinowy?

– Nie mam. – W głosie Barbary dało się wyczuć zmieszanie. – Ale cukier mam.

– Baśka, w twoim wieku to się już cukru nie powinno używać. Ale co minę robisz? Nie ma się co obrażać. Ile ty starsza jesteś ode mnie? Jakoś sporo chyba? Z pięć lat? Dwa? Patrz, a to mi się pomieszało. Ale wiesz co, Baśka, ty się nie bocz. Włosy czarne masz, ani jednego siwego. Patrz na mnie.

Oczami duszy Jagoda zobaczyła siwą czuprynę Mańka, chyba nawet ostrzyżoną własnoręcznie.

– Patrz na mnie, Baśka. Ja to mam siwe! Ale co tam. Siwe, ale przynajmniej nie łyse! I sam się strzygę!

– Aha – przytaknęła Barbara.

– Dobra, Baśka, nie ma co tak siedzieć. Spodnie jakieś wkładaj i kurtkę. Byśmy motorynką skoczyli do budowlanego. Deskę klozetową mi powiesz, jaką chcesz, bo taki wybór, że ja głupi jestem. Tyle wzorów: w muszle, koniki morskie, esy-floresy. A po drodze kupimy ci herbatę w liściach. Człowiek nie może być gówna pić. A kibel jak?

Jagoda usłyszała głos Mańka, tym razem dobiegający z łazienki.

– No, migruje. Nie martw się, Baśka. Musiałyście z Jagodą za mocno korzystać. Trzeba delikatnie. Wkładaj spodnie, pojedziemy po muszlę, kupimy zaprawę i do wieczora sedes ci wmuruję na amen. Jutro sobie usiądziesz jak prawdziwa królowa. Idziemy, Baśka!

Kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi, Jagoda wyszła spod koca, rozsunała delikatnie żaluzje i spojrzała przez okno.

Jej oczom ukazał się widok niezwykły. Po pierwsze, matka była w spodniach, a nie w swojej zgrzebnej wdowiej spódnicy. Co prawda były to sztruksy, pamiętające chyba czasy jej wczesnej młodości, ale jednak spodnie.

Po drugie, mamusia siedziała na motorynce. Po trzecie, po długich próbach i wahaniach zdecydowała się objąć Mańka w pół. I chyba musiało się jej to spodobać, bo zanim Maniek ruszył, powaliła się całym ciężarem na jego plecy. A w chwili startu na wszelki wypadek zamknęła oczy.

W ramach dopełnienia życzeń co do męża idealnego, zapisanych w dokumencie „Raport sprzedaży rozwiązania »mobilny subiekt«”, Jagoda, posilona kawałkiem usmażonej kaszanki, rozpoczęła drugą część pracy zdalnej.

*Home office* wykorzystywała w pełni. Popołudnie poświęciła na poszukiwanie najpiękniejszej sukni ślubnej.

Sukienka miała być przeznaczona na ślub cywilny, bo jak powiedziała ciotka Malina, przekazując przez siostrę życzenia urodzinowe Jagodzie, nie ma co liczyć na to, że znajdzie się ktoś na tyle wolny i bez obciążeń, żeby mógł wziąć ślub kościelny. Jagoda, żeby oszczędzić sobie rozczarowań, powinna raczej myśleć o świeckiej uroczystości. Skromnej i bez rozmachu, bo też nie ma się czym chwalić, że się przez długie lata nie udało.

Jagoda zaczęła przeglądać liczne portale mody ślubnej, na których roiło się od różnorodnych kreacji, poczynając od bielutkiej niczym beza, ze spódnicą z kilkunastu warstw materiału ułożonych na metalowej siatce i z ciasnym staniczkiem z usztywnieniami, który unosił piersi niemal na wysokość nosa, po awangardowe projekty sukien w kolorze lśniącej czerni, zwyczajowo zarezerwowanej dla nieco innych wydarzeń niż szczęśliwe zamążpójście.

Ciekawe, jak wyglądałyby w sukni w stylu tych, jakie nosiły urocze bohaterki serialu *Duma i uprzedzenie*. W odcinanej pod biustem, z głębokim dekoltem ujawniającym krągłe niczym jabłuszka piersi i z długimi wąskimi rękawami. Och, pan Darcy nie mógłby oderwać oczu od jej biustu! Prowadziłby ze sobą pojedynek wewnętrzny, żeby nie zniżyć się do poziomu zwierza i nie rozerwać na Jagodzie śliskich muślinów. Och...

Jagoda przejrzała kolejne zdjęcia.

Bezy. Bezy. Same bezy.

Jak paryżanka może iść do ślubu w bezie? Jagoda była nieco zawiedziona propozycją sukien na ten jeden, jedyny, najważniejszy dzień w życiu.

O wiele ładniejsze wydały jej się sukienki z kategorii wizytowych. Skoro ślub miał być z rozwodnikiem i przed urzędnikiem stanu cywilnego, można spokojnie zrezygnować z bezy.

Sukienka o fasonie princeski miała długość przed kolano i krótkie, lekko opadające rękawki. Gorset był dopasowany. Odcięta w talii spódnica miała kształt odwróconego tulipana i dwie wpuszczane kieszenie. Jediną ozdobą kremowobiałej sukienki były materiałowe kwiaty w kolorze wanilii, naszyte na ramionach i brzegach kieszeni. Ubrana w kreację chuda modelka

z przodozgrzaniem wyglądała w niej nostalgicznie i niezwykle romantycznie.

Będzie, zdecydowała Jagoda i skopiowała zdjęcie do pliku „Mobilny subiekt”.

Rozgrzana kaszanką i kubkiem herbaty z sokiem z prawdziwych malin, który mama z Mańkiem zakupili u ojców bonifratrów, Jagoda okryła się kocem. Myśli potencjalnej panny młodej poszybowały w stronę podróży poślubnej.

Paryż czy Londyn?

Jagoda nie mogła się zdecydować.

W Paryżu miałyby okazję ponosić różowy kaszmir i marynarskie paski.

Tylko czy nie będzie za gorąco na kaszmirowy płaszcz?

Na wszelki wypadek trzeba kupić trencz. Nie można być paryżanką bez trencza.

Zatem Paryż.

Trzeba to będzie przedyskutować z mężem. Ostatecznie on też będzie miał prawo wypowiedzi.

A jeśli nikt się nie pojawi? Ręka Jagody zawisła nad kawałkiem cebuli, który został na talerzu. Jeśli do końca życia będzie mieszkała z matką staruszką czekającą na operacje stawów biodrowych? Zabiegi zaplanowano na za pięć i za siedem lat. Jagoda, posiwiała na skroniach, będzie gotować cienkie kakao. Poda je w obtłuczonych filizankach. Matka będzie jęczeć z bólu, trzeć obolałe biodra. Wiatr zadmie w nieszczelne okna. Żarówka da słabe światło. Matka złamie ząb na sucharku.

A może jednak przyjdą dobre czasy, los się odwróci i postawi na drodze, przed nosem Jagody, wysokiego blondyna, humanistę-inżyniera?

Jagoda poprawiła koc i wtuliła głowę w poduszkę.

Pani Irena mawia, że los jest może nierychliwy, ale co ma być, to będzie.

I że na miłość, na prawdziwą miłość, warto czekać.

Więc Jagoda czeka.

Tyle tylko że kiedy podczas składania życzeń z okazji trzydziestych czwartych urodzin, matka podsumowała, że to już wiek postchrystusowy, Jagoda poczuła na plecach zimny dreszcz. Na wszelki wypadek nie spytała matki, na czym polega paralela między nią a Najwyższym, i na wszelki wypadek się uszczypnęła.

– Nie wiadomo, co komu jest pisanie – powiedziała wówczas matka i wysmarkała nos w materiałową chusteczkę. – Powinnaś mieć męża.

– Po co? – zapytała Jagoda.

– Jak to: po co? – zachnęła się matka. – Mąż jest potrzebny. Z mężem rozwiązuje się problemy.

Jagoda westchnęła i stwierdziła, że potrzebna jej jest natychmiastowa drzemka. Z brzuchem wzdętym kaszanką i smażoną cebulką powoli poczłapała do swojego pokoju.

Zapadając w sen, coraz wolniej wypowiadała bezgłośnie życzenie.

Żeby się działo, żeby się mogło zdarzyć. Od dzisiaj najdalej za rok.

I powtarzając po cichu zakłęcie jak mantrę, zastanawiała się, co będzie pasowało do sukienki. Płaszczyk czy pelerynka? I jakie rajstopy? Cienkie? Czy białe kryjące? Jeśli ślub miałby być późną jesienią, trzeba się liczyć z tym, że może lać. Czy zatem nie lepiej przenieść uroczystość na grudzień, tak żeby biel śniegu podbijała biel sukienki? A jeśli śnieg, to jakie buty? W kozakach do ślubu?

Z myślą, żeby sprawdzić dostęp do szatni w urzędzie stanu cywilnego, Jagoda zasnęła.

Od dawien dawna ludzie szukali odpowiedzi w gwiazdach, więc i Barbara Barska postanowiła skorzystać z tego niezawodnego ponoć źródła informacji. Bo chciała wiedzieć, co będzie. Chciała znać odpowiedzi na dręczące ją pytanie, co będzie z jej Jagódką. Jaki los jest jej pisany.

Z miną jak gdyby nigdy nic poczekała, aż jej blada córka pójdzie do pracy. Szybko zarzuciła na siebie płaszcz, wsunęła na stopy pantofle, chwyciła w rękę portfel, klucz i wybiegła do sklepu spożywczego.

Oczywiście mogła też pójść do kiosku „Ruchu”.

Ale Barbara za nic nie poszłaby do kiosku „Ruchu”. Bo w kiosku „Ruchu” ten obleśny właściciel, starzec (musi mieć dobre sześćdziesiąt pięć lat; co z tego, że Barbara niewiele mniej, nie w tym rzecz), ten stary cap tak się głupio uśmiechał. Tak miękko i fuj, mokro. Usta miał takie zlepione śliną. Cmokał, ciamkał bez przerwy i słał uśmiechy. Nie tak dawno Barbara poszła po kreta, co zresztą zaznaczyła od razu, od samych drzwi, a on ślinił się i nagabywał. A sąsiadka nie potrzebuje cienkich rajstop, bo ma w dobrej cenie? A on widzi, że sąsiadka ma dobre nogi. Widział te nogi, jak sąsiadka na wiosnę myła okna. Oj, co za nogi! A on zna się na nogach. Siedzi cały dzień w kiosku, to widzi, kto na jakich chodzi. Niejedna dwudziestka mogłaby sąsiadce takich nóg pozazdrościć. Jego żona też miała dobre nogi. Tak dobre,



że te nogi pojechały do Niemiec i tam już zostały. Kobiety trzeba krótko trzymać, a on popuścił i już mu te nogi rogi przyprawiły. Żeby chociaż z Niemcem, a nie z Polakiem. Bo on co, lepszy? Tynkarz.

– Tynkarz! Sąsiadko, wstyd nawet powiedzieć, że tynkarz. To co, weźmie sąsiadka rajstopy? Takie dobre nogi się marnują. Czemu ich sąsiadka nie odsłoni? Dałaby oko ponapawać.

Znowu się gapi! Barbara przeszła szybko przed kioskiem, kątem oka zerkając na kioskarza przyklepionego do szyby. Rogacz wyliniały! Choć w sumie szkoda człowieka.

Nie zwalniając kroku, wpadła do spożywczego. Żeby tylko gazety były! Żeby nie wykupili wszystkiego wszyscy! Dla odwrócenia uwagi, tak jakby wszystkie sklepowe akurat ją obserwowały, Barbara wzięła kostkę masła i stanęła przed stelażem z prasą kolorową.

Godzinę później, popijając z wysokiej szklanki krople waleriany rozcieńczone zimną wodą, Barbara zastanawiała się, czy nie powinna wyjść jeszcze raz. Tym razem do apteki. Po jakieś relanium czy coś adekwatnego. Krople najwyraźniej były za słabe.

Po lekturze miesięcznika poświęconego horoskopom, wróżbom i numerologii wiedziała już wszystko. Wiedzę zdobytą z miesięcznika zestawiała z faktami. Wyciągnięcie wniosków, tak zwane podsumowanie, postanowiła pozostawić na czas po wizycie w aptece. Mogła zejść do pani Ireny. Kto jak kto, ale pani Irena na pewno ma glucardamid. Tyle że starsza pani na pewno zechce spoić ją nalewką...

Barbara wolała oszczędzić sobie kolejnych wrażeń. Piła wodę i myślała. Los wystawił ją, jako matkę, na ciężką próbę.

Jagoda, panna, urodzona dwudziestego października, trzydzieści cztery lata temu. Od tego czasu osiągnęła wzrost metra sześćdziesięciu sześciu i pół centymetra oraz przybrała na wadze.

Idealna klepsydra, szeptał jej do ucha Lars, o czym Barbara, na szczęście, nie wiedziała. Relanium mogłoby nie wystarczyć.

Tak zwaną urodę Jagoda odziedziczyła po ojcu. Po nim miała inteligentne spojrzenie w kolorze orzechów laskowych. Włosy: popielaty blond. Zupełnie po nikim tuż obok bruzdy policzkowej widniał czarny, niczym plamka atramentu, pieprzyk. Taki sam, jak u aktorki filmowej, stwierdziła mała

Jagoda, dotykając palcem lekko wypukłego znamienia, po powrocie z ojcem z kina Iluzjon. Ojciec, wielbiciel aktorek o inicjałach B.B., M.M. czy C.C., odnalazł w córeczce partnera do dyskusji o ich nieziemskiej urodzie i wybitnym talencie. Lata później, będąc już podlotkiem, Jagoda wyginała się nawet przed lustrem, przybierając pozy i układając usta w dzióbek, zupełnie jak legendarna gwiazda. Ale do pełnego podobieństwa, według nastoletniej Jagody, brakowało przede wszystkim wydatnego przodu. Przodu, ku rozpaczyci właścicielki, brakowało, nawiasem mówiąc, przez większość młodzieńczych lat. Na szczęście niebiosy musiały się zlitować nad płaską mieszkanką ziemskiego padołu, bo kiedy Jagoda skończyła siedemnaście wiosen, na powierzchni jej klatki piersiowej uformowały się dwie zgrabne i jędrne półkule.

Jagoda przekonania do swoich wdzięków i urody nie miała. Zgrzeszyłaby, mówiąc, że jest bardzo źle, ale pewności siebie nabierała dopiero u męskiego boku. Wiedła natomiast w okamgnieniu, gdy zostawała sama. A jej głowę zasnuwały pochmurne myśli.

Barbara uważała, że jej córka jest niebrzydka. Aczkolwiek jakie to ma znaczenie?

Co ma być, to będzie. Ona też miała urodę i co? Została sama.

– Dziewczęta podobne do ojców mają szczęście w miłości – mawiała pani Irena, stawiając przed Jagodą kieliszek naleweczki. – Tylko się nie martw, kochanie. Zobaczysz, miłość przyjdzie niespodziewanie. Może byś do fryzjera poszła?

Wygląda zupełnie jak jej ojciec nieboszczyk, martwiła się Barbara, patrząc na swoją córkę po rozstaniu z Larsem. Chuda, blada i – na pewno nie po matce – płaska. Barbara najwyraźniej widziała, co chciała.

Generalnie nie jest źle, myślała Jagoda, stojąc w biurowej łazience, dokąd biegała często po rozstaniu z Larsem.

– Nie jest źle – szeptała po cichu i ocierała łzy po smakoszu atlantyckiego łososia. – Zezwata nie jestem. Szczerbata nie jestem. Pewnie, że zawsze dobrze byłoby mieć mniej w biodrach.

Pani Irena jednak przekonała ją, że mężczyźni nie szukają wieszaków i wąską talię najlepiej podkreślić paskiem, po to tylko, by biodra wydały się jeszcze pełniejsze i ponętne. Na Larsa to podziałało, może na innych też? Tak czy siak, Jagoda była bardzo zadowolona z popielatych, sięgających do ramion gęstych włosów i biustu. Ślepy zachwyt mężczyzn, których wzrok potrafił

zatrzymać się na jej popiersiu, rekompensował wieczny ból pleców.

Co jest, do cholery? No, ma Baśki córka na czym siedzieć i czym oddychać, zdziwił się Maniek, kiedy przybył z pierwszą wizytą i torbą podrobów do samotnej wdowy i jej anemicznego dziecka. Coś się tej Baśce pokićkało.

Barbara upiła kolejny łyk wody.

„Wagi są niezwykle kobiece”, czytała. „Kobiece i delikatne. O dźwięcznym, melodyjnym głosie”. Nie mogła sobie przypomnieć, żeby jej Jagoda brzmiała melodyjnie. Zazwyczaj mówiła, żeby dać jej spokój. A przecież Barbara nie zadawała pytań z czystej ciekawości. Na pewno nie...

„Przywiązują ogromną wagę do wyglądu”.

Dobre sobie! Barbara zastukała paznokciami w blat kuchennego stołu. Sama była świadkiem, jak na zakupiony przez Daniela bon do kosmetyczki Jagoda prychnęła, że sztucznych zębów i paznokci nosić nie będzie. I że ponad wszystko ceni naturalność. A od jakiegoś czasu to całkiem jej odbiło. Nakupowała poradników, żurnali mody i stwierdziła, że jest paryżanką. Barbara w jej wieku była już żoną, matką i wdową. Paryżanką, dobre sobie! Z emocji aż powachlowała się miesięcznikiem o gwiazdach. Nikt inny tylko pani Irena musiała jej nakłąć tych głupot do głowy. Damy się znalazły! Raz nawet Jagódka w przypływie lepszego humoru (widocznie piła u pani Ireny) pokazała matce płaszcz, który kupiła na wiosnę. Pudrowy róż. Przymierzała i świergoliła zadowolona: „Najbardziej kobiece na świecie są Francuzki, czeszą się tak, jakby się wcale nie czesały, jakby dopiero co wstały z łóżka. Cery mają świetliste. Piegów nie kamuflują. Wad zgryzu nie korygują. Usta pociągnięte dobrą szminką. Noszą porządne torebki i czyste buty. Emanują radością życia i seksem”.

Dziesięcinada. Barbara nie miała czasu na takie głupoty. Były ważniejsze rzeczy. Umyć płytę nieboszczykowi czy poprawić napisy.

„Miłośniczki piękna i sztuki. Charakteryzuje je przemożna chęć działania i pewność siebie”.

Właśnie widzę efekty, skomentowała w duchu ten fragment horoskopu Barbara.

„Obdarzona wdziękiem osobistym Waga ma ogromną łatwość w nawiązywaniu kontaktów i znajomości”.

Taaa, z panią Ireną chyba, zasepiła się Barbara. No, owszem. Miała Jagódka jedną przyjaciółkę. Ale Barbara miała głębokie wątpliwości, czy Beata, wystawiająca swoje odchudzone wdzięki w przeróżnych biurach

matrymonialnych, a co gorsza w Internecie, może być odpowiednim towarzystwem dla jej córki. Co się doprawdy dzieje z tymi dziewczynami? Ona w ich wieku była już dawno dzieciatą mężatką, ba, nawet wdową. A one co?

Barbara aż zaszeleściła gazetą.

„Waga potrafi być leniwa i mało taktowna”.

Pokiwała głową. Święty musiał być Daniel i daj Boże, żeby się jeszcze jeden taki trafił!

„Marzycielka”.

Według Barbary było to raczej gapienie się w sufit.

Sama Jagoda nazywała to myśleniem.

– Mamo, muszę pomyśleć – burczała.

– O czym, dziecko? – pytała Barbara. – Nie ma co tak myśleć. Trzeba działać.

„Zdarza się jej mówić za dużo”.

Guzik prawda. Wszystko trzeba z niej wyciągać. Nic matce nigdy nie powie.

„Trzpiotka”.

– No, bez przesady – mruknęła Barbara, nie wiedząc, że w zależności od potrzeby jej córka, za radą sąsiadki alkoholiczki, potrafi spojrzeniem zranionej sarny uzyskać wsparcie pomocnej męskiej dłoni. I że niestety, zdarza się to raczej w sytuacjach zawodowych.

„Nie zna magicznego słowa »nie«. Unika sytuacji konfliktowych. Ustępuje dla świętego spokoju. Nie znosi zmian”.

To się akurat zgadzało. Ile się Barbara musiała naużerać, żeby przekonać Jagodę do czegokolwiek! Tak, dokładnie, do czegokolwiek.

O, teraz będzie dobre! – ożywiła się Barbara, patrząc na umieszczone pod horoskopem zestawienie zalet i wad wypunktowane w tabelce.

„Zalety:

uroda,

wdzięk osobisty,

czar,

szyk,

spolegliwość,

harmonia i zrównoważenie,

szereg talentów artystycznych”.

Barbara zastanowiła się. Spolegliwość? Zrównoważenie? Dlaczego zatem

jej córka reaguje tak histerycznie na wszelkie pytania?

Do wymienionych zalet mogłaby dodać spokojnie dwa tuziny przywar.

O, tu prawdę piszą! „Leniwa. Nietaktowna”. Prawda, szczerą prawdą! Jak można matce powiedzieć, że to nie jej sprawa? Otóż wszystko, co dotyczy dziecka, jest sprawą matki. I nie ma znaczenia, czy dziecko ma rok, czy lat trzydzieści cztery.

„Rozwiążłość”.

O Matko Boska! Skąd rozwiążłość? Skąd, na litość boską, ona miałaby czerpać wzór i przykład? Z Beaty? No tak, z Beaty, Barbara ponuro pokiwała głową. A taka porządna dziewczyna była z Beaty, dopóki nie schudła! Schudła i jej odbiło. Nadrabia chude lata. Czy tłuste? Mniejsza z tym. Boże, nie pozwól sprowadzić mojej córki na złą drogę! Nie pozwól, żeby ją jakiś niegodzien mężczyzna uwiódł i skrzywdził! Obraził, powłóczył za włosy i odszedł. Niech nie odchodzi!

Barbara otarła spotniałe dłonie. Nie ma innego wyjścia, trzeba mieć Jagódkę na oku. Jagódkę i tego drania, który ją skrzywdził. Zaraz, jeszcze nie ma żadnego drania... Nikogo nie ma.

Nie wiem, co gorsze, zasępiła się Barbara, biorąc do ręki kolejną kobiecą gazetę, wprawdzie poświęconą gotowaniu, ale z horoskopami, a jakże. Kwestie damsko-męskie były również.

Barbara czytała z zainteresowaniem.

„U osób spod znaku Wagi istnieje silna potrzeba więzi z partnerem, dlatego dość młodo usiłują wchodzić w związki małżeńskie. Przed ich zawarciem długo wahają się przy wyborze przyszłego małżonka”.

– Nie będzie żadnego wahania – powiedziała na głos Barbara. – Na szczęście jestem ja. Wybiję jej z głowy wszelkie wahania. Raz już jako matka poniosłam klęskę. Taki Daniel, taki dentysta. Takie nieszczęście!

„Po ślubie są stałe, głównie dlatego, że ponad wszystko nie lubią zmian. Zraża je ordynarność, brutalność i nietakt. Lubią życie dostatnie i bez kłopotów”.

Nigdzie nie piszą, kiedy będzie ślub... Barbara zaczęła powątpiewać w mądrość gwiazd.

„Mają poczucie winy z powodu przeżytego orgazmu”.

A to już bzdury! – zachłysnęła się rozcieńczoną walerianą Barbara. Gdyby nie Beata, nie byłoby żadnych orgazmów. Wszystko wina Beaty. Barbara słyszała kiedyś, co przyjaciółka Jagódki mówiła o tych sprawach. Nie,

Barbara nie chce nawet sobie przypominać. Nie będzie się denerwować.

Na pewno Wagi kwitną, kiedy otacza je nimb zachwytu, sympatii i miłości. Barbara obawiała się jednak, że w wieku lat trzydziestu czterech jej córka może już nigdy nie zakwitnąć. Raczej uschnąć. I zostanie z niej samotny suchy badył.

Z uzdolnień Wagi przejawiały talent kulinarny.

Jaki talent? Gdyby matka nie ugotowała, to dziecko nie miałoby co jeść. Co prawda zapisało się z Beatą na kurs sztuki kulinarnej. Barbara słyszała, jak kiedyś Jagoda w rozmowie z przyjaciółką używała takich słów, jak „smaki”, „kolory”, „tekstura”. Dobrze by było, żeby przy kandydacie na męża takie słowa nie padały. Od razu będzie wiedział, że Jagoda gotować nie potrafi. Barbara podsłuchiwała także, że po cichu Jagoda z Beatą liczyły, że kurs wiele zmieni w ich życiu. Barbara nie była pewna. Za jej czasów nikt nie przeżywał stopnia wysmażenia małży świętego Jakuba. Dobrze było, jak w ogóle było co usmażyć. No nic. Zawsze taki kurs to lepsze niż picie z panią Ireną.

Jeśli chodzi o aspekt „Waga a praca”... Zdaniem pani Ireny Jagoda była nie z tej ziemi i powinna urodzić się w innych czasach. Uprzejma, koleżeńska, ceniąca sprawiedliwość i brzydząca się tak zwaną ścieżką kariery.

W rzeczywistości wyglądało to tak, że w firmach, w których pracowała, awansowali już wszyscy idioci, a ona sama wykonywała pracę za troje, pobierając niewygórowane wynagrodzenie i nie upominając się o podwyżkę. Zwłaszcza kontekst finansowy powodował, że była bardzo ceniona przez szefów.

Jeśli jednak chodzi o Wagę i seks, Barbara jako kobieta, ale przede wszystkim matka, mogła sobie pogratulować. Bez horoskopu już lata temu wiedziała, że to od niej zależy przygotowanie córki do dorosłego życia. Uświadomienie było krótkie i sądząc po spojrzeniu dwudziestoletniej Jagody, wstrząsające.

– Nie jest tajemnicą, moje dziecko... – powiedziała wówczas Barbara, mając przed sobą pełnoletnią, o pełnych kształtach córkę. – Nie jest tajemnicą, córeczko, że ludzie współżyją.

Większość w tych gazetach to bzdury wysrane z palca, podsumowała Barbara, sącząc ostatecznie krople waleriany na nałęczowiance.

– Niczego się nie dowiedziałam – mruknęła niezadowolona i postukała paznokciem w blat stołu.

O, tu coś jeszcze piszą, Barbara sięgnęła po program telewizyjny. Może

wreszcie znajdę to, czego szukałam. Jeśli nie odpowiedź, to choćby małą wskazówkę.

Przeczytała raz i struchlała. Stanie się. Najgorsze przed Barbarą. W najbliższych miesiącach Waga-Jagoda przejawia skłonność do ordynusa. Prymitywa zręcznego w ars amandi. Straci dla niego głowę. Osobnik będzie dużo starszy.

Jagoda wracała do domu przygnębiona, zła, smutna. Wściekła.

Wracała właśnie z rocznego przeglądu.

Chciało jej się krzyczeć ze smutku i płakać ze złości.

Pani Irena miała rację. Mężczyzn nie należy traktować poważnie. Należy ich traktować jak jednostki z lekkim upośledzeniem. Albo jak dzieci. Na pewno jednak nie należy się nimi przejmować.

Ale jak się nie przejmować, skoro do tej pory nie udało jej się nikogo poznać, wyjść za niego, mieć dom, dzieci? Może nawet psa.

Jak się nie przejmować, skoro nawet lekarz nie potrafi się zachować?

A zegar staropanieństwa tyka, czas mija nieubłaganie. I minie dzień, tydzień, rok, dwa lata, a zanim się Jagoda obejrzy, całe życie.

Jak się nie przejmować, skoro najlepsze lata życia przeżywa u boku matki? A matka niedługo zniedołężnieje. Trzeba ją będzie poić cienkim wdomim kakao. Mróz będzie trzaskał za oknem. Wrony, gawrony skrzeczeć będą takimi samymi zachrypniętymi głosami jak matka staruszka. I nigdy już Jagoda nie zamieszka sama, we własnym domu. Mieszkanie trzeba będzie wciąż wynajmować, żeby starczyło na życie. Zresztą i tak nie będzie już sensu mieszkać samej, po co, skoro i tak co dnia trzeba przyjeżdżać do robiącej pod siebie starowinki, ocieplać pieluchy? Gotować na palniku cienkie kakao. A kakao z dnia na dzień będzie coraz bardziej wodniste. Filiżanka wyszczerbiona. Pozłotka zejdzie cała. Na cukier nie wystarczy.

Jagoda wzięła oddech. Za dużo tych problemów. Za dużo chamstwa na świecie. Chamstwa, braku empatii, życzliwości. I braku współczucia. Zwłaszcza współczucia. No tak, ale czego się spodziewać po mężczyznach. Chociaż w przypadku lekarza wydawałoby się, że jakiegoś poziomu można się spodziewać. Gdzie tam!

Dno, kompletne dno. I upadek obyczajów.

Być może nawet złamanie przysięgi Hipokratesa, rozkręcała się Jagoda,

opuszczając w stanie skrajnego wzburzenia i upokorzenia nerwowym krokiem próg przysługującej jej w ramach opłacanego przez prosocjalną i prorodzinną szwedzką firmę prestiżowej prywatnej przychodni.

Na dziś przypadał termin corocznych badań u doktora Wolskiego. Wizyta oznaczała, że padną pytania o przyszłość. Przez cały dzień, zaniehbując obowiązkii w pracy, Jagoda zastanawiała się nad ciętą ripostą, czymś dosadnym i kategorycznym, czymś, co spowoduje, że już nigdy, przenigdy doktor Wolski nie podniesie głowy skierowanej w środkową część Jagody i nie poruszy tematu planowania potomstwa.

Spytam go, niech powie, niech mi odpowie, jak można planować potomstwo, jeśli miłość życia okazuje się być szują, świnią zonąatą! Tak mu powiem, że mu się odechce! – gorączkowała się Jagoda w poczekalni. Usiądę na fotelu, wypnę się i co mu powiem, to mu powiem!

Z mściwym uśmiechem, tak jakby to doktor Wolski był winien jej pomyłki życiowej, Jagoda weszła do gabinetu. Weszła i mściwy uśmiech ustąpił zdumieniu.

Za lekarskim biurkiem siedział około trzydziestoletni mężczyzna. Lekarz. Ale jaki lekarz! To jest: jaki mężczyzna. Twarz niczym młody bóg. Młody Brando, zanim się roztył. I zanim wyłysiał. Spojrzenie takie, że Jagoda mogła się od razu rozebrać. Do goła.

Tak nie powinien wyglądać lekarz, przemknęło jej przez głowę.

– Doktor Wolski zachorował na grypę – przemówił Brando. – Mam nadzieję, że to pani nie przeszkadza?

– Nie przeszkadza – odpowiedziała Jagoda, wyrzucając sobie, że nogi ogoliła tylko po wierzchu.

Skąd miała wiedzieć, że doktora Wolskiego zastąpi dzisiaj ideał wymarzonego przez nią zwierza?

Piękny czy niepiękny, to lekarz, uspokajała się w myślach, ściągając za parawanem ubranie. Lekarz, ale młodszy. Jagodę ogarnęła panika. Nikt młodszy nie widział jej nago. Nawet lekarz. Zdenerwowana przysiadła na metalowym krzeselku. Może odmówić badania? Wrócić, jak będzie już doktor Wolski? Jagoda spojrzała krytycznym okiem na łydkę, która z wierzchu była gładka, natomiast z boku porośnięta mocną szczeciną. No i dobrze! I w nosie. Niech patrzy. Trudno, na pewno widział gorsze rzeczy, zdecydowała i wstała. Ściągnęła bieliznę i włożyła buty.

W ostatniej chwili spojrzała na swoje nogi, blade, na wpół ogolone.



Katastrofę uzupełniały czarne skarpetki i stylizowane na męskie sznurowane pantofle.

Odmówię, powzięła decyzję Jagoda i odruchowo podciągnęła skarpetki.

– Proszę spokojnie przygotować się do badania – młody bóg przemówił zza parawanu. – Proszę się nie śpieszyć.

A niech się wprawia, zdecydowała Jagoda. Niech mu się odechce, postanowiła. Wyłoniła się zza parawanu, starając się nie patrzeć, jakie wrażenie robią jej skarpety na młodym Brando. Z ponurą miną wdrapała się na fotel i zręcznym ruchem ułożyła w strzemionach swoje nogi łani.

– Proszę się rozluźnić – domagał się Marlon znad brzucha Jagody. – Proszę się rozluźnić, bo nie mogę pani zbadać. O, tak. Właśnie tak. Bardzo dobrze. Pani od dawna jest pacjentką doktora Wolskiego?

– Od dawna – odpowiedziała niechętnie Jagoda, prorokując, że zaraz padnie pytanie o potomstwo. Było jej diabelnie niewygodnie, bowiem nogi trzymała tak, żeby na wszelki wypadek młody lekarz nie miał wątpliwości, czy są to łydki kobiety, czy mężczyzny. – Od lat.

– Aha – odparło zwierzę. – Od lat. Rozumiem. A pani ile ma lat? Proszę popuścić.

– Trzydzieści cztery – odparła Jagoda i spojrzała na wiszące w strzemionach stopy w czarnych skarpetach.

– Tak? – Zwierzę wydało pomruk uznania znad łona pacjentki. – To powiem pani, że jak patrzę, to to na ten wiek nie wygląda.

– Basia? Basia, to ty? Śpisz? Baśka, ja nie śpię. Wiem, że wcześniej, Baśka, ale do kogo ja mam zadzwonić, jak nie do rodzonej siostry? Nie łap mnie, Basia, za słowa, jaka może być inna siostra niż rodzona? Basia, mnie się ręce trzęsą, serce mi się trzęsie, Baśka. Nie jem, nie śpię, tyle zjem, co tego kurczaka z rożna. Baśka, ten kurczak mnie ratuje. Gdyby nie ten kurczak, to ja bym nic nie jadła. Basia, o niczym nie mogę myśleć. Ani o sprzątanu, ani o gotowaniu, Basia. Basia. Ja umarłam. Basia, mnie się żyć nie chce. Baśka, odrosty mam równo dwanaście centymetrów. Jeden centymetr to jeden miesiąc. Rok bez fryzjera. Bez Mieczysława. Basia, esemes brzmiał tak... Baśka, czy ty ziewasz? Baśka, ja się wstydzę wyjść z domu. Mnie się zdaje, że wszyscy wiedzą, szepczą o mnie, pokazują mnie palcem, nawet chichoczą. Basia. Ja już nigdy nie wyjdę z domu. Tyle, co po kurczaka z rożna. Niech mi

odrośty odrosną, co mnie to wszystko obchodzi? Umarłam, Baśka. Mieczysław mnie zabił. Mieczysław i ta jego sekretarka.

– Basia, śpisz? Basia, dlaczego Mieczysław mi to zrobił? Jak mógł, jak on w ogóle mógł napisać coś tak wulgarnego, obrzydliwego, Basia, wręcz, przepraszam cię za słowo: obleśnego? Basia. On miał Prousta w gabinecie. Ktoś, kto ma Prousta w gabinecie, nie pisze ordynarnych esemesów. Basia, w życiu bym nie pomyślała, że przegram z sekretarką. Basia, ja nawet nie chcę myśleć, co oni robią. Mieczysław do mnie nie dzwoni, nie oddzwania. Tyle co wpłaca pieniądze na konto. Jak to: po co dzwonię? Żeby spytać, czy żałuje. Ale nie odbiera. Basia, może on ma telefon zepsuty albo nie żyje?

Basia, zrobiłam coś złego. Wciągnęłam w moją rozpacz dziecko. Zadzwoiłam. Raz dzwonię, nie odbiera, drugi raz nie odbiera. Podobno był na spotkaniu. Bartuś, moje dziecko. Idź, spytaj Jagódkę, ile trwa spotkanie służbowe, bo wierzyć mi się nie chce, że dwie godziny. W końcu odebrał. Basia, nie będę kłamać. Nerwy mi puściły i popłakałam się. Bartuś, że nic nie rozumie, bo jęczę do słuchawki. A ja wyję, wyję, Basia: „Dziecko moje, dziecko, tylko ty mi zostałeś na świecie, synku kochany, ty i ciotka Basia, i Jagódka, i facet od kurczaków. A twój ojciec, złego słowa nie powiem na twojego ojca, bo to twój ojciec i zawsze nim będzie. Booże, jak ja nienawidzę Mieczysława i jego sekretarki, obojga ich nienawidzę, niech ich szlag trafi! A Bartuś, moje dziecko, mój syn, mój synek, powiedział: „Matka, nie płacz, wsiadaj w samolot i przyleć. Kupisz sobie coś ładnego”.

Baśka, jaki on się niemiecki zrobił. Praktyczny. Nie dał mi drugi raz opowiedzieć o mojej rozpacz. Od razu spytał, czy to już wszystko, bo on przeprasza, ale pracuje. A ile ja mu raptem czasu zajęłam? Godzinę? Co to jest godzinka, kiedy jego własną matkę jego własny ojciec zdradził?

– Basia. Śpisz? Zrób coś dla mnie. Idź, obudź Jagodę i spytaj, czy ona zna tę sekretarkę. Basia, skąd wiesz, może ta sekretarka jest znana z odbijania mężów? Baśka, czy ja proszę o wiele? Idź, spytaj Jagódkę, poczekam. Basia! IDŹ!

– Baśka? Baśka, co tak szepczesz, co, nie wiem, która godzina? Baśka, ja najlepiej wiem, która jest godzina, nie śpię, nie śpię, Baśka, rozpamiętuję

każde słowo z esemesa. Baśka, jak wygląda sekretarka? Dla jakiej sekretarki ty byś żonę rzuciła? Basia, sekretarki są ze wsi. Baśka, chyba ja wiem, skąd są sekretarki. Mieczysław zawsze powtarzał, że u niego są same przyjezdne. No to chyba ze wsi? Myślisz, że z miasta do miasta jeżdżą? Coś ty. Widzę, że jednak jeszcze mniej wiesz o życiu niż ja. To musi być wsiowa prosta dziewczyna. Ale cwana. Z aspiracjami. Wiesz, Mieczysław ma intelekt, dzięki mnie zresztą. Stanowisko ma. Też dzięki mnie. To ja go pchałam, inwestowałam w niego moją inteligencję i czas. W domu nic nie musiał robić. Więc intelekt ma. Ale ma też ponad pięćdziesiąt lat na karku i drugie tyle w prostacie. Co wulgarna, co wulgarna, Baśka, to są ludzkie sprawy! No, powiedz mi obiektywnie, kto inny mi powie, jak nie siostra? Kto by chciał faceta w tym wieku? Zamknij oczy i skup się. Baśka, jesteś? Przypomnij sobie mojego Mieczysława. Pociągałby cię? Co mam przestać, Basia? Myślisz, że wszyscy się ze mnie śmieją? Odrostów mam już na całą dłoń. Baśka. Ja umarłam. On mnie zabił. Ta lafirynda ze wsi mnie zabiła. Będę do końca życia siedzieć po ciemku, jeść kurczaka z rożna i hodować odrosty. Baśka, powiedz mi prawdę. Domyślałaś się? Kryłaś to przede mną? Baśka, czy wszyscy poza mną wiedzieli, że Mieczysław zgłupiał dla prostej dziewczyny od pługą? Basia, Jagódka śpi? Idź, spytaj Jagódkę, czy ma wśród koleżanek sekretarkę. Jak ma, niech zaprzestanie znajomości! Natychmiast! Basia. Głodna jestem. Zadzwońię za chwilę.

– Basia, śpisz? Basia, ja nie śpię. Przeczytam esemesa. Zapisałam sobie na kilku kartkach, żebym zawsze miała pod ręką. Basia, nawet jeśli słyszałaś, to co z tego? Z kim mam dzielić rozpacz, jak nie z własną siostrą? Ale wiesz, co jest dla mnie niezrozumiałe? Że Mieczysław nie oddzwania. Napisał mi tylko liścik. Liścik, jak do jakiejś kokoty: „Malino, zachowajmy spokój. Pozdrawiam”. Basia, ale powiedz, czemu Mieczysław nie walczył? Myślałam, że się wyprze, zaprzeczy. I co? Słuchaj, Baśka, co ciszej, co ciszej, niech mnie słyszy! Niech Jagoda wie, do czego zdolny jest mężczyzna! Jaka dziewczynka? Bój się Boga! Jagodzie za chwilę wybije czterdziestka i też będzie wyła do księżycy. Dobrze, trzydzieści cztery. Słuchasz mnie, Baśka? Nawiasem mówiąc, sekretarka ma dwadzieścia dwa. Skąd wiem, to wiem. Byłam pod biurem Mieczysława, użyłam podstępu. Woźny mi pomógł. Za dwie dyszki. Nawiasem mówiąc, Jagoda powinna się pośpieszyć, bo za chwilę nie będzie

miała szansy nawet na pięćdziesięciolatka. Jak ja miałam dwadzieścia dwa lata, to dla mnie pięćdziesięcioletni człowiek to był starzec. Zresztą kiedyś mało kto dożywał. O, przepraszam cię, Baśka... Nie chciałam cię urazić. Zaraz, bo się rozpraszam. Sama już nie wiem, czy się śmiać, czy płakać. Historia tak banalna, że kinematografia południowoamerykańska w porównaniu z love story mojego Mieczysława to produkcja oscarowa. Basia, czy Jagoda śpi? Idź, spytaj ją, co sądzi o pięćdziesięcioletnich mężczyznach. Czyby uległa? Basia, IDŹ, SPYTAJ! Basia, ja od prawie roku nie jem, nie śpię. Facet od pieczonych kurczaków bez proszenia mi cztery udka odkłada. Pierś jednak za sucha dla mnie. Słuchaj, Basia, czytam ci esemesa. Proszę bardzo, co rok temu pisał mój Mieczysław! Basia, jesteś? „Uwielbiam twoje twarde cycuszki na moim ciełe”. Powiedz mi, Baśka, jak na ciełe? Przecież on ze swoim brzuchem na brzuchu się nie położy, a na plecach nie może, bo ma dyskopatię. Baśka, on się doprowadzi do kalectwa! Ciekawe, czy jak zniedołężnieje, to mu sekretarka okład z cycków zrobi. Basia, idź, spytaj Jagody, może u niej w pracy sekretarki zwierzają się, jak to robią z cycuszkami. Idź, ja sobie zjem coś, bo od roku nic nie jem. Wrak człowieka.

– Basia, śpisz? A wiesz, co mi powiedział, kiedy go spokojnie spytałam o esemes? Nie, nie teraz, jak teraz! Dziesięć miesięcy temu.

On mi powiedział, mój Mieczysław, którego poślubiłam z miłości, z miłości, i powiedz Jagodzie, że serce to najgorszy doradca, bo gdybym miała rozum, tobym pojechała do Ameryki, na Florydę. Zaopiekowałabym się pięćdziesięcioletnim dziadem, pobralibyśmy się, wykupili miejsca w domu starców. Nie zbacжай z tematu, Baśka, mówiłam ci, co on mi powiedział?

Mój Mieczysław, wyobraź sobie, nie wyraził nawet odrobiny skruchy. Przeciwnie, na moje oko, pękał z dumy. Jakby go ta dwudziestoletnia dziewczucha ze wsi nobilitowała. Twardymi cycuszkami go nobilitowała. Mówiłam ci, co on mi powiedział, mówiłam ci?

„Trafiło mnie, Malino”.

Baśka, on taki prezes, dyrektor dystyngowany, że nawet w chwili przyłapania na zdradzie zwracał się do mnie w wołaczcu! Malino!

„Malino, trafiło mnie i nie umiem walczyć z uczuciem. Wiem, że zrozumiesz i nie będziesz robić scen. Zabezpieczę cię finansowo. Nie martw się. Mieszkanie jest twoje. Samochód biorę. Zresztą i tak nie masz prawa jazdy.

Malino, proszę, zachowaj spokój. Jesteś przystojną kobietą. Zadbaną. Zobacysz, jeszcze sobie ułożysz życie i będziesz szczęśliwa. Malino, prosiłbym, żebyś wskazała, gdzie leżą walizy. Będę się pakował”.

Basia, ja mu wskazałam miejsce. Tak mu wskazałam, że całe osiedle słyszało. Baśka, tak banalnie, tak banalnie. Z sekretarką! Basia, czy Jagoda śpi? Idź, spytaj Jagódki, czy może wie z pracy, ile trwa związek z sekretarką.

– Basia, śpisz? Basia, idź, obudź Jagodę, spytaj, czy mogłaby zacząć się na sekretarkę. Mnie nie chcieli wpuścić do biura. Może Mieczysław zakazał? Jak to: po co, jak po co, Baśka? Niech wie, że twarde cycuszki to nie wszystko w życiu. Ja jej uświadomię, ile jest roboty przy pięćdziesięcioletnim mężczyźnie. Tak jej obrzydę, tak jej zwichruję psychikę, że te jej twarde cycki zmiękną, opadną i będą wisały do kolan, do kostek! Baśka! Czy ja kiedykolwiek zacznę jeść, spać, funkcjonować?

– Basia, śpisz? Facet od kurczaków spytał, czy jestem chora. Mówił, że pamięta, że zawsze byłam taka elegancka, zadbana. Z włosami. A teraz podobno jestem zapuchnięta. Od zdrady się nie puchnie, powiedział. Pytał, czy mam hashimoto. Basia, może ja spuchłam od kurczaków? Przecież one są pędzone antybiotykami? Basia, idź, obudź Jagodę i spytaj, czy sekretarki stosują jakąś specjalną dietę. Może one jedzą kurczaki z hormonami na twarde cycuszki? Basia, umieram.

– Basia, śpisz? Basia, oglądam program o stylu. Basia, sekretarki się depilują. Wszyscy się depilują. Mężczyźni też. Basia, czy ty się depilujesz? Basia, idź, obudź Jagodę i spytaj, czy depilacja brazylijska jest bolesna. Basia, ja nie oszalałam, ja się tylko pytam, czy dla wygolonej pachwiny człowiek rzuca całe życie? Basia, rozłączam się na chwilę. Będzie o tym, co mężczyźni cenią w kobietach.

– Basia, śpisz? Oddzwaniem. Basia, czy ty wiesz, że mężczyźni wcale nie zwracają uwagi na wygląd? Basia. Owszem, Basia, liczy się pierwsze wrażenie. Zrobiono badania wśród mężczyzn i ankietowani odpowiedzieli, że gdyby mieli wybrać, to woleliby mądrzejsze niż ładniejsze. Oczywiście, o ile pierwsze wrażenie będzie pozytywne. Basia, obudź Jagodę i spytaj, czy u niej

w pracy badali mężczyzn pod tym względem. Ojej, no może akurat ktoś brał udział, nie możesz się spytać? Basia, rozłączam się. Kurczak się podgrzał. Zaraz będzie o potrzebach mężczyzny. Włącz sobie.

– Basia, śpisz? Basia, idź, obudź Jagodę i daj na głośnomówiący. Basia, wiem już wszystko o potrzebach mężczyzny. Nie, nie jednego, wszystkich ogółem. Basia, zanotuj dla Jagody.

– Basia, śpisz? Basia, facet od kurczaków dał mi *Pięćdziesiąt twarzy Greya* i skrzydełka zamiast nówek. Basia. Czytałaś? Basia. Na pewno sekretarka czytała. Idź, spytaj Jagody, czy już czytała. Wszyscy czytali, tylko jak zwykle ja nie czytałam. Basia. Nie przyjeżdżaj, chcę być sama.

– Basia, śpisz? Mam refleksję. Refleksję i nostalgię. Basia, ja się jeszcze nie umiem otworzyć i mówić o moim bólu. Grupa wsparcia działa bardzo nieformalnie. Właściwie Jagoda na razie nie ma zadań. Basia, nie, nie przyjeżdżaj. Basia. Skrzydełka nie są ekonomiczne. Same kości i skóra.

– Basia, śpisz? Basia, pojechałam do Rygi. Pochorowałam się. No, zwymiotowałam. Nie, Basia, nie po kurczakach. Basia, oglądałam w nocy program o potrzebach erotycznych mężczyzn. Basia, czy ty wiedziałaś, jak pieścić mężczyznę? Podobno całym ciałem. Rękami, nogami, językiem. Piersiami. Basia, idź, obudź Jagódkę i spytaj, czy wie, skąd sekretarki wiedzą, jak pieścić mężczyznę. Basia, facet od kurczaków ma na imię Andrzej. Jak Kmicic. Spytał, czy dla ratowania małżeństwa byłabym gotowa zostać swingersem. Basia, idź spytaj Jagodę, czy w pracy mówią o tym zjawisku. Basia, nie mam już elektrolitów. Basia, rozłączam się na razie, muszę pędzić, wiesz dokąd.

– Basia, śpisz? Przeczytałam książkę. Basia, wstydę się iść po kurczaka, bo Kmicic Andrzej będzie od razu wiedział, że czytałam. Basia. Odrosty mam na pół ręki bez mała. Nigdy nie byłam swingersem i nie uprawiałam seksu poza własnym łóżkiem. Basia, powiem ci coś. Basia, ja nigdy tego nie miałam. Jak to czego, Basia? Muszę do łazienki. Oddzwonię.

– Basia. Zasnęłaś? Basia. Zebrałam się na odwagę i powiem to na głos. Basia, słuchaj. Basia, nigdy nie miałam orgazmu. Ha. Powiedziałam to! A dlaczego mam się wstydzić? Wstydzę się, że nie miałam! Jakie osobiste? Basia, a komu mam powiedzieć? Basia, idź, spytaj Jagodę, czy sekretarki mówią coś o orgazmach.

– Basia, śpisz? Basia, nie przyjeżdżaj. Basia, zapisałam się jutro na odrosty. Kmicic Andrzej powiedział, że nigdy nie dałby mi pięćdziesięciu pięciu. Najwyżej czterdzieści osiem, chociaż, jak mówił, wydaje mu się, że spuchłam. I chyba ma rację. Przejrzałam się w lustrze. Basia, mi z tej rozpaczy limfa stanęła. Basia, czy Jagódka śpi? Idź, spytaj Jagódki, czy może doradzić ciotce salon odnowy biologicznej? Kmicic od kurczaków powiedział, że po oczach widzi, że jest we mnie życie. Basia, jest dla mnie nadzieja. Basia. Rozłączam się.

– Basia, żeby odejść od żony z powodu takich nowinek jak depilacja? Basia, Basia, koniec z odrostami. Basia, może tak być, że mi facet od kurczaków uratował życie. Z jednej strony zabija mnie powoli i systematycznie mięsem z antybiotykami, a z drugiej ratuje. Basia, jak to nigdy nie wiesz, co ci życie przyniesie? Jagódkę spytaj od razu, kiedy pójdzie z ciotką na zakupy. Mieczysław zemdleje, jak zobaczy wyciąg z karty.

Był piątkowy wieczór. Wieczór, na który tysiące wyrobników w setkach korporacji oczekują z wytęsknieniem, a poranek dnia następnego witają depresją w czystej postaci.

Nie inaczej rzecz miała się z Jagodą. W nocy z piątku na sobotę zasypiała z mocnym postanowieniem, że weekend spędzi w sposób twórczy, intensywny i radosny, cokolwiek miało to znaczyć. Ze snu, w którym spożywała szwedzkie śniadanie przy szwedzkim stole, które przygotowała szwedzka rodzina Larsa, wyrwał ją donośny głos Mańka.

Na jego głośnie: „Dzień dobry, Baśka, co ja tu mam dla was!”, mamusia, najwyraźniej podekscytowana wizytą mężczyzny o tej porze dnia, odpowiedziała poufnie: „Cicho, cicho, bo dziecko śpi”. Potupali jeszcze trochę po kuchni i przedpokoju, a z szeptanej rozmowy Jagoda dowiedziała się, że pożytku nie ma z niej żadnego. Jak już przyjdzie z pracy, to albo leży,

albo śpi, albo rozmawia z Beatą przez telefon, albo popija z panią Ireną.

Ze zdumieniem przyjąwszy informację o nałogu uprawianym ze starszą panią, Jagoda zaczekała, aż głosy za drzwiami dużego pokoju umilknął, wstała, naciągnęła na siebie puchaty szlafrok, bo jednak bycie paryżanką, gdziekolwiek się jest, zobowiązuje. Przemywszy zęby oraz lico, udała się do kuchni, lecz bynajmniej nie znalazła tam świeżego croissanta. Znalazła natomiast złożoną starannie piątkową gazetę, którą najwyraźniej musiała rzucić na kuchenny stół po powrocie z pracy. Oprócz prasy, na stole leżał pokrojony razowy chleb oraz – jak wynikało z etykiety – osełka prawdziwego masła.

Jagoda zalała kawę zbożową wrzątkiem, dołała mleka i posłodziła miodem. Wzięła kromkę chleba i posmarowała cienko masłem. Po namyśle posmarowała od razu drugi kawałek chleba. Można żreć do woli. Nie ma się dla kogo głodzić, a chleb pachnie doprawdy uwodzicielsko i ma grubą chrupiącą skórę.

Gryząc razowiec z masłem, Jagoda zaczęła przeglądać gazetę. Kupowała ją wyłącznie raz w tygodniu i wyłącznie w piątek, bowiem tego dnia dołączany był program telewizyjny. Lektura rozpisanego programu, wraz z opisem co atrakcyjniejszych pozycji, dawała pozorną nadzieję, że dwa długie wolne dni, w przypadku gdyby nic się nie stało, znowu nic się nie wydarzyło, będzie można jakoś przetrwać. Na szczęście telewizja emitowana była całą dobę i gdyby nie mogła spać albo nie daj Boże, obudziła się o szóstej rano, Jagoda zawsze mogła liczyć na powtórkę jakiegoś serialu i chłonać losy fikcyjnych kochanków.

Sięgnęła po długopis, żeby zakreślić filmy i programy, które najpewniej z braku innych rozrywek, będzie oglądać w nadchodzącym tygodniu. Był październik. Koszmar zacznie się w listopadzie. Poczawszy od Święta Zmarłych i nadawanego w tym czasie *Znachora* na przemian z *Trędowatą*, poprzez całą serię cikliwych komedii romantycznych z Julią Roberts i Kate Hudson, skończywszy na Bridget Jones, przypadku niemożliwym, kiedy to obfita pupa, której powszechny rozmiar doprowadza do rozpaczki większość kobiet na świecie, tylko i wyłącznie w scenerii filmowej zapewnia Bridget miłosną rywalizację dwóch najprzystojniejszych aktorów brytyjskich.

– Science fiction – mruknęła Jagoda.

Trudny czas przedświąteczny trzeba będzie przetrwać z książką. Jakakolwiek propozycja filmowa o miłości możliwej i spełnionej będzie zbyt frustrująca. Na ten czas należy wybrać lekturę o pokaźnej objętości. Najlepiej



dwutomową. Co szkodzi po raz kolejny przeczytać *Annę Kareninę* i mieć przed oczami obraz Tołstoja, który w walonkach na dupie ucieka od żony?

Rozmyślania o przedświątecznym repertuarze telewizyjnym przerwało wejście matki. Z pewnym zaciekawieniem Jagoda skonstatowała, że mamusia pozbyła się zgrzebnej spódnicy i burego swetra na rzecz legginsów i srebrzystej tuniki. Części tej garderoby nabyła zresztą, za radą Mańka, na bazaru pod Halą Marymoncką.

– Weź no, Baśka, się ubierz jak człowiek. Jak kobieta. Chodzisz jak pokutnica – powiedział Maniek, a Barbara posłusznie kupiła i chińskie legginsy, i chińską tunikę. I postanowiła, że któregoś ranka pojedzie na bazarek sama po kilka par majtek i ze dwa biustonosze. Takie bardziej wyjściowe.

Rozsiewając srebrzysty blask z rękawów typu kimono, Barbara wzięła kilka kromek pieczywa i osełkę masła. Rzuciła w stronę Jagody nieprzytomne spojrzenie i powiedziała tylko:

– Nie jedz suchego chleba, jest chuda wędlna dla ciebie. Będziesz tak dalej postępować, to zobaczysz, do czego się doprowadzisz.

I kłapiąc obcasami nowych pantofli domowych na słupku, wróciła na salony.

Jagoda upiła spory łyk kawy zbożowej i wróciła do programu telewizyjnego. Z przyjemnością stwierdziła, że wieczór można uznać za zaplanowany. Wieczorem bowiem miała nastąpić emisja filmu amerykańskiego pod tytułem *Elegia*. Na szczęście miał to być melodramat. Film, jak informował recenzent, opowiadał o przepełnionej erotyzmem fascynacji starszego wykładowcy i krytyka teatralnego w jednym z jego studentką. Relacja z dużo młodszą kobietą, traktowaną początkowo wyłącznie jako obiekt seksualny, uświadomi bohaterowi nieumiejętność budowania bliskości, a w konsekwencji związku. Wyzwolenie bohaterom przyniesie wiadomość o śmiertelnej chorobie. Będzie płacz (Jagoda aż zamruczała z ekscytacji). Zadzwońię po Beatę, niech przyjedzie. Będzie dół, ożywiła się i z apetytem pochłonięła trzecią kromkę razowca, tym razem obłożonego chudą wędliną dla dziecka.

Z miłą świadomością wieczoru zaplanowanego w towarzystwie Bena Kingsleya i mocno owłosionej Penelope Cruz, Jagoda powoli przerzucała kolejne stronicie gazety. Kryzysy walutowe, globalne ocieplenie, zasadność unii gospodarczych, kurek od gazu, wysokość emerytur. Przy czym słowa „wysokość” i „kwota” zestawione ze słowem „emerytura” spowodowały, że Jagoda, jak co tydzień przy lekturze informacji ekonomicznych, wpadła

w panikę. Na starość z pewnością zostanie pozbawiona nie tylko emerytury, lecz także prawa do sztucznej szczęki i dodatku na pieluchy. Nieco markotna kartkowała grubą gazetę, aż jej wzrok spoczął na intrygującym tytule: *Z miłości do Fidela*.

Fidel zasługiwał na drugą kawę zbożową. Jagoda zalała wyciąg z cykorii i wsiąkła w kubańskie love story.

Otóż historia była gorąca niczym koniec zapalonego cygara.

Oto Naty Revuelta, piękność o szmaragdowych oczach i talii tak wąskiej, że mężczyźni pragną zaciskać wokół niej dłonie. Oto znudzona żona niemal dwukrotnie starszego od niej lekarza Orlando Fernandez, która czas do powrotu męża z pracy spędza bezużytecznie w wielkim domu w Vedado.

Każdego ranka, kiedy zapach jaśminu wdziera się przez okna posiadłości, niania zabiera od niej córeczkę Ninę, karmi i przebiera w delikatne koronki. Po sjeście życie Naty nabiera nieco tempa: Naty spotyka się ze znajomymi. Gra w kanastę lub rozgrywa partię tenisa. Ze złotych talerzy zajada ostrygi i słodkie omlety. Eleganckie posiadłości i klub jachtowy to jej naturalne środowisko. Jednak większą część dnia spędza w zaciemnionym pokoju. Tkwi przed telewizorem, dopóki jej mąż Orlando nie wróci z kliniki. Ale on zjada obiad i zasypia w fotelu.

Wieje piekielną nudą. Samotność jest przejmująca.

Wiosną 1952 roku Naty bierze lnianą kopertę, spryskuje ją perfumami Lanvin i wkłada do niej klucz. List wysłała do Fidela Castro.

W chwili kiedy to robi, jeszcze się nie znają. Och, fakt. Spotkali się raz, podczas demonstracji, w romantycznym świetle księżycy na schodach uniwersytetu w Hawanie. Ubrana w elegancką sukienkę, ze złotą papierośnicą w dłoni, Naty nie wyglądała na biedną studentkę. W odpowiedzi na list Fidel pyta wprost: „Czy chciałaby pani, żebym ją indoktrynował?”.

– Jestem wolna każdego popołudnia po piątej (w tonie głosu Naty aż nadto wyczuwalny flirt).

Od tego czasu w jej domu, pełnym francuskich mebli, rozpoczęły się spotkania twórców rewolucji. Klucz do jej mieszkania, oprócz Fidela, dostali także dwaj członkowie jego partii. Konwencje towarzyskie i status małżonki powstrzymały Naty przed popełnieniem upragnionego szaleństwa: pójścia z rewolucjonistami w góry. Było to ogromne wyrzeczenie, bowiem tak jak jej angielski dziadek Herbert Clews, miała duszę romantyczki żadnej przygód. Pomogła jednak rewolucjonistom w inny sposób. Pierwsza wpłata do banku

wyniosła sześć tysięcy dolarów. Zaraz potem z szufladki szafki nocnej, która skrywała wykładane pluszem pudełko na klejnoty, poczęły znikać diamenty, szmaragdy, szafiry, za które Naty kupowała broń dla walczących towarzyszy. Kiedy po nieudanym ataku na koszary Moncada Fidel został aresztowany, napisała do niego list. Początkowo pisywali o książkach. Naty uzupełniała listy dziełami ulubionych pisarzy francuskich: Rollanda, Hugo, Balzaka. Na pierwszy list Fidel odpowiedział entuzjastycznie, skreślając, zgodnie z ograniczeniami więziennymi, zaledwie krótki liścik. O Dostojewskim wypowiedział się następująco: „Tak, jestem pod wrażeniem, jednak wolę Marksa”.

Ich listy zaczęły przybierać coraz bardziej intymny charakter. Nie pisali już tylko o książkach. Pojawiły się rozmowy o lampach oliwnych, ciastkach z kremem, kapeluszach. Do jednej z kopert Naty nasypała piasku, żeby przypomnieć Fidelowi złotą plażę. I bez względu na to, że Fidel, podobnie jak ona, nie był wolnym człowiekiem, poprzez te listy zostali kochankami.

„Twoje zdania są jak pocałunki, jak miód, którego słodczy nigdy dosyć”, pisał.

„Cała jestem miłością”, drżała Naty, a Jagoda drżała wraz z nią.

– Jak ty wyglądasz? Gorączkę masz? – spytała mamusia i odruchowo dotknęła ręką czoła Jagody. – Mówiłam ci, żebyś się odżywiała. Zima idzie, witaminy jedz, wędlinę jedz.

– Tak – odpowiedziała Jagoda i wróciła do czułych wyznań Fidela.

„Moje uczucie jest tak silne, że mógłbym cię trzymać w ramionach. Mógłbym cię także zgnieść jak kwiat”.

– I sama powiedz, Baśka. Sama powiedz, co to jest za chleb? – dało się słyszeć głos Mańka zza niedomkniętych drzwi. – No, powiedz, Baśka. Weź no jeszcze kromkę i sama powiedz.

Na próżno Jagoda usiłowała skupić się na dalszych losach kochanków, powiciu przez Naty córki Aliny, odrzuceniu matki i dziecka przez Fidela, zawodzie miłosnym i typowo kobiecej, pozbawionej logiki miłości bezgranicznej. Świat interesowały poważniejsze sprawy niż romantyczne zrywy i rewolucyjne idee.

– No, powiedz sama, Baśka. Mnie od białego pieczywa wzdymało. Normalnie jadłem rano kromkę, dwie kromki i od razu bebecz jak bęben. Zgaga i mdłości. A wypróżnienia nie było. Jakby ten biały chleb wszystko zatrzymywał. Jak korek. A żołądek pod gardło podchodził. Bo to, Baśka,

wiesz, jak się człowiek czuje, jeśli nie chodzi regularnie. Normalnie zatrucie organizmu. A ten chleb to mi pod Halą Marymoncką jedna kobita poleciła. Stała przede mną po ziemniaki. Na ziemniakach to się trzeba znać, Baśka, bo to ziemniak ziemniakowi nierówny. Ja tylko irgę biorę. Kobita też irgę brała. No to zaczęliśmy rozmawiać o tym i tamtym. Mądra kobita, mówię ci, Baśka. Ziemniaki w piwnicy trzyma. I ona się mnie pyta, co ja taki niewyraźny jestem. To jej mówię, że już parę dni nie byłem. A chleb jaki pan je? No, biały, pszenny. A ona pokazuje mi bochen w torbie i mówi: „Kup pan ten, z pełnego przemiału. Ciężki, wilgotny. Zobaczysz pan, co wyjdzie. Zwarty, lśniący i w jednym kawałku. O tam, w tej budce pan dostaniesz”. I ja ci mówię, Baśka. Jakbym drugie życie dostał, Baśka. Normalnie, bez wysiłku. W jednym kawałku. Modelowo. Codziennie. Sama zobaczysz. Jagoda też niech je.

Z dobrych rzeczy Jagoda miała dobrą pracę.

Od zawsze, to jest od ukończenia studiów, pracowała w nastawionej prorodzinie i prosocjalnie szwedzkiej firmie logistycznej. Bez wahania można powiedzieć, że zrobiła spektakularną, jak na kobietę, karierę. Od początku szła jak burza. Od bezpłatnych praktyk, przez stanowisko recepcjonistki, asystentkę działu sprzedaży, w którym asystowała zwykle żonatym kolegom, po samodzielną funkcję kierowniczkę od piłek antystresowych, jak w skrócie nazywała owo stanowisko „Public Relations and Marketing Manager” przeważająca w firmie męska część pracowników. Oprócz Jagódki, z kobiet była jeszcze sprzątaczką, kadrową i księgową w jednym oraz recepcjonistką, którą ze względów wizerunkowych filia ze Szwecji mianowała Office Assistant.

Menedżerem była Jagoda od pięciu lat. Samodzielnym od czterech. Samodzielnym, czyli bez zespołu i niezbędnego wsparcia. Samodzielnym, czyli sterem, okrętem, żeglarzem, majtkiem i frajerem w jednej osobie. Samodzielnie zapierdziałała, rozstawiając roll-upy podczas konferencji, rozkładając ulotki na krzesłach, stołach, stojakach czy opracowując plany marketingowe i public relations.

– Czy pani odleci na tym drągu? – wysilił się na żart jeden z prezesów firmy transportowej, korpulentny wążacz, który po zjedzeniu darmowego posiłku w przerwie między panelami konferencji dogadzał sobie ciastkami bankietowymi. Bez zażenowania stanął za Jagodą, tak by w pełnej krasie

widzieć jej wypięty tyłek, kiedy składała stelaż roll-upa.

Przez pierwszy rok, po zwolnieniu trzech osób z zespołu marketingu i public relations, Jagoda regularnie w każdy piątek przed odlotem szwedzkiego prezesa na weekend do szwedzkiego dobrobytu, państwa socjalnego i poszanowania obywatela, pukała w jego przeszklone drzwi, zawsze otwarte dla pracowników, anonsując przybycie problemów. Szwedzki prezes zapraszał ją skinieniem głowy, wskazywał na krzesło. Wzdychał. Jagoda zajmowała krzesło, patrzyła trochę z wyrzutem, trochę ze smutkiem, trochę ze złością, że jak to, że jak to, czy myśmy wojnę wygrali, czy przegrali? Bo jeśli żeśmy wygrali, to czemu ona, jak jaka bohaterka pozytywistyczna, musi iść i tłumaczyć obcemu, że nie da rady jeden robić za troje? Nie da rady. I że zaraz ją szlag trafi i że dlaczego po godzinach, dlaczego po godzinach jest bezpłatne? I co w końcu z zasileniem zespołu? Czy tak ma (do jasnej cholery!) wyglądać praca? Fizyczna i umysłowa, dokładnie w tej kolejności. Od klęczenia na podłodze w rozmaitych hotelach, bo się, do cholery, te (gówniane!) roll-upy nie rozkładają, czy ona naprawdę musi przeżywać takie upokorzenia w branży męskiej? Czy nawet na porządny sprzęt nie ma budżetu? Nie ma już chyba hotelu, w którym by się nie wypinała, i nie ma chyba prezesa, który by jej na tyłek nie patrzył albo w biust nie zaglądał, kiedy ten aluminiowy badziew rozstawia. Po przygotowywanie ulotek, broszurek, prezentacji, artykułów prasowych, planów kwartalnych, rocznych, strategii długoterminowych. Ale nie to jest najgorsze. Najgorsze jest to, że wy tam w Szwecji jecie *lax* i borówki z lasu. Tworzycie społeczeństwo obywatelskie. Najpierw donosicie na siebie za przekroczenie prędkości i tego samego dnia razem grillujecie. O zęby dbacie. Każdy sport uprawia. Skąd człowiek może mieć tyle czasu na sport i na grilla? Ja rozumiem, że polski oddział nie przynosi takich zysków, że trzeba w nas pakować, dofinansowywać nas, uciąć nam angielski, żebyśmy się jeszcze bardziej z wami nie mogli dogadać, ale czy ja nie mam prawa do grilla i sportu? Czy to normalne, że wracam skonana i nie wiem, czy jeszcze w laptopa zaglądać, ślęczyć nad raportami, zestawieniami, planami, szkicami ulotek, czy już tylko cienkie kakao z matką przed snem pić, jak jakaś angielska stara panna? Wy śledzia na słodko, a ja w tym samym czasie cienkie powojenne kakao pite ze starą matką w źle ogrzanym pokoju. Za oknem szaruga, słota, wrony, kruki, wszelkie ptactwo. Zastrane parapety. Zimno na zewnątrz i zimno w sercu. Mróz. Matka potrzebuje nowych leków, a ona, Jagoda, zaspokaja się po kryjomu pod kołdrą. Matka drepcze źle ogrzanym

korytarzem. Trzeba być cicho.

To właśnie miała do powiedzenia szwedzkiemu prezesowi. Zwłaszcza o cienkim kakao. I jeszcze o ślepnącej matce. Być może także o smutnym losie chłopca pańszczyźnianego.

Na widok wyrobniczy roku szwedzki prezes odruchowo luzował krawat. Gdyby nie był Szwedem, pomyślałby: „Co to za naród? Zamiast się cieszyć z obcego kapitału i miejsc pracy, to przychodzą z regularnością szwajcarskiego zegarka, żeby się poskarżyć, naskarżyć, wylać żale, frustracje”. Ale że był Szwedem, to drzwi jego gabinetu były zawsze uchylone. A gdyby któryś z pracowników miał problem z angielskim, to zawsze może napisać list po polsku i użyć Google Translatora.

– Jagoda... – Szwedzki prezes nabierał powietrza. – Jagoda – powtarzał i wyszczerzał zęby w uśmiechu. – Mówić ty wszystko – mówił po polsku i dyskretnie patrzył na zegarek.

I Jagoda opowiadała o odwiecznym dylemacie „świat a sprawa polska”. O ciężkiej doli chłopca pańszczyźnianego. O pracy ponad siły. Że tydzień ma siedem dni. I siedem nocy. I przez siedem dni i siedem nocy Jagoda mogłaby pracować. Tyle jest pracy. A Jagoda jest jedna. Jedna. A pracy dużo. Więcej niż dla jednej osoby. Dla trzech osób. Co najmniej dla trzech. Ale Jagoda nie narzeka. Robi swoje. Robi, co trzeba. Orze, jak może. Tyle że już nie może. I przyjdzie taki dzień, którego to dnia przepracowana Jagoda popełni błąd. A błąd popełniony będzie wskutek przepracowania.

– Tylko kto to zrozumie? – pyta Jagoda i patrzy oczekująco w błękitne szwedzkie oczy.

– Rozumieć Jagoda – odpowiada szwedzki prezes po polsku. – Oczekiwania twoje? – dodaje. – Co powiesz? Jakie rozwiązanie?

Jagoda wzdycha. Tyle powstań zaprzepaszczonych! Co żeśmy powstali, to już żeśmy upadali. Wieki pod obcym jarzmem. Teraz też. Ale tego powiedzieć nie wolno. Młodzi z kraju wyjechali. Jak się obcy kapitał wycofa, to nawet na cienkie kakao nie starczy. Powiedzieć, odpowiedzieć, należy co innego. O umiłowaniu pracy swojej. O szacunku dla szwedzkiego pracodawcy. O szczerym uznaniu dla prosojalnego i prorodzinnego charakteru firmy.

Szwedzki prezes potakuje. Tak, tak, Jagoda. A Jagoda też potakuje. I ona wie, a tym bardziej szwedzki prezes wie, że dalej będzie nosem ryła i zębami, i pazurami trzymała się tej dobrej pracy. Ale co ma nie spytać? Polacy zawsze zadawali pytania, zawsze się o swoje upominali. Bo kto im pomoże i kiedy?

To Jagoda też zada pytanie. Może i zadawała to pytanie wiele razy, ale może, jak zada raz jeszcze, to coś się stanie? Odmieni?

– Czy jest szansa na zatrudnienie kogoś dodatkowego? Czy jest taka szansa? Kiedy? – stawia pytania Jagoda.

Szwedzki prezes wciąga powietrze. Wypuszcza je w trzech, a może czterech urywanych oddechach. Jagoda już wie, że nie jest to symptom zawału. Poza tym szwedzkiemu prezesowi nie grozi ani wylew, ani zator. Jada tłuste ryby i ma karnet do klubu golfowego. Nie dusi się, tylko myśli. Szwedzi tak mają, kiedy myślą. Szwedzki prezes świszczce przez nos i nabiera powietrza ustami. Jest i chrupnięcie. Oznacza to, że szwedzki prezes udzieli odpowiedzi.

A Jagody myśli idą dalej. Już jest w ciasnym ciemnym pokoju matki. Matka sączy cienkie kakao i pomiędzy jednym łykiem a drugim gdera niezadowolona. Jagoda nie ma nad nią litości. Nie podała nawet kruchego ciasteczka. A matka jest głodna. Matkę ssie. Ale co Jagoda może wiedzieć o głodzie! Młodzi nigdy nie są głodni. Hm. Chociaż Jagoda nie jest już młoda. Jest prawie tak samo stara, jak matka. I co jej przyszło z życia? Jagoda nie odpowie matce. Co miałyby powiedzieć? O niebiańskim smaku kanapki z *lax*? O pożądaniu tak silnym, że aż ciemniało w oczach, a naiwności jeszcze większej? O przeszywającym zimnie, kiedy leży się samej w ciemnościach, a oczy pieką od łez?

Szwedzki prezes poluzował krawat. Nigdy i nigdzie krawat go nie cisnął. A w Polsce cisnął. Wypuścił z siebie powietrze, westchnął, bo Polacy wzdychają i rozumieją tylko tych, którzy wzdychają. Westchnieniem dał do zrozumienia, że rozumie złożoną sytuację chłopa pańszczyźnianego.

Po pierwsze, szwedzki prezes dziękuje Jagodzie za okazane zaufanie. To dobrze, że Jagoda przyszła do niego, podzielić się swoimi przemyśleniami. Drzwi do gabinetu są bowiem zawsze otwarte. Uchylone. Dla każdego.

Po drugie, szwedzki prezes bardzo ceni Jagodę. Jej pracę, oddanie i profesjonalizm.

Po trzecie, chciałby przypomnieć, że był kryzys. Światowy kryzys, szwedzki prezes zatoczył rękami koło, obrazując w ten sposób kulę ziemską. Kryzys światowy to nic w porównaniu...

– W każdym razie... – Ugryzł się w język szwedzki prezes i zaświszczał.

No, może i oni składali z listewek Biskupin w czasie, kiedy dynastie zachodnie budowały zamki. Nie można oceniać. Szwedzki prezes chce tylko przypomnieć, że był kryzys. Dotkliwy. Konsekwencje ponosimy wszyscy.

Zarówno osoby zwolnione, jak i osoby, które musiały wziąć na siebie więcej.

Po czwarte, szwedzki prezes dziękuje, że Jagoda jest otwarta na dialog. Cieszy się, że rozumie, iż polski rynek nie jest może tak chłonny, ale z pewnością perspektywiczny.

Szwedzki prezes uważnie dobiera słowa.

Po piąte, szwedzki prezes sam czuje na swoich barkach odpowiedzialność. By nie powiedzieć: misję. Domniemywa, że tak samo czuje Jagoda. Mają pracę. Są potrzebni. Przed nimi zadania i cele.

Szwedzki prezes powie wprost. Jagoda jest inteligentna i rozumie.

Nie ma budżetu na zatrudnienie dodatkowych osób.

Szwedzki prezes powie więcej. Budżetu nie ma. I nie będzie.

Niestety.

Szwedzki prezes rozkłada ręce.

Szwedzki prezes o nadgodzinach nie chce słyszeć. To wbrew regulaminowi. Jeśli regulamin nie stanowi o nadgodzinach, to szwedzki prezes dziwi się, że Jagoda je generuje. Niedobrze. Skoro jednak już się stało zło najgorsze i Jagoda złamała wewnętrzne przepisy, bo pracowała ponad normę, szwedzki prezes nie wyciągnie konsekwencji. Tym razem. Tym razem szwedzki prezes sugeruje odebranie przez Jagodę dodatkowego dnia pracy zdalnej. Może w warunkach pracy w domowym zaciszu Jagoda ochłonie i nabierze dystansu. Czy coś jeszcze? Jagoda, okej?

Okej, kiwa głową chłop pańszczyźniany i opuszcza gabinet szwedzkiego prezesa. Rozmyślając o filiżance cienkiego kakao sączzonego przez przygłuchą matkę, Jagoda idzie powoli korytarzem w stronę swojego boksu. W pokoju handlowców afrykańscy chłopci odcinają maczugą dojrzałe ziarna kakaowca. Metoda pozyskiwania ziarna nie zmieniła się od setek lat. Jagoda sama czuje, że nic się nie zmieniło od setek lat. Będzie dalej maczugą czy umownym roll-upem wywijać. W zimne wieczory pić z matką cienkie kakao. W tym samym czasie szwedzki prezes i Lars *lax*, i im podobni będą dożywać szczęśliwej emerytury wypełnionej podróżami oraz wyborem wygodnego i dyskretnego w obsłudze domu starców.

Doprawdy, w obliczu mieszkania z matką dodatkowy dzień pracy w domu będzie prawdziwym prezentem dla matki. A matka będzie mogła dopilnować, żeby jej dziecko wypilo wyciśnięty sok z buraków albo zjadło płucka zakupione przez Mańka. Błada półsierota.

Jest dobrze, afirmowała się wieczorem Jagoda, starając się wzniecić



płomień entuzjazmu do pisanego artykułu o magazynach wielkopowierzchniowych.

Jestem szczęściarą. Mam pracę, zarabiam, jestem samodzielna, mam mieszkanie dla męża. Nie mam męża. Mam matkę. Jagodzie zatrzęsa się broda. Łzy jak grochy popłynęły z orzechowych oczu. Za oknem hulał wiatr. Matka zaczęła zrzędzić i nawoływać córkę ze swojego pokoju. Jagoda zagryzła wargi. Musi wytrzymać. Matka nie ma nikogo oprócz niej. Powinna pójść, zrobić matce kolację. Przygotować kakao. W tym samym czasie inne kobiety, znacznie młodsze i ładniejsze od Jagody, ale również starsze i brzydsze, gotują kolację dla swoich mężów i dzieci. Przewracają na patelni kotlety i patrzą z dumą na rodzinę zgromadzoną przy kuchennym stole. Ciepłe światło lampy oświetla czubki głów. Żony rozpiera duma. Mają udane rodziny. Cała ich czwórka, piątka, szóstka. Jest dla kogo i po co żyć. Po kolacji żony sprzątną szybko ze stołu, zagonią dzieci do mycia, a same wyprasują bawełniane majtki męża (ma podrażnioną skórę od jakiegoś czasu, a przecież w domu czysto). Ubraniek dzieci już nie wyprasują. I tak ubrudzą szybciej, niż ponoszą. Szkoda czasu. No i trzeba się zabrać do jutrzejszego obiadu. Duża rodzina, duży apetyt. I spróbować podejść męża. Idą święta. Będą potrzebne pieniądze. W ich domu pachnie domem. Gdyby tak mogły rzucić pracę i bez reszty poświęcić się rodzinie! Oj, marzenia...

Jagoda, połykając łzy i dmuchając nos w chusteczkę, wystukała tytuł artykułu: „Zarządzanie pracą w magazynach wielkopowierzchniowych”.

W małej przeszklonej salce konferencyjnej był już cały dział software, złożony z menedżera Roberta oraz czterech opiekunów kluczowych klientów. Kierownik Robert z pochyloną głową siedział przy biurku i patrzył w niewidzialny, sobie tylko znany punkt. Miał tendencję do zamyśleń, zwłaszcza pod koniec kwartału, nie mówiąc już o końcu roku. Pozostali panowie stali pod ścianą. Mowa ich ciał (gwałtowne pochylanie się w stronę rozmówcy, machanie rękami, potrząsanie głową) zdradzała silne poruszenie.

Jagoda spojrzała szybko w ich stronę i jeszcze szybciej zrozumiała podniecenie kolegów. Dostali nowe służbowe smartfony. Z kilku urywanych zdań i partykuł odczytała, że dostali totalne gówno. Podobno wstyd będzie wyciągnąć taki paździerz przy kliencie. Gdyby mogli, pokazywaliby sobie siusiaki, pomyślała. Niestety, nie wypada.

Spokojnie. Przemawiać do nich jak do dzieci. Pani Irena zawsze powtarzała, że do mężczyzn należy mówić jak do dzieci.

– Generalnie to jest grupa społeczna upośledzona w różnym stopniu – mawiała pani Irena i częstowała nalewką z pigwy. – Najgorszą rzeczą, jaką można zrobić, to traktować mężczyzn poważnie. Najlepiej przytakiwać. Mówić, że mają rację, i robić swoje. Nie przejmować się. Nie daj Boże płakać przez nich! Traktować jak lekko chorych, z zawartością pod sufitką nie do końca rozpoznaną. We wszelkich kontaktach udawać skończoną kretynkę. Patrzyć okrągłymi ze zdziwienia oczami. Trochę z podziwem, trochę z niedowierzaniem. – Pani Irena demonstrowała, a jej oczy istotnie przybierały kształt okrągłych niczym piłeczki pingpongowe dwóch błękitnych znaków zapytania. – Dziwić się, przypatrywać z szacunkiem. Trochę z fascynacją. Słuchać. W trakcie słuchania robić minę wyrażającą wstrząs poznawczy. Przekaz miny ma być następujący: „Ojej, naprawdę? Nie wiedziałam...”. Te same słowa powtarzać na głos. Komunikat ma brzmieć: „Jak mogłam do tej pory żyć i nie wiedzieć tego...”. Trzeba jednak uważać, żeby nie przeszarżować. Dodanie do powyższych słów na przykład: „O, ja, głupia cipa, nie wiedziałam!”, może zburzyć zaufanie rozmówcy, obudzić w nim podejrzliwość, a w najgorszym wypadku pewność, że jest obiektem kpin. Zdziwienie ma być ostrożne. Zdziwienie należy poprzeć komplementem. W ogóle należy komplementować mężczyzn, ile się da.

– Aha – dodawała wraz z kolejnym kieliszkiem naleweczki pani Irena. – I kreować się na bezbronną niewinną kobietę, której trzeba wyjaśniać cały świat. Przed światem chronić i rzucać jej świat do stóp.

– Dzień dobry panom. Jacy eleganccy – przywitała się Jagoda.

Robert wstał i kurtuazyjnie podsunął koleżance krzesło. Lubiła Roberta. Był fachowcem, tak poza wszystkim. Ale był także niezwykle miły i wrażliwy. Rzadkość w tych czasach. Zwłaszcza w przypadku mężczyzn, pomyślała zgryźliwie.

– Witaj, królowo. – Robert jak zwykle starał się wyróżnić koleżankę na tle samców. – Jak tam seks? – spytał i nie czekając na odpowiedź, wyznał, przybierając przy tym minę zbitego psa: – A ja się zakochałem.

Robert zakochiwał się średnio raz na tydzień.

– Taaak? Powiedz – poprosiła Jagoda.

– Oj, nie, nie, nie. Wstydzę się. – Robert spłonił się jak panna i założył nogę na nogę. – Nie powiem – powiedział, zachęcając tym samym koleżankę do zadawania pytań.

– Oooh, Robert, Robert, poowiedz, prooszę. Czeekam.

Robert przygryzł wargę i klepnął się w kolano. Zaraz powie, obstawiła Jagoda.

– Tancerka – wyjawiał sekret. – Piękna. – Robertowi aż głos uwiązł w gardle. – Panowie, siadajcie, proszę, ile można gadać? Zupełnie jak baby – przywołał ich do porządku wrażliwy na piękno kobiet kierownik. – Czas rozpocząć spotkanie.

Czterech opiekunów kluczowych klientów usiadło przy stole konferencyjnym.

Wszyscy żonaci, skonstatowała po raz nie wiadomo który Jagoda. Niektórzy nawet ponownie.

– Panowie. – Robert rozpoczął spotkanie. – Omówimy dzisiaj nasz event dla kluczowych klientów. Jagoda, założenie jest proste. Trzeba ich tak dopieścić, żeby po powrocie do swoich biur przekonali zarząd, księgowych, kogo trzeba, o konieczności wydania niewydanych w tym roku pieniędzy. Ona ma na imię Manuela. Naprawdę Monika, ale to jej pseudonim artystyczny.

– Kto? – pogubiła się Jagoda. – Aaa, tancerka? A co tańczy?

– No, wczoraj nie za wiele tańczyła. Dlatego mieliśmy okazję pogadać. – Robert płonął w rumieńcach. – Panowie, proszę, spokój. – Opiekunowie klientów najwyraźniej nie mogli się pogodzić z zakupem przez firmę nowych smartfonów. – Omawiamy kluczowy event dla kluczowych klientów. Omawiamy wasze przyszłe być albo nie być.

– Co za ciało! – Robertowi drżały dłonie. – W życiu nie widziałem tak pięknego ciała. No, może moja żona miała takie w liceum. Chociaż nie. To nie ona. Długie smukłe nogi, okrągłe pośladki. Takie jabłuszka, Jagódka. – Robert narysował w powietrzu dwie kule. – Przepiękna długa szyja. Skóra – alabaster.

– Ale cycki sztuczne – włączył się jeden z opiekunów kluczowych klientów.

– Ale dobrze zrobione – obruszył się Robert.

Smartfony zeszyły na drugi plan. Specjaliści włączyli się do rozmowy.

– Jakby były dobrze zrobione, toby tak nie sterczały. A sterczały. Nie mogłem przez nie sięgnąć po wodę – wyraził swoją opinię Opiekun Kluczowego Klienta II.

– Trzeba było wstać – obraził się Robert.

Opiekun Kluczowego Klienta III:  
– Nie sterczały. Cycki były naturalne. Lekko rozlane. Żadnych blizn. Znam się na tym.

Opiekun Kluczowego Klienta IV:  
– Taaa. Ty się znasz.

Opiekun Kluczowego Klienta III:  
– Masz coś na myśli?

Opiekun Kluczowego Klienta IV:  
– Ja nie. Powtarzam to, co sam mówiłeś.

Opiekun Kluczowego Klienta III:  
– A co mówiłem? Masz coś do cycków mojej żony?

Opiekun Kluczowego Klienta IV:  
– Wal się. Cycki były sztuczne. Inaczej sushi by zjechało.

Jagoda:  
– Jakie sushi?

Opiekun Kluczowego Klienta II:  
– Że jej imbir nie podrażnił? Specjalnie patrzyłem. Ale się bezwstydnica muszłą od przegrzebków przykryła.

Opiekun Kluczowego Klienta I:  
– Mnie najbardziej te na ciepło smakowały. Futomaki. Zjadłem wszystkie z lewej nogi.

Opiekun Kluczowego Klienta IV:  
– Jak ja bym miał taką piranię w domu, to też bym się nazał na zapas.

Opiekun Kluczowego Klienta I:  
– Pogadamy, jak będziesz dziesięć lat po ślubie. A sałatki z wodorostów próbowałaś? Mnie jakoś głupio było tyle jeść.

Robert:  
– Dlaczego głupio? Przecież na fakturę braliśmy. Było jeść. Mnie nie przeszkadza trochę silikonu. To ją czyni nawet jeszcze bardziej atrakcyjną. Widać, że wie, czego chce. Rozmawialiśmy dużo, bo akurat jadłem te kawałki z awokado, które miała na obojczyku. Piękne oczy. Zielone kamyczki. I to imię! Manuela... To pseudonim, oczywiście – wyjaśnił Jagodzie po raz kolejny. – A wy, panowie, jesteście zacofani. Nie dostrzegliście, że pod warstwą ryby i glonów kryje się naturalna i skromna dziewczyna. Artystka. Trenuje taniec irlandzki. Studiuje stosunki międzynarodowe. Trzeba to

docenić. Uszanować. Pracuje w trudnych warunkach. Wyziębiona. Nawet zjeść w czasie pracy nie może. Dałem jej się napić. Ulało się, cholera. Może za dużo jej w gardło polałem? Ty, Jagoda, tańczysz?

– Robert, nie wiem, czy tańczę w tej sytuacji. Co z eventem?

Opiekun Kluczowego Klienta II:

– Mnie zastanawia jedna rzecz. Tyle godzin leżała. Mnie by plecy bolały. Tak na trupka na twardym leżeć i sushi utrzymać? Ani razu ryba się z niej nie zsunęła.

Opiekun Kluczowego Klienta IV:

– Z silikonu się nie zsunie, przecież mówię.

Opiekun Kluczowego Klienta II:

– A tak z ciekawości. Sprawdźmy to, panowie! Weź no się, Michał, połów. Zobaczmy, ile dasz radę poleżeć. Ma ktoś coś do jedzenia? Położymy na Michale. Zobaczmy, czy utrzyma. Jagoda, zrób miejsce, zabierz laptopa!

Opiekun Kluczowego Klienta I:

– Jabłko mam. Ale nadgryzione. Ale Michał, kultury trochę! Buty zdejmij, człowieku! My z tego stołu jemy! My z tego stołu pracujemy! W domu też się w butach na stół kładziesz?

Opiekun Kluczowego Klienta III:

– Gdyby moja się tak z dorszem na dupie położyła, to nie wiem, czybym w ogóle jeszcze coś zjadł. Zbrzydła potwornie.

Jagoda:

– Boże.

Opiekun Kluczowego Klienta III:

– Nie histeryzuj, Jagódka. Panowie, nie uważacie, że to Jagoda powinna się położyć? Ma dziewczyna walory. No, Jagódka, włącz! Jak masz szpilki, to możesz nawet w butach.

Robert:

– Dajcie dziewczynie spokój. Bez urazy, Jagoda. Michał ma większe cycki. Niech on się kładzie. Zobaczmy, ile wytrzyma. Może zdejmij marynarkę, żebyś potem do ministerstwa wymemłany nie jechał? I tak jest z nimi problem. Zamówienie przesuwają w nieskończoność. Pójdiesz wymięty i pomyślą, że na kacu jesteś. Jagódka, jak myślisz, napisać do niej? A może lepiej zadzwonić? Czy napisać? Kurczę, mogłem jej kawałek ryby dać zjeść. Tyle godzin bez posiłku.

Opiekun Kluczowego Klienta I:

– A ty byś sobie, Jagódka, zrobiła silikonę?

– Gdzie?

Robert:

– Ha, ha, ha, dobrze, królowo, kęśaj. Jezu, jak tęsknię! Posuń te nogi, Michale. Jagódka będzie robić notatkę ze spotkania. Panowie, podsumujmy wnioski. Za dwa tygodnie najważniejsza w roku konferencja, a wy jak zwykle zajmujecie się tematami pobocznymi! Chcecie dać dupy czy mieć premie od sprzedaży? Jagoda, nie wiem, czy zadzwonię... Wstydzę się, Jagoda, jasna cholera!

@All

Temat: Spotkanie organizacyjne w sprawie konferencji dla kluczowych klientów – podsumowanie działań

Termin: 28, 29 listopada (czwartek, piątek)

Liczba osób: Łącznie: 32.

Liczba gości: 25+1.

Liczba osób z firmy Scandic-Net: 5 osób z działu software, 1 osoba marketing.

Miejsce: Spa&Wellness Góralka, Zakopane.

Tytuł konferencji: Do ustalenia (najlepiej, żeby było słowo „przewaga” zmaczowane ze słowem „konkurencja”. Jagoda pomyśli).

Agenda:

Dzień I, 28 listopada

12.00 – Zakwaterowanie

13.00 – Obiad

14.00 – 16.00 – Prezentacje – najlepsze praktyki. Rozwiązania Scandic-Net kluczem do sukcesu Twojej firmy

17.00 – 19.00 – Zabiegi w SPA, basen

20.00 – Kolacja z rozrywką

Dzień II, 29 listopada

12.00 – Śniadanie lub obiad

14.00 – 16.00 – Konsultacje z opiekunami kluczowych klientów (basen, spa)

17.00 – Kieliszek szampana. Wymeldowanie

Ustalenia:

Do zabrania: Materiały promocyjne. Koszulki z logo (jedna koszulka damska).

26 listopada:

Wyjazd marketingu (Jagoda) i przedstawiciela działu software (Michał) do hotelu-skansenu.

Do zabrania: Roll-upy, ścianka, koszulki z logo, notesy, długopisy, pendrive'y.

Działania: Sprawdzenie gotowości skansenu Góralka Spa&Wellness, Zakopane, do przeprowadzenia eventu.

Rozstawienie materiałów marketingowych. Podłączenie projektora, laptopów. Wgranie prezentacji.

Pakowanie zestawów upominkowych (tablet, ciupaga, oscypek duży, oscypek mały, pendrive, notes, długopis).

27 listopada:

Przyjazd całego zespołu software. Ponowne sprawdzenie sprzętu i prezentacji.

Wieczór 28 listopada:

Kolacja + rozrywka. Stała emisja logo w sali jadalnej, bankietowej. Strumień światła przybiera kształt logo Scandic-Net. Sprawdzenie, czy strumień światła emitujący logo może być emitowany na ścianach i suficie (Jagoda).

29 listopada:

Powrót.

Gadżety zamówione w hotelu-skansenie Góralka Spa&Wellness:

- 100 półlitrowych butelek nalewki regionalnej,
- 100 oscypków dużych,
- 100 oscypków małych,
- 26 (plus 50 w zapasie) ciupag z logo Scandic-Net.

Uwaga:

Pamiętać o zabraniu strojów kąpielowych! Istnieje możliwość zakupu stroju, czepka i kłapek na miejscu.

W odpowiedzi na powyższą notatkę służbową menedżer Robert odpisał natychmiast:

Uwaga:

Sprawdzić, czy na pewno wystarczy alkoholu. Sprawdzić, czy w pobliżu jest stacja benzynowa.

PS. Nie zadzwoniłem L

Wit miał wszystko ułożone. Włosy, garnitury w szafie, buty na półkach, przybory na toalecie. Notesy i zastrzone ołówki na biurku. Nade wszystko jednak Wit miał ułożone życie.

Na ułożone życie Wita składał się młody jak na mężczyznę wiek (całe skończone trzydzieści dwa lata), dobry perspektywiczny zawód głównego księgowego oraz ustabilizowane życie uczuciowe i płciowe. Wit od trzech lat był bezgranicznie i z wzajemnością zakochany w swoim narzeczonym i miłością tą promieniał na cały świat.

Poczucie spełnienia sprawiało, że Wit mógł normalnie jeść, spać, myśleć i marzyć. Po prostu żyć. Nie mogła tego o sobie powiedzieć żadna z sześciu koleżanek Wita. Nade wszystko jednak nie mogła tego stwierdzić wcale nie najstarsza wiekiem i doświadczeniem, jeszcze nieprzekroczona czterdziestka, elegancka pani prezes, szefowa.

Wit ostrzył ołówki, układał równiutko teczki z dokumentami, szacował w pamięci wydatki biurowe, sporządzał budżet, szukał oszczędności i doradzał. Przede wszystkim Wit doradzał. Wysłuchiwał i doradzał. Niczym lekarz czy ksiądz.

Drzwi do gabinetu Wita zawsze były otwarte. Rzadko zdarzało się, że były zamknięte, i był to znak, że Wit najprawdopodobniej poprzedniego dnia był w muzeum i wciąż pozostawał pod wpływem piękna widzianych obrazów (nade wszystko cenił malarstwo flamandzkie) lub spędził wieczór, słuchając *Dziadka do orzechów* Czajkowskiego. Cudowne dźwięki wciąż brzmiały w uszach Wita i Wit musiał pobyć sam, żeby tę nieskończoną ilość estetycznych doznań przetrawić, odzyskać jako taki spokój i na nowo otworzyć drzwi do gabinetu, by z szerokim uśmiechem zapraszać pracownice do zwierzeń.

To, że Wit był romantykiem wrażliwym na sztukę, nie oznaczało, że nie jest konkretny. Wit był tak samo pilny i analityczny w sprawach finansowych, jak i w sercowych. Dla każdej z pracownic miał czas. Każdej wysłuchiwał z tym samym należnym szacunkiem i uwagą. Wystarczyło tylko, że spojrział w spowite mgłą wylanych łez oczy, a już jednej czy drugiej ofierze robiło się



lżej na duszy. Dla spowiadających się u niego nieszczęśnic ważne było nie tylko to, że ktoś ich w końcu słucha, ale że jeszcze zadaje pytanie: „Jak mogę ci pomóc?”. Albo: „Co zamierzasz?”. „Czego byś chciała?”. „Czy podjęłaś decyzję?”. A jeśli ostatnie pytanie wprowadzało spowiadającą się w popłoch czy wręcz w przerażenie, Wit dodawał uspokajająco: „Jeśli nie jesteś gotowa, nic nie rób. Widocznie z jakichś powodów nie możesz teraz podjąć decyzji. Nie szkodzi”.

Problemy, z którymi przychodziły pracownice, były różne.

Dwudziestosiedmioletnia Aneta nie mogła schudnąć. Narzeczonemu tusza nie przeszkadzała. Wręcz przeciwnie. Każdą próbę odchudzania torpedował i groził, że będzie karmił smalcem, jeśli tylko cycki się skurczą.

Trzydziestoletnia Klaudia miała piękne mieszkanie w centrum Warszawy, ze zmywarką, kabiną prysznicową i bidetem. Samochód i powodzenie u mężczyzn. Dobra te nie cieszyły jej jednak wcale a wcale, smutek ogarniał ją coraz większy, być może nawet był to *weltschmerz*, a rodzice, chcąc uszczęśliwić córeczkę, kupowali wciąż więcej i więcej. Klaudia najchętniej oddałaby to wszystko potrzebującym, łącznie z kolejką adoratorów, byle tylko móc mieszkać z rodzicami w pięknym domu za miastem, być ich małą córeczką i z decyzji podejmować jedynie te, które dotyczą wyboru sukienki. Z rodzicami było ciepło i bezpiecznie. Rodzice głaskali po głowie i proponowali, żeby Klaudia posiedziała sobie w ogrodzie lub odpoczęła w bibliotece ojca. Gospośia gotowała jej ulubioną grzybową i piekła szarlotkę, którą Klaudia podjadała przed snem. Ojciec mówił do niej „córku” i pozwalał prowadzić ukochanego mercedesa. Matka przepierała ręcznie bieliznę Klaudii. Czy Wit uważa, że to zboczenie?

Trzydziestosześcioletnia Pola odkryła w sobie zadatki na coucha celebrytów. Czy Wit uwierzy, że na podstawie zdjęć, tego jak gwiazdy pozują na ścianie, Pola potrafi zidentyfikować skrywane dramaty i kompleksy? Skąd wie, że się nie myli? Wie i już. Zna kogoś w branży i ta osoba potwierdza jej przypuszczenia. Czy Wit uważa, że można zmienić zawód w wieku trzydziestu sześciu lat? Dobrze przemyśleć? No dobrze. Ale czy grzechem nie byłoby zaniechanie? Zwłaszcza jeśli przesłanki są tak szlachetne? Czy Wit uważa, że

Pola wyglądałaby dobrze na ścianie? Bo może Wit się nie domyśla, ale... Ale oczami duszy Pola widzi siebie, wcale nie z tyłu, podtrzymującą zdesperowaną, zakompleksioną gwiazdę. Pola w krótkim czasie zdobywa certyfikat ICF, zyskuje sławnych klientów, doprowadza ich do pionu moralnego. Media ogłaszają ją medialnym odkryciem roku. Fotoreporterzy wykrzykują jej imię i proszą o uśmiech do obiektywu. Pola, pomimo sukcesu wciąż skromna, uśmiecha się i pozuje niczym prawdziwa modelka. Na sobie ma sukienkę z najnowszej kolekcji polskiego projektanta i buty od Valentino pożyczone z showroomu. Miała je na sobie ta aktorka, no, Wit wie, taka blondynka. Uroda wsiowa. Pospolita. A właściwie dlaczego pożyczone? Do świadomości Poli dochodzi odniesiony przez nią sukces. Będzie ją stać na własne. Licencję na jej autorski program *Rozgwiadzy* zakupią telewizje na całym świecie.

Pięćdziesięcioośmioletnia Hanna nie mogła się pogodzić z upływającym czasem. Przynosiła zdjęcia sprzed menopauzy, pokazywała Witowi i cała drżąca z rozpaczy patrzyła przenikliwym wzrokiem na jego reakcję. No i co, widać różnicę, widać różnicę? – pytała i przykładała zdjęcie do swojej twarzy, oczekując szczerzej i jednocześnie uspokajającej odpowiedzi.

– Czy Hanna często zadaje to pytanie mężowi?

– Czy ja wiem, czy często? Raz na jakiś czas...

– A konkretnie?

– No tak, hm, będzie, że codziennie, a co?

– A od dawna?

– Nie powiem – biesi się nagle Hanna. – Nie powiem. Nie dręcz mnie! – Hanna zaczyna łkać.

– Wituś, kochany... – Hanna tarłosi Wita za rękaw marynarki. – Wituś, ty mi powiedz, czy ty byś na jego miejscu oszedł do młodszej i chudszej?

– A dlaczego tak myślisz, Hanno? Skąd podejrzenia?

– On... – konfidencyjnym szeptem wyjaśnia zapłakana Hanna – ma konto na fejsbuku.

– Rozumiem – zrozumiał Wit. – Czy masz zdjęcie małżonka, Hanno?

Ocierając łzy i katar w rękaw pasiastej bluzeczki, Hanna udała się do swojego pokoju i po chwili wróciła z wypchanym papierzyskami portfelem. W plastikowej przegródce, wśród licznych przedstawiających zapewne jej

dzieci od niemowlęctwa do dorosłości, samą Hannę z okresu sprzed spuchnięcia, leżało to jedno, jedyne, noszące ślady palców, zdjęcie ślubnego.

Wit przyglądał się uważnie to ślubnemu, to zasmarkanej Hannie.

– Nie ma takiej opcji, Hanno, żeby cię dla kogoś rzucił – orzekł.

– Na pewno? – Hanna nie dowierzała swojemu szczęściu. – Bo wiesz, Wituś. Już nawet nie chodzi o młodszą, ale żeby chudsza nie była. Ładniejsza.

Wit jeszcze raz spojrział na zdjęcie małżonka i w poczciwe oczy Hanny.

– Nie ma, Hanno, takiej możliwości, wierz mi.

Po czym pocałował Hannę w rękę i odprowadził uspokojoną do jej biurka.

Tego wieczoru Wit długo koił swoje oczy albumem Alfonsa Muchy. Co winien mąż Hanny, że dramatyczna jego uroda tak wstrząsnęła wrażliwym na piękno Witem?

Pani prezes natomiast miała lat równo trzydzieści dziewięć i pół.

Nie więcej. Nie czterdzieści. Trzydzieści dziewięć i pół. Szefowa była... Jak by to powiedział dziadek Jagody: „Aj, co za przystojna kobieta!”. Wysoka, o szerokich biodrach i pełnym biuście. Włosy do ramion, rozjaśnione, starannie ułożone na szczotce. Ubrana w garsonki lub doskonale skrojone spodnium, obuta w wysokie obcasy, poruszała się na szeroko rozstawionych nogach, przy czym obcasy powodowały, że była już tak wysoka, że na przykład w rozmowie z Witem musiała się schylić, a najlepiej usiąść.

– Wicie, kochany mój, przyszedłam omówić budżet. Wyłumacz mi wszystko. Jeszcze raz. Tylko wolniej. Wyjaśnij mi te wszystkie cyfry, kolumny, podsumy. Na co tyle wydaliśmy?

Pani prezes miała męża. Ale kiedyś. Tak dawno, że kto by o tym pamiętał. Pani prezes do dziś nie może zapomnieć. Nie ma o czym mówić. Były mąż nie miał takich horyzontów jak ona. Był prostym chłopem. Mentalnie. Co z tego, że po studiach? Co z tego, że bankowiec? Co z tego, że też prezes? Szefowa prycha umalowanymi ustami. Prostak! Jak ona mogła się tak pomylić? Jak mogła zawierzyć siebie, młodą, ufną trzydziestodwulatkę, jakiemuś kalkulatorowi? Witusiu, bez obrazy, bo ty niby po tej samej linii... Ona, z takim apetytem na życie. Ona, która pragnęła jedynie żyć pełnią życia, z życia korzystać, czerpać garściami. Podróżować w tę i we w tę, samolotami w górę, w dół. Chodzić na tańce, premiery teatralne, prapremiery teatralne albo na gościnne występy teatralne czy na przegląd kina francuskiego, młodego kina

irańskiego, ach, egzotyka, ale dlaczego nie? Ale nie, bo pan prezes banku oczekiwał zgoła innych rozrywek. Pan prezes nie poznał się na ukrytym temperamencie prezesowej. Ukrytym, bo narzeczona wyszła z założenia, że przed ślubem im skromniej, tym lepiej. Niech przyszły mąż myśli, że to dzięki niemu tak rozkwitnie po ślubie. Jak mogła być tak głupia? Prezes, nie dość, że nie wyzwolił w swojej kobiecie skrywanych żądz, to jeszcze okazało się, że tego rodzaju potrzeb małżonek nie ma. Pan prezes banku nie oczekiwał, że żona będzie zrzucać z siebie elegancką garsonkę i przywdziewać peniuar godny femme fatale. Czy Wit widział *Podwójne ubezpieczenie*? Pani prezes chciała wyglądać jak Barbara Stanwyck: ułożone w fale włosy, jedwabny szlafroczek.

– No nie, Witusiu, bez fiki.

Ale pan prezes nie oczekiwał w domu wampa. Pan prezes oczekiwał domu pachnącego domowym obiadem. Tak żeby obiad było czuć już w garażu. Ciekawe, jakim cudem miałyby mu kotlet schabowy pachnieć w garażu, skoro mieszkali w apartamencie na siódmym piętrze. Pani prezes uważa, że gdyby smród smażeniny miał być wyczuwalny już w bejsmencie, to oznaczałoby to wadę ciągów, czyż nie? A poza wszystkim, jak można być człowiekiem o tak ograniczonym umyśle, tak trywialnym, żeby od żony, która także jest prezesem, oczekiwać gara gęstego krupniku? Na cynaderkach, bo taki robiła babcia. Przy czym na pytanie Wita, który gotowanie uważał za sztukę, szefowa nie umiała odpowiedzieć jednoznacznie. No, nie pamięta, czy krupnik miał być na pęczaku, czy na kaszy jaglanej. Cynaderki wystarczająco nią wstrząsnęły, żeby nie zapamiętała, jakiego rodzaju kaszy używała babcia prezesa. W ogóle panią prezes irytowały mięsne zachcianki prezesa. Boczek. Karkówka. Kielbasa z rusztu. Befszyk. Mięso i mięso. Ona jest zdania, że to właśnie mięso było przyczyną niskiego libido prezesa, czego nie omieszkała mu powiedzieć przy żalosnej prośbie o kapuśniak na dudkach.

– Kapuśniak? Co za trywialna zupa, Wicie! Brr. Ohyda. Są piękne zupy. Na przykład krem z pietruszki. Albo z selera.

Tak, trzeba powiedzieć, że pani prezes jest w ponad stu procentach (gdzie tam w stu, w dwustu procentach!) przekonana, że brak temperamentu u prezesa był wprost proporcjonalny do ilości pożeranego mięsa. Gdyby tylko pracował nad sobą, mógłby ten stan zmienić. Pani prezes wcale nie uważa, że ma jakieś nadnaturalne potrzeby. Mięso i mięso. A gdzie owsianka? Orzechy? Szefowa codziennie je owsiankę. Mogłaby to danie jeść i rano, i wieczorem. I nie

chodzi wcale o perystaltykę.

– Och, Witusiu, przecież ja nie mogłam prosić się o te rzeczy. Te rzeczy, Witusiu, powinny wynikać w sposób naturalny, spontaniczny.

Pani prezes zdejmuje spódnice, a już prezes, niczym zwierzę, zagania ją do sypialni. Tak powinno być.

– Ale czy, Witusiu, po zjedzeniu smażonego mięsa można mieć w głowie figlarne harce? A ten słupek to co? Oszczędności? A pensje... I wiesz, Witusiu, zdecydowałam, że bez terapii się nie obejdzie. Powiedziałam mojemu prezesowi: „Idź do psychologa i załatw problem krupniku na cynaderkach raz na zawsze. Powiedz, że wspomnienie z dzieciństwa blokuje cię w sypialni. Drażcie z terapeutą temat podrobów. Rozpracujcie babcię, która ten nieszczęsny krupnik warzyła. Może przyczyna tkwi w głębokiej podświadomości? Weź, chłopie, odpowiedzialność za nasze pozycje, a raczej jego brak. Masz tu numer telefonu. Spytaj, ile potrwa terapia. Za miesiąc chciałabym mieć ogiera w sypialni”. Tak mu powiedziałam. Witusiu, żebym nie zapomniała. Uważam, że w przyszłym roku musimy dofinansować większą liczbę utalentowanych dzieci wiejskich. Zastanów się, skąd weźmiemy pieniądze. Ja mam taki plan, że zrobię tour po bankach i ubezpieczycielach. Do mojego byłego męża też pójdę, ale musi być po mnie widać satysfakcjonujący seks. Niech cierpi. Bo on, Witusiu, do terapeuty nie poszedł. Powiedział, że mam wściekłą pochwy i że jeśli ktoś powinien się leczyć, to ja. I że on się ożenił, żeby mieć normalną żonę i krupnik. A gdyby wiedział, że nie będzie krupniku, toby się ze mną nigdy nie ożenił. Uważam, Witusiu, że słowo „nigdy”, w ogóle ta część zdania: „nigdy nie ożenił”, nie jest logiczna. Można się ze mną ożenić albo nie ożenić. Ale dlaczego nigdy? Ale o czym tu mówić, Witusiu, jak ktoś ma fantazje o krupniku na cynaderkach. A co ty mi pokazujesz? Nie tłumacz mi nawet, Witusiu, tych cyfr, bo nic nie rozumiem. Nie! Witusiu! Na dzisiaj dosyć księgowości! Głowa mi pęka! Schowaj ten raport i to już! Aha, no i tak. Prezes na terapię nie poszedł. Powiedział, że albo krupnik, albo mam wybór. Witusiu, ja jestem prezeską. Moje aspiracje sięgają dalej niż kuchenny blat. Spytałam prezesa, skąd ten okrutny pomysł, żart. Czy oszalał? A on na to, że żona ma być żoną. Miejsce żony jest przy boku męża i w kuchni. I żebym nie robiła tragedii z tak oczywistych, wręcz mitycznych ról. Żebym się przepasała fartuszkami i poszła gotować kapuśniak. Kapuśniak. Ale ja, Witusiu, jestem stworzona do wyższych celów. Jestem kobietą o wstrząsającej osobowości, wiem, bo tak mi wyszło w testach

osobowościowych. Tak, poszłam, Witusiu, w imieniu męża, żeby raz na zawsze pozbyć się u prezesa kompleksu krupniku. Ale ten mięsożerca nie docenił poświęcenia. Ten, według mnie, podszyty złośliwością i perfidią brak chęci leczenia zdecydował o moim odejściu. A ministerstwo ile nas dofinansuje? Aha, w tym roku już dostaliśmy... Czas leci, Witusiu, tyle ci powiem. Ostatni orgazm miałam dwa lata temu, i to wyżebrany, można powiedzieć. A jestem, jak widzisz, w pełni rozkwitu kobiecości, mam trzydzieści dziewięć i pół roku. I powiem ci w sekrecie, nikt by nie zgadł, o czy marzę: marzę o prawdziwym mężczyźnie, Witusiu. Mężczyźnie z klasą, który nie będzie z podziemi parkingu niuchał, czy pachnie obiadem. Który będzie chciał żyć pełnią życia, kolekcjonował sztukę współczesną, czytał modne powieści, nosił się elegancko, bywał zapraszany wraz z małżonką, czyli ze mną, panią prezes, na wszelkiego rodzaju bankiety i te, no,... *receptions*. Takie życie chcę wieść. Na poziomie. Wydaje się być jednak jeden problem, Witusiu. Gdzie poznać odpowiedniego męża? Bo wiesz, Witusiu, sprawę komplikuje fakt, że w głębi serca jestem romantyczką. Pierwsza nie wyjdę z inicjatywą. O, nie! Na samą myśl, że miałabym zainicjować znajomość, robi mi się słabo. Nie, nie. Pierwszy krok należy do mężczyzny. Pozwól, że wyciągnę wnioski, Witusiu. Fundacja powinna ruszyć w świat, rozszerzyć krąg odpowiednich znajomych.

W ministerstwie nikogo nie poznam. W ministerstwie jest poziom mentalny stołówek. Tam każdy liczy na trzynastkę i marzy o posiadce w jakiejś radzie nadzorczej. Na samą myśl o tak banalnym życiu dostaję dreszczy. Banki odpadają, bo przez męża jestem rozpoznawalna. Może tak wypisz, Witusiu, wszystkie fundacje z kapitałem międzynarodowym i sprawdź prezesów po dostępnych zdjęciach. Mnie nie wypada robić takiego researchu. Trudno. Ktoś musi mi pomóc. Nachyl się no, Witusiu, coś ci powiem. Bliżej, nie gryzę przecież. Musisz mi, Witusiu, doradzić. Postanowiłam kupić wibrator. Dla dobra firmy. Zarządzam fundacją, jestem odpowiedzialna za pracowników, za utalentowaną młodzież ze wsi. Wkrótce spotkam się z tuzami biznesu. Nie mogę pozwolić, żeby moja frustracja była widoczna. Witusiu, przysuń się, postanowiłam zainwestować w wibrator. Decyzja nie była łatwa. Witusiu, to musi być taki wibrator, żebym ja przez cały dzień pracy mogła spokojnie czytać wnioski o dofinansowanie. Witusiu, weź no wejdź na tę stronę, dyktuję adres. Hm, może lepiej z telefonu? Jest? Pokaż no. Witusiu, zrobmy selekcję. Kryteria: elegancki, poręczny, dyskretny, bezprzewodowy, bez pilota,

elastyczny, z wypustkami, w subtelnym kolorze, w poręcznym etui. O Boże, cudo jakie! Popatrz no, mój kochany. Wypustka w kształcie motylka, cudownie pieścząca... Tak, Janino? Tak, jesteśmy zajęci z Witem, weryfikujemy budżet. Przyjdź za godzinę. W komplecie intymna opaska na oczy...

Beata przyszła do Witusia już po ostatecznej metamorfozie, po której dzięki pokrzykiwaniom trenerki z siłowni: „Pedałuj szybciej, do celu, pedałuj do celu!”, z ubitej bajaderki przeistoczyła się w apetyczną klepsydre. I po dwuletnich poszukiwaniach kandydata na męża poprzez portale randkowe, biura matrymonialne oraz marketing szeptany.

Tak, oczywiście, gdyby Beatę ktoś zapytał, to tak, wierzyła, że miłość przychodzi nagle i niespodziewanie. Tak, zgadzała się z Jagodą, że na prawdziwe wielkie uczucie warto poczekać. Ale Beata nie mogła już dłużej czekać. Czekala ponad trzydzieści lat i dalsze czekanie nie wchodziło w grę. Nigdy nie wyglądała tak dobrze i na samą myśl o kilkunastu ostatnich miesiącach, w czasie których w sprawach damsko-męskich nie działo się dużo (w sensie, że nic na akord), żadnej namiętności, robiło jej się słabo. Czas leci, a ona ani za mąż nie wyszła, ani się nawet z nikim na kocią łapę nie związała.

Podróż po miłość Beata rozpoczęła od portali randkowych. Wykocypowała sobie, że tak będzie łatwiej, ze względu na nieśmiałość, brak pewności siebie, a przede wszystkim na brak doświadczenia w kontaktach z płcią brzydką. Kontakt pisemny pozwoli jej udzielić odpowiedzi przemyślanych, być może nawet skonsultowanych z Jagodą, a nawet z sąsiadką-wyrocznią przyjaciółki, panią Ireną.

Przed wszystkim powinna dobrze zdefiniować swój profil.

– Liczy się pierwsze wrażenie – mamrotała pod nosem Beata, kreśląc w godzinach pracy szkic własnej osoby.

Trzeba to tak napisać, żeby od pierwszego zdania kawalerowie walili drzwiami i oknami. Żeby turnieje rycerskie trwały od rana do nocy, a noce upływały na odpędzaniu żądnych jej ust i sterczących piersi ochotników.

Beata z Warszawy. Wiek?

– Dużo za dużo – mruknęła do siebie.

Jeśli zaś chodzi o zachęcający opis jej kandydatury, dzięki konsultacji telefonicznej z Jagodą, Beata przytoczyła słowa piosenki: „(...) oprócz ciała mam przecież i duszę (...)”. Przytoczone słowa, zdaniem przyjaciółek, miały

w sposób elegancki i nienachalny wyrazić zarówno pragnienie miłości, jak i drzemiące w Beacie żądze.

Odpowiedzi przyszło mnóstwo i to od mężczyzn nie tylko z Polski.

W przypadku mężczyzn krajowych sprawa przedstawiała się jasno. Panowie odczytali zaszyfrowany w słowach piosenki komunikat i przede wszystkim życzyli sobie przesłania serii zdjęć, przy czym nie chodziło o to, by zdjęcia przedstawiały piękno duszy. Wystarczy przód i tył. I żeby Beata była odważna. Spotkać mogli się natychmiast. Większość z nich pytała, czy Beata miałaby coś przeciwko, gdyby tylko poleżeli nago. Z przytulaniem. Większość z nich miała około sześćdziesięciu lat, ale wiele walorów.

Beata wolała nie wiedzieć jakich.

Spotkała się z jednym z najmłodszych, którzy do niej napisali, z Tomaszem z Warszawy. W odpowiedzi na anons Beaty Tomasz napisał, że takiej kobiety szukał całe życie, czyli przez lat czterdzieści. W kawiarni, w której miał czekać i jako znak rozpoznawczy trzymać kwiat w doniczce, bo jak uznał, z ciętymi siedzi i czeka wielu, można się pomylić, Beata zobaczyła najpierw gliniane naczynie, z którego sterczało rozwinięte geranium. Zza wiehcy wyjrzało do niej oblicze wiekiem przypominające jej dziadka Leosia. Obiekt, który w anonsie przedstawił się jako „Tomasz po czterdziestce”, wyjaśnił, że zdjęcie, owszem, może i pochodzi sprzed kilku lat, ale on, Tomasz, najlepiej wie, na ile lat się czuje, więc bez przesady.

Natomiast, ku ogromnemu zaskoczeniu Beaty, największe zainteresowanie oraz miłość od pierwszego wejrzenia zadeklarowała druga grupa adoratorów, składająca się z żołnierzy wojsk sprzymierzonych. Wśród trafionych strzałką Amora przeważali wysocy rangą oficerowie: Anglicy, Amerykanie, Niemcy, Francuzi... Połowa armii należąca do G-8. Kto im, do licha, przetłumaczył opis profilu oraz subtelne frazy piosenki, tego Beata nie wiedziała. Każdy jeden był przystojniejszy od drugiego, a urok ich nieziemski potęgował noszony mundur. Mało który miał więcej niż czterdzieści pięć lat. Pisali do niej po angielsku, z koszar, z pola bitwy. Każdy z piętnastu, którzy napisali, zakochał się w Beacie od pierwszego wejrzenia i każdy po zakończeniu służby pragnął ułożyć sobie z nią życie. Płomienne wyznania ilustrowali zdjęciami podkreślającymi ich atletyczną budowę. Opięte slipki uwydatniały ich atrybuty, po czym, gdy się tylko dało od tych klejnotów oderwać wzrok, oczom ukazywał się rozłożysty, o pięknie zarysowanych mięśniach, zroszony kropelkami potu, hipnotyzujący i przyprawiający o dreszcze tors.



– O kurde... – powiedziała na głos Beata, kiedy po raz pierwszy przyszedł e-mail od żołnierza, przy czym fraza „o kurde” wyrażała wzruszenie oraz wyrazy wdzięczności do losu za zesłanie jej dzielnego i przystojnego wojaka.

Na zdjęciu John wyglądał niczym starożytny Grek, aż dziwne, że nie pozował nago oblany oliwą. Słońce opiekało jego muskulaturę. Do tego urodziwy, barczysty, z krótkimi blond włosami i oczami zasłoniętymi kultowymi awiatorami. Na potrzeby zdjęcia ubrany w galowy mundur, na tle pojazdu latającego (Beacie chodziło po głowie słowo „myśliwiec”). John pisał, że czeka tylko chwili zakończenia służby w Afganistanie, na szczęście to już niedługo, za tydzień. Już za tydzień będą mogli połączyć dwa samotne serca.

Rozmarzona Beata przystąpiła do wizualizacji. Oczami duszy widziała siebie w powłóczystej białej sukni, kroczącą pod ramię z ubranym w mundur galowy oficerem zagranicznym. Kościół garnizonowy tonie w kwiatkach. Jagoda, jej świadkowa, nie może powstrzymać łez wzruszenia. Ona, Beata, wygląda lepiej niż Christina Hendricks. Jej ognistorude loki lśnią w słońcu. Przyszły mąż trzyma dłoń na jej opiętym białym muślinem pośladku. To znaczy biodrze. Krągłym biodrze. Po ślubie goście udają się do wojskowego kasyna na wytworny obiad. Dania podają młodzi żołnierze.

Droga Beato, ukochana, John najchętniej przyleciałby do ciebie od razu. Niestety, sprawy rodzinne wzywają go do Stanów. Postara się wszystko załatwić jak najszybciej, szkoda bowiem każdego dnia bez ukochanej Beaty, jest jednak mały problem. Skończył mu się żołd i nie ma za co polecieć do rodziców, do Ameryki. Dla rodziców staruszków, których jedynym marzeniem, zanim zamkną oczy na amen, byłaby pewność, że ich syn spotkał dobrą kobietę i nie będzie w życiu sam. Chciałby także jeszcze raz wyznać Beacie miłość. Pokazywał jej zdjęcie rodzicom. Już kochają przyszłą synową. To jak? Czy Beata mogłaby mu przysłać chociaż tysiąc dolarów?

Mniej więcej w tym samym czasie napisał Ben. Ben był generałem, tyle że nie latał. Pływał. Pan generał. Wdowiec z maleńkim dzieckiem. Pokochał Beatę, kiedy tylko zobaczył jej zdjęcie. Wygląda niczym aktorka filmowa. Żadna kobieta nie zrobiła na nim takiego wrażenia. Nigdy. Kocha do utraty tchu. Nie je i nie śpi. Myśli tylko o zakończeniu służby i rozpoczęciu nowego życia. Marzy o rychłym spotkaniu. Marzy o Beacie. Przyleciałby do niej na krótką przepustkę. Córeczka, którą Beata widzi na zdjęciu, to słodka półsierotka, pragnąca mieć mamę. Mamę Beatę. Czy mama mogłaby wpłacić na konto niewielką sumę na poczet nowego życia? Tysiąc, tysiąc pięćset

dolarów? Nie ma co dziecku wyliczać. Może być równowartość w euro.

O co chodzi? – zdziwiła się Beata i nie bacząc na to, że szefowa robi właśnie obchód biura w poszukiwaniu osoby, która akurat jest wolna i mogłaby ją uczesać i pomalować jej paznokcie, wyszukała w Internecie informacje na temat zarobków żołnierza armii USA według rodzaju zajęcia i przynależności.

O kurde, zdziwiła się jeszcze bardziej i popadła w jeszcze większe osłupienie.

Raport opracowany przez firmę consultingową na podstawie danych z U.S. Department of Defense, Defense Manpower Data Center East, przedstawiał dane dotyczące armii amerykańskiej, jednej z najbardziej liczebnych i wyspecjalizowanych na świecie. W armii, oprócz zawodowych żołnierzy, zatrudnienie znajdują informatycy, inżynierowie, lekarze, naukowcy, specjaliści od mediów. Kucharze też. Czyli tak, kreśliła Beata ołówkiem sobie tylko znany wzór na proporcje, jeśli na ponad półtora miliona osób w amerykańskiej armii, dajmy na to, niech nawet połowa będzie żonata, niech nawet będzie dziesięć procent kobiet, nawet dwadzieścia procent, to i tak liczba kawalerów do wzięcia jest imponująca, gorączkowała się, bazgrząc na kartce równanie polegające na odjęciu od założonej liczby domniemanej liczby kobiet i żonatych mężczyzn. Na wszelki wypadek poprosi Wita o przeliczenie. Ale i tak wnioski były porażające. Otóż armia amerykańska posiadała najlepszą broń na świecie: setki tysięcy młodych, samotnych mężczyzn. Samotnych. O Boże, dobrze, no dobrze, ale ile zarabiają, skoro z korespondencji wynika, że żołd nie wystarcza im do końca miesiąca? Jakoś trudno było uwierzyć, że kraj, który wydaje miliardy na zbrojenia, płaci zawodowym żołnierzom stawkę w wysokości *pocket money*.

Beata przeczytała raz i drugi. Dla pewności zapisała na kartce i wspomagając się ołówkiem, policzyła półgłosem zera. Fakt, że sprawdziła dane dotyczące oficerów. Ale z drugiej strony, dlaczego miałyby wiązać się z szeregowcem? W każdym razie nawet jeśli dane były zawyżone, wizja głodu nie powinna nękać dzielnych żołnierzy. Żołd powinien im starczać nie tylko na bilet do niej. Bowiem oprócz podstawowego wynagrodzenia, żołnierz amerykański mógł liczyć na dodatek mieszkaniowy, zasiłek bytowy, a nawet na bony na zakupy w supermarketach, nie mówiąc już o specjalnych dodatkach za służbę w warunkach ryzyka, udział w działaniach wojennych czy za znajomość języków obcych.

Skąd bieda? – zamyśliła się Beata.

– Skąd bieda? – zadała pytanie na głos, w chwili gdy szefowa wskazała jej palcem swój gabinet.

– Jest bieda – potwierdziła pani prezes. – Oczko mi poszło. Wit pobiegł po rajstopy. Ktoś musi mi paznokcie pomalować. Za godzinę mam być na spotkaniu. Ma być dwunastu mężczyzn. Hanna mnie uczesze.

Zagadkę biedy nękającej żołnierzy najemnych udało się wyjaśnić Jagodzie. Podczas gdy Beata nakładała drugą warstwę lakieru na opiłowane paznokcie szefowej, która sądząc po minie, pragnęła w ekstazie orać czerwonymi szponami po plecach dwunastu mężczyzn, Jagoda przeszukała Internet.

To, co znalazła, raz jeszcze potwierdziło jej przekonanie, że mężczyznom nie należy wierzyć. Tak jak nie należało wierzyć łososiożercy. Laxowi, w dupę kopanemu!

– Dobrze trafiłaś. – W głosie Jagody pobrzmiwała złość i pogarda. – Żołnierze! Wojacy! Może jeszcze weterani wojenni? Nie odpisuj na listy tych łotrów! To zwyczajni oszuści, bandyci podszywający się pod amerykańskich żołnierzy! Wyszukują młode, spragnione uczucia, dobrze uposażone kobiety. Co za dno kompletne!

Jagoda dodała jeszcze, że zjawisko tak zwanego samotnego żołnierza amerykańskiego jest zjawiskiem zdemaskowanym przez spragnione uczucia internautki, które nie wahały się wysłać na pole bitwy tysiąca czy więcej dolarów. Istniały nawet grupy wsparcia, złożone z takich samych nieszczęśnic, które pocieszały kolejne ofiary i za pomocą mediów społecznościowych grzmiąły na alarm i ostrzegały przed wymienionymi z imienia i nazwiska tak zwanymi samotnymi żołnierzami amerykańskimi, za którymi mógł stać chciwy Murzyn z Ghany.

Opanowana lękiem, że może zostać ofiarą przestępców z afrykańskiej wioski, Beata wykasowała e-maile od Johna i Bena, dziękując niebiosom, że nie uległa miłości i nie przelała im zawartości swojego skromnego konta. Przelew poszedł natomiast do cieszącego się renomą i uznaniem internautów biura matrymonialnego o wiele obiecującej nazwie „Przeznaczeni”.

– Nie ma co kierować się fałszywym wstydem – Beata argumentowała Jagodzie swoją świadomą i dojrzałą decyzję. – Oczywiście, byłoby najlepiej, gdyby miłość spadła na mnie jak manna z nieba, ale jedyne, co na mnie spada, to kłopoty. Samo się nie zrobi. Trzeba działać. Już nie wiem, jak długo nie jem ciastek, ćwiczę te cholerne marszobiegi i zasuwam na rowerku stacjonarnym.

Pogania mnie półnaga trenerka, co jest bardziej niż frustrujące, bo nigdy nie będę miała cycków na tej wysokości, co ona. Nie mówiąc o tyłku. Wciskam się w za małe sweterki, noszę spódnice z rajstopami, bo podobno faceci nie znoszą kobiet w spodniach. I co? Oprócz obleśnych, rozerotyzowanych dziadków i tubylców z Afryki nie poznałam nikogo! No, ale to się zmieni! Teraz to ja sobie powybieram! Dostanę segregator z ofertami premium! Rozumiesz, Jagoda? To tak, jakbym dostawała towar spod lady. Powszechnie niedostępny. Delikatesowy. To się będzie działo, się będzie działo! Potrzebuję zdjęcia do katalogu. Twarz, sylwetka, na siedząco. I jakieś najlepiej pokazujące mnie w sytuacji spontanicznej. Biegnę brzegiem morza, jadę konno albo skaczę z paralotni.

– Przecież nie jeździsz konno – zdziwiła się Jagoda. – Jeździsz na rowerku stacjonarnym.

– Chyba żartujesz! – obruszyła się przyjaciółka. – Umówiłabyś się z kobietą, która na zdjęciu ujeżdża rowerek stacjonarny? Pomyśl nad sesją! Plener czy wewnątrz? Pomóż mi! Może podpytaj panią Irenę?

Ostatecznie do biura matrymonialnego „Przeznaczeni” (rok założenia AD 2000), sekcja premium, trafiła nie tylko lokata Beaty, pieniądze oszczędzane na czarną godzinę.

– Czarna godzina właśnie wybiła – tłumaczyła Beata urzędnicze w banku, która nie rekomendowała wcześniejszego zerwania lokaty.

Do biura matrymonialnego trafiła także udokumentowana sesja fotograficzna, na potrzeby której Beata wykupiła wycieczkę do Hiszpanii i dała się obfotografować miejscowemu przewodnikowi w trzech ujęciach: na siedząco, stojąco oraz portret. Wcześniejsze podobizny, wykonane w profesjonalnym atelier zaraz po schudnięciu, a przedstawiające ją w bieliźnie retro, postanowiła wykorzystać, kiedy tylko pojawi się pewność, że ten jeden jedyny nie jest ani żołnierzem, ani rozerotyzowanym emerytem. Na razie wystarczyć miały ujęcia Beaty w morskiej pianie, podziwiającej architekturę Barcelony oraz degustującej wino w okolicznościach kilkusetletniej winnicy.

– Gratuluję decyzji – zaćwierkała pani Anetka, właścicielka biura. – Zobaczy pani. I w pani sercu zakwitnie miłość.

W zamian za oszczędności całego dorosłego życia Beata dostała segregator

z profilami kawalerów premium, to jest dziesięciu wyselekcjonowanych mężczyzn z wykształceniem wyższym, dobrą pozycją zawodową i co ważne, biorąc pod uwagę znak czasów, niezależnych finansowo. Segregator miał być uzupełniany raz na pół roku, chyba że z dostępnych panów któryś przypadnie Beacie do serca i ona zwiąże z nim swoje nadzieje i życie.

Beata nie miała odwagi spytać pani Anetki, czy panowie premium także desperacko zrywali swoje lokaty. Ale sądząc po zawodach, jakie reprezentowali – większość była menedżerami na Europę i świat – Beata doszła do wniosku, że pragnienie miłości nie zrujnowało ich tak, jak zrujnowało ją.

Jedyne obawy budziły w niej wyczytane na forach internetowych opinie na temat biur matrymonialnych. Wprawdzie głosy należały głównie do pań w przedziale wiekowym czterdzieści – pięćdziesiąt, ale zadbanych, ale niezależnych, ale z dorosłym dzieckiem. Rozwiedzionych, atrakcyjnych. Pragnących szczęścia we dwoje.

Panie były pełne żalu. Po pierwsze, miały żal do siebie, że jest ich za dużo. Jak policzyła jedna internautka, w biurze matrymonialnym, do którego należała, na jednego pana przypadały cztery kobiety. Ale zdrowa konkurencja nie była nawet taka zła. Gdyby było o co, czy raczej – o kogo, konkurować. Panie uważały, że nie było.

Zupełnie inaczej postrzegali swoje kandydaty panowie. Według nich, wariaci byli grzechu i wymyślnej adoracji. Bo czy jest kandydat bardziej cenny niż wolny, ustatkowany pięćdziesięciolatek, rozwiedziony, ale kulturalnie. Bez mieszkania, bo mieszkanie przypadło powódce, to jest byłej żonie. Z alimentami na dziecko; kilka tysięcy zasądzonych przez komornika, bo akurat nie miał pracy, jasny gwint, kto by pomyślał, że akurat jego zwolnią, jak pech to pech. Póki co mieszka u matki. Wynajmował pokój, no ale jak go zwolnili, to już go nie było stać. U matki ma pokój samodzielny. Ale to się zmieni. Zmieni, ponieważ gdy pozna kobietę swojego życia, to jest gotowy się do niej wprowadzić. A jeśli będzie im się dobrze układać i kobieta życia będzie dobrze rokować, to dorzuci się do rachunków. Rzecz jasna, jak znajdzie pracę. On sam dużych potrzeb nie ma. Tak jak każdy. Lubi, kiedy kobieta jest w domu i dba o swojego mężczyznę. Taka kobieta kobieta. W sensie kobieca. Co to ugotuje, posprząta, zakupy zrobi, ciasto upiecze. Zadbana i wolna. W sensie bezdzietna. Nie żeby miał coś przeciwko dzieciom, sam ma córkę, syna i jeszcze młodszą córkę. Ale jednak chciałby związać się z kobietą wolną.

Wiek do trzydziestki. Im kobieta starsza, tym gorzej dla związku. Ujawniają się nawyki, przyzwyczajenia i wygórowane oczekiwania. Wykształcenie nie stanowi problemu. Jeśli kandydatka ma skończone studia, to trudno. Duża różnica wieku nie przeszkadza; jeśli kobieta ma dwadzieścia pięć, to również niech napisze. Jemu zależy na spokoju. Nie wtrącałby się do domowych zajęć.

„Kiedyś babami oraliśmy pole, a dzisiaj baby rwą się do rządu”, podsumował Atrakcyjny z Poznania. „Trudno wam, kobiety, dogodzić. Najmłodsze nie jesteście, a oczekiwania niczym dziewczycy u progu życia. Szukacie księcia z bajki, pięknego, młodego, bogatego. Żeby był szczodry dla was i na rękach nosił. A jak was nosić na rękach, jak zady macie większe niż... A gdzie wewnątrz drugiego człowieka, historia osobista? Nic was to nie interesuje? To dalej szukajcie. Nie polecam biura matrymonialnego »Duet«. Same krowy z oczekiwaniami”.

– Pani Beatko, pani profil dostanie dziesięciu panów – swiergoliła pani Anetka. – Najlepszych panów. Premium.

Pani Anetka, śląc słodkie uśmiechy i trzepocząc rzęsami, pragnęła zauważyć, że proponowany zestaw nie jest przypadkowy. Dobór wynika z ankiety, którą pani Beata była uprzejma wypełnić. Pani Anetka sama jest ciekawa, który z panów przypadnie pani Beatce do serca. Według pani Anetki, każdy jest bliski ideału podanego przez panią Beatkę.

Niech pani Beatka będzie spokojna. Pani Anetka jest profesjonalistką. I dobrym psychologiem. Amatorsko studiuje psychologię i coaching. Doksztalca się z dostępnych źródeł. Wiedzę czerpie także od osób doświadczonych. Życiowo doświadczonych.

– A można być inaczej doświadczonym?

– Proszę? A co, pani Beatko, ma pani na myśli?

Przy trudnych pytaniach pani Anetce przychodzi z pomocą tarot.

Pani Anetka ma wielki dar. Prawdziwy talent. Pani Anetka raz spojrzy i już wie, czy z tej mąki będzie chleb. A z tej mąki będzie, oj, będzie! – pani Anetka postukała opiłowanym w migdałek, lśniącym czerwienią paznokciem w twardą okładkę portfolio.

– No, pani Beatko. Nie ma co tracić czasu. Księga jest dla pani. Proszę wziąć do domu. Poczytać. Nie oceniać pochopnie. Dać szansę. Dziesięciu panów czeka, żeby zdobyć pani serce.

Wieczorem przy blasku świec, z trzepoczącym niczym ćma sercem, Beata przeżegnała się dwa razy, wypila pół litra zimnej wody gazowanej i otworzyła segregator, kryjący sylwetki dziesięciu panów, przedzielone zakładkami z wypisanymi imionami i wiekiem.

Każdy był premium, wykształcony, na stanowisku, z dobytkiem, z doświadczeniem, z pasjami. I co najważniejsze, do wzięcia.

Pierwszy miał na imię Bronisław.

Opis postaci zilustrowany był dwoma zdjęciami Bronisława, szatyna o niebieskich oczach. Jedno ukazywało go przy pracy. Praca polegała na siedzeniu za pustym dębowym biurkiem. Na drugim zdjęciu Bronisław jawił się w odświeżeniu sportowej. Na tle zielonego niczym pastwisko pola golfowego, wystrojony w białe bermudy i koszulkę polo, spod równie białej czapki z daszkiem, szykując się do zamachu kijem, patrzył pewnie w obiektyw.

Zdjęcia dopełniał profil amanta. Szatyn Bronisław pełni funkcję prezesa spółki z kapitałem obcym. Rozwiedziony za porozumieniem stron. Posiada dorosłe dziecko. Bronisław ma zaledwie czterdzieści dziewięć lat i wielką nadzieję na wielką miłość. Wielka miłość powinna mieć wielkie serce oraz walory. Kobiecie o wielkich walorach Bronisław zapewniłby dostatnie życie. Plus możliwość porzucenia pracy zawodowej.

Beata odruchowo spojrzała w głąb swojego, o wielkich walorach, dekoltu i na karteczce zaznaczyła Bronisława jako kandydata na spotkanie.

Trzy miesiące później słuchawka telefoniczna paliła Beatę w ucho.

Telefon wykonany do pani Anetki powodowany był imperatywem wewnętrznym, na który wpływ miało głębokie rozczarowanie Beaty kwestią potraktowania jej osoby, klientki premium, przez słodko pierdzącą panią Anetkę, właścicielkę biura matrymonialnego „Przeznaczeni”. Przez minione trzy miesiące Beata spotkała się wyłącznie z pięcioma panami, z czego tylko z dwoma spotkała się więcej niż raz.

Jednym z nich był Ksawery, notabene najmłodszy z listy. Zaledwie trzydziestoosmioletni kardiolog. Wysoki blondyn. Oczy zielone i szare.

Na pierwszym spotkaniu Ksawery w największym skrócie (ileż to trwało, może zaledwie półtorej godziny?) opowiedział Beacie o siedmiu latach małżeństwa z najpiękniejszą dziewczyną z roku. Długowłosą lekarką Kornelią, o zębach białych niczym skała wapienna. Wielka miłość.

I jeszcze większa namiętność. Kornelia to była kobieta totalna. Piękna i zdolna. Tak zdolna, że dwa lata temu zostawiła go dla jakiegoś chirurga miękkiego. Tak po prostu. Bez słowa. Z dnia na dzień. Ksawery nabrał do ust porcję stopionych lodów, przełknął i kontynuował żale. Taka Kornelia, z takimi włosami, zębami białymi. I dla chirurga miękkiego. Tak po prostu. Z dnia na dzień. Bez słowa. Kobieta totalna. Bez słowa. Z zębami białymi.

– Z dnia na dzień – stękał przez ściśnięte gardło Ksawery. – Tak po prostu z dnia na dzień – powtórzył i złapał Beatę za rękę. – A co u ciebie? Tak, z dnia na dzień. Dla miękkiego chirurga. Takie białe zęby...

Jedyne, co Beacie udało się wtrącić, to delikatne „przepraszam”. Kornelia Kornelią, ale słuchając monologu Ksawerego, Beata opiła się wody i czuła, że jeszcze jedno zdanie o totalnej namiętności, a pęknie jej pęcherz.

– Może wody? – ocknął się Ksawery. – Zamówię ci wodę.

Odwożąc Beatę do domu, porzucony kandydat wyraził nadzieję na kolejne spotkanie.

– Rzadko z kim tak dobrze się rozmawia...

Na drugim spotkaniu Ksawery otworzył się jeszcze bardziej.

Nie był pewien, czy opowiedział Beacie całą historię.

Otóż Kornelia była piękna. Najpiękniejsza.

Zdolna. Najzdolniejsza.

To, co ich spotkało, to była miłość wielka. Największa.

Namiętność, która ich połączyła, była totalna. Kornelia była wulkanem, który tylko on potrafił ugasić.

Tak mu się przynajmniej zdawało. Do czasu, kiedy Kornelia powiedziała mu, że spotkała miłość swojego życia. Wielką miłość. Chirurga miękkiego.

– Może jej przejdzie? – spytał Ksawery z nadzieją tak wielką, że Beata dokonała w myślach dzielenia. Podzieliła kwotę abonamentu premium na dziesięć i stwierdziła, że tysiąc złotych poszło się, poszło. No, w każdym razie poniosła koszt utraconych możliwości.

Kolejny na liście był Jarosław...

– Pani Anetko. Pani Anetko! – Beata siedziała za zamkniętymi drzwiami salki konferencyjnej, w nosie mając, czy słyszy ją cała fundacja. – Pani Anetko! Pani Anetko, odnoszę wrażenie, że mnie pani unika! Nie odpisuje pani na moje e-maile! Nie odbiera pani moich telefonów! Jestem zbulwersowana,



pani Anetko! Za kwotę dziesięciu tysięcy złotych dostałam zestaw antykawalerów! Czy pani ich w ogóle widziała na żywo? A jeśli tak, to kiedy? Czy pani widziała ich smukłe sylwetki? Pani Anetko! Większość z nich maskowała brzuchy! Wbrew zapewnieniom, nie uprawiają sportów. Wbrew deklaracjom, nie marzą o samodzielnej partnerce. Nie lubią wychodzić z domu. Nie znoszą kina eksperymentalnego. W teatrze byli ostatni raz w podstawówce czy liceum, na *Dziadach* czy innej *Antygonie*. Nie podróżują, bo albo mają rozrusznik, albo zakrzepicę. Nie chcą niczego zmieniać w swoim życiu, a już na pewno nie chcą się wiązać chomątem na szyję. Tak tylko się pospotykać, żeby było miło, jak powiedział jeden bezczelny dyrektor. Pani ma tego świadomość? Na dziesięciu panów, tak zwanych premium, jeden był poniżej czterdziestki! Pan kardiolog ze złamanym sercem i stanami depresyjnymi. Nie potrafił mówić o niczym innym, jak tylko o nieugaszonym wulkanie swojej byłej żony, która się puściła z chirurgiem miękkim. Na dziesięciu, czy raczej dziewięciu panów, nie licząc porzuconego kardiologa, był tylko jeden, jeden jedyny, przy którym mógłby stanąć mój ojciec bez obawy, że okaże się młodszy. Pani Anetko, czy pani byłaby uprzejma wyjaśnić mi zaistniałą sytuację? Czy pani byłaby uprzejma wywiązać się z umowy?

Pani Anetka sapnęła do słuchawki. Pani Anetka spytała, czy pani Beata już skończyła. Pani Anetka powiedziała:

– Coś takiego, skandal! – I przystąpiła do szczerej wypowiedzi. – Pani Beato. – Wzburzenie pani Anetki wyraziło się w rezygnacji z użycia zdrobnienia imienia klientki premium. – Pani Beato, będę z panią szczerą. Doprawdy pani nie rozumiem, pani Beato. Pierwszy raz spotykam tak, tak... Tak wymagającą klientkę. Dostała pani katalog. Czterech panów odrzuciła pani na wstępie. Nawet nie chciała ich pani poznać. A że jeden brzuchaty, drugi z wytrzeszczem. A ja mówiłam pani, pani Beato, że ten z brzuchem jest wysportowany, tyle że ma refluks. Stąd wybrzuszenie. No owszem, kandydat numer dwa miał nadczynność tarczycy. Ja jednak uważam, że wyraziste spojrzenie dodawało mu uroku. Czy pani zna bohatera Rambo? Czy o Rambo można powiedzieć, że ma wytrzeszcz? Trochę mu białka idą do góry, to prawda. Ale co z tego, pani Beato, jeśli serce gorące? Trudno, nie chciała pani poznać pana Rambo. Znaczący pana Szymona. Szkoda. To ja pani powiem, że inne klientki, młodsze od pani, urodziwe, nie miały takich uwag, roszczeń. I zarówno pan z refluksem, jak i pan Rambo, pan Szymon, są już w szczęśliwych związkach. Lada dzień staną na ślubnym kobiercu. I to nie

sami. Dajmy na to, że nic na siłę, pani Beato. Nie spodobali się pani panowie, trudno. Ale pani Beato, stało się coś znacznie gorszego! Przez panią musiałam zawrzeć w umowach z klientami specjalną klauzulę. Pani Beato, jak pani mogła, co to był za pomysł wybrać się na rower z panem Jarosławem! Czy według pani pięćdziesięciolatek, który uprawia sport elegancki, nieśpieszny, jakim jest golf, może tak po prostu wsiąść na rower i pojechać? Nic dziwnego, że pan Jarosław nie zadzwonił do pani po raz drugi! Dobrze, że skończyło się tylko na gipsie! Pan Jarosław usunął ze swojego opisu wzmiankę o uprawianiu sportu. Pani Beato, jest mi bardzo przykro to powiedzieć, ale przez panią omal nie straciłam najlepszego klienta. Pani Beato. Przez panią dobre imię biura matrymonialnego „Przeznaczeni” zostało narażone na szwank. Narażone zostało bezpieczeństwo abonentów premium. Proponuję, pani Beato, żeby nie testować panów ze sportów ekstremalnych. Jest tyle innych rozrywek na poziomie. Spacer, lody, koncert w Łazienkach. Niech się pani zaprezentuje jak prawdziwa kobieta. Statecznie. Elegancko. Proszę mnie posłuchać, pani Beato. Radzę nie szukać księcia z bajki, który przyjedzie na rowerze. Proszę się skupić na dostępnych kandydatach i podjąć dojrzałą decyzję. Pani Beato! Ma pani do sprawdzenia jeszcze kilku kandydatów. Uprzejmie proszę, żeby ich pani fizycznie nie skrzywdziła!

Telefon Jagody nie odpowiadał. Akurat wtedy, kiedy Beata potrzebowała wsparcia i co najmniej dziesięciu argumentów potwierdzających, że z nią jest wszystko w porządku, a pani Anetka jest co najmniej głupia i zazdrosna i że świat jest pełen starych, niedojrzałych mężczyzn. W dodatku kompletnych pokrak fizycznych. Na wszelki wypadek Beata jeszcze raz wybrała numer przyjaciółki, ale widocznie Jagoda naprawdę nie mogła rozmawiać. Posłała zatem esemesa ozdobionego kilkoma wykrzyknikami: „Pilne!!! Zadzwoń!!!” i tak samo wściekła, jak zrozpaczona opuściła salkę konferencyjną. Udała się prosto do pokoju Wita, bowiem oprócz Jagody tylko Wit zrozumie zniewagę, wielką krzywdę, jaka ją spotkała.

Tak, Wit pojmie głupotę i złą wolę zaprezentowaną przez właścicielkę biura matrymonialnego „Przeznaczeni”. Parapsychologa, kretynek panią Anetkę!

Wita w pokoju nie było.

– Wicie, gdzie jesteś? – zakrzyknęła Beata i otrzymała odzew.

Wit był w pokoju socjalnym i posługując się pałeczkami, jadł danie chińskie zakupione od Pana Kanapki.

Niestety, Wit nie był sam. W pokoju socjalnym była także pani prezes.

Z nietypowo, jak na nią, zmierzwionymi włosami. Policzki jej płonęły, a oczy błyszczały niezdrowo. Rozczapierzonymi palcami obu rąk szefowa przytrzymywała przewieszane przez jej ramiona liczne wieszaki z częściami damskiej garderoby. Beacie udało się dostrzec, że większość była nowa, jeszcze z metkami. Pani prezes oddychała głośno i podciągała zsuwające się suknie i leżące się bluzki. Patrząc na Wita jak na wyrocznie, wskazywała ruchem głowy to prawe ramię, to lewe. I najwyraźniej oczekiwała decyzji.

– No i która, Witusiu? Która? Która według ciebie? Która? Witusiu. Ta czy ta? Czy ta? A może ta? Czy ta? A ta? Która?

– Pani prezes. Pytanie jest trudne. – Wit spokojnie przeżuwał pęd bambusa. – Rozumiem, że sukienka ma być na spotkanie w ministerstwie.

– Tak, tak. W Ministerstwie Rolnictwa. Będzie wielu mężczyzn. Beatko – szefowa zwróciła się do podwładnej – czy możesz sprawdzić, czy na stronie ministerstwa jest drzewko, no, taki wykres pokazujący zatrudnienie? Sprawdź, ilu tam jest mężczyzn. Albo nie. – Pani prezes w porę przypomniała sobie, że Beata, owszem, schudła, owszem, wypiękniała, ale jest wciąż sama, a tym samym stanowi silną konkurencję. – Idź, popatrz, kochana, przejrzyj moją pocztę. Sprawdź, czy są podania od młodzieży ze wsi. Ja od rana nie miałam czasu. Nie rozdwoję się. No i jak, Witusiu? Która? Ta? Czy ta? Czy ta?

– Pani prezes. – Wit z uwagą obejrzał wszystkie dziewięć kreacji. – Zdecydowałbym się na błękitną sukienkę z wycięciem w łódkę. Do niej pantofle. Ale na niezbyt wysokim obcasie. Nie wiemy, jakiego panowie z ministerstwa są wzrostu. Dobrze by było, gdyby pani prezes zdążyła się uczesać. Nie sama – dodał Wit, widząc, że szefowa poderwała się, by dopaść którąś z pracownic. – Zdąży pani do fryzjera.

Godzinę później Beata wyszła z pokoju Wita podniesiona na duchu.

Wit był jednak niezwykle mądry.

Prawda, że najpierw wygłosił pogadankę dyscyplinującą, żeby postawić ją do pionu.

W zwięzłej wypowiedzi Wit nakazał Beacie obetrzeć łzy i odpuścić gniew skierowany ku pani Anetce. Nietaktownej, fakt. Być może i durnej. Trudno.

– Beato, pragnę powiedzieć, że twoje życie bez mężczyzny nie jest mniej wartościowe. Jesteś wartością samą w sobie i nie jest ci potrzebny nikt, na kim można się oprzeć albo co gorsza, uwiesić. Nie musisz definiować siebie

poprzez fakt, że z kimś jesteś. Uwierz w siebie i poczuj swoją wartość. Jak się ktoś znajdzie, to dobrze, jeśli nie, to też dobrze. Na razie biuro matrymonialne nie będzie ci potrzebne. Potrzebne ci jest co innego, Beatko. Ten telefon to prywatny? – Wit spytał o aparat, który Beata ścisnęła kurczowo, na wypadek gdyby Jagoda oddzwoniła. – Pozwól. Pokażę ci coś.

Przez następne tygodnie Beata mogła potwierdzić to, co zapowiedziała dawno, jakieś półtora roku temu (mogłaby, jak przykładowy nałogowiec, policzyć co do dnia każdy dzień o wodzie i chrupkim chlebie), kiedy osiągnęła sylwetkę idealną. Tak, Beata poszła na akord. O ile jeszcze jakiś miesiąc temu owo hasło nie miało pokrycia, o tyle teraz – ho, ho! Jak najbardziej.

Aplikacja zainstalowana w telefonie dawała niezwykle możliwości. Możliwości tak nieograniczone, że baterię trzeba było ładować codziennie.

W ciągu dwóch miesięcy Beata zrealizowała wszystkie swoje skryte marzenia.

Z jej twarzy nie schodził promienny uśmiech, a w oczach tliły się isierki tego samego rodzaju, co u niektórych posłanek byłych kadencji. Wit kiwał głową z zadowoleniem. Recepta na kobiece szczęście okazywała się prosta. Powszechnie znane zdanie o tym, co kobiecie przywraca zdolność myślenia i funkcjonowania, i tym razem się potwierdziło. Daj Boże, pomyślał Wit, żeby i prezeska szybko trafiła na swego zwierza, bo babsko nie da mi żyć...

A Beata? A Beata nie mogła się nadziwić, dlaczego do tej pory nie wpadła na rozwiązanie tak proste, a zarazem tak owocne. Dzikie żądze, które targają nią od czasów dojrzewania, znalazły wreszcie ujście. Wystarczyło uruchomić aplikację, a chłop słał się gęsto. Boże, jaki ten Wit jest mądry! – myślała Beata, kupując magnez plus żelazo w aptece. Nie tylko mądry, ale i doświadczony, dodawała w myślach i dorzucała do koszyka paczkę mieszanki studenckiej i tabliczkę mlecznej czekolady. Skądś siły na to wszystko trzeba było brać.

Noce były upojne, a dni upływały Beacie na uruchamianiu aplikacji, ładowaniu telefonu i odpowiadaniu na pytanie: „U mnie czy u ciebie?”. Okrutnie niewyspana i przejęta swoim nowym wcieleniem demona seksu Beata zamknęła folder z podaniami uzdolnionej młodzieży ze wsi, uśmiechnęła się pod nosem i z precyzją popartą koniuszkiem języka jąta stukać

w klawiaturę.  
Gangbang

Mąż zzuł przyciasne pantofle i dolał sobie kompotu ze śliwką. Kark opowiadał rzeczy niewiarygodne. Mówił o zjawiskach nadprzyrodzonych. Niebываłych. Egzotycznych. Mężowi nieznanym. Opowieść zilustrował ryciną Thomasa Rowlandsona przedstawiającą czerwonego niczym piwonie baszę, otoczonego wianuszkami niekompletnie odzianych piękności. Rozognione, o pełnych kształtach niewolnice miłości pokładały się na baszy i na sobie wzajem, z oddaniem pieszcząc każdy skrawek ciała pana i władcy.

Mąż wyłowił śliwkę z kompotu i obracając pestkę w ustach, chłonał takie nowości jak gangbang czy bukkake.

Wyjął z rąk Karka rycinę i jeszcze raz uważnie przestudiował obrazek.

Wypluł pestkę i nakazał Karkowi powtórzenie obco brzmiących wyrazów.

Do czego to doszło. Do czego doszło.

Ale już nawet nie dziwy nad dziwami zadziwiły Męża.

Jednej rzeczy Mąż nie potrafił zupełnie zrozumieć, a tym samym na usta cisnęło mu się następujące pytanie: jak, do licha, czorta, jak w całym tym miłosnym zamęcie, basza wytrzymuje w turbanie?

Wit siedział w swoim pokoju. Gryzł ołówek, co oznaczało, że myśli. Właśnie przedstawił pani prezes pewien pomysł na rozwiązanie jej problemów, a otrzymał burę, reprimendę. Następnie został przeproszony i poproszony o dotrzymanie towarzystwa, dopóki łzy nie obeschną.

Wit bowiem dostał misję specjalną.

Misja dotyczyła przygotowania planu poznania odpowiedniego kandydata. Rokującego.

Szefowa podliczyła, iż od ostatniego uniesienia miłosnego minęły więcej niż dwa lata, w dodatku stosunek był niepełny. W jakim sensie niepełny, nie powiedziała. Powiedziała tylko, że na samych wspomnieniach można, owszem, pociągnąć miesiąc, może nawet kwartał, ale na pewno nie rok. A już na pewno nie dwa lata.

Potrzebny był mężczyzna. Ogier.

Spotkania z przedstawicielami ministerstw, ubezpieczalni i banków tylko rozczarowały panią prezes. W ministerstwach zwierze były wyliniałe

i bezzębne. W bankach i towarzystwach ubezpieczeniowych, owszem, zwierz występował, tyle tylko że na widok rozbuchanej prezeski wolał trzymać się z dala. Być może wynikało to z faktu, że tajemnicą poliszynela była kwota, za którą prezes rozwiódł się z prezesową. Liczba zer wystarczała, by chować się po krzakach. Natomiast zwierz, który owszem i chętnie z taką przystojną kobietą, o, ho, ho, i w ogóle, taki zwierz nie leżał w orbicie zainteresowań pani prezes. Pani prezes była wysoką i bujną kobietą. Co miałyby robić dorodna łania z zalotnikiem o posturze gryzonia susła? Równie dobrze pani prezes mogła kupić sobie chomika. Może nawet w przypadku chomika zaspokojenie byłoby pełniejsze. Byłoby z kim chrupać orzeszki.

Tymi właśnie smutnymi spostrzeżeniami szefowa podzieliła się z Witem nie dalej jak kilka dni temu.

– Musimy wymyślić inny sposób, inne okoliczności spotkania. Budżetówka i banki odpadają. – Chodziła nerwowo po pokoju swojego finansisty. – Oryginalne hobby? Ale nie sport typu siatkówka w salce gimnastycznej. Niech to będzie sport z aspiracjami. Tak, żebym się miała szanse zaprezentować. Na przykład żeglarstwo. Wyobraź sobie, Wituś... Przystojny sternik, na co dzień globalny biznesmen. I ja w pareo na dziobie statku. Albo podróżnik. Dziennikarz, podróżnik. Nauczyłabym się ujeżdżać wielbłąda. A może, Witusiu, udałabym się w podróż? Na pewno jest oferta dla osób samotnych. Sprawdź, proszę. I sprawdź kluby żeglarskie. Jak wygląda członkostwo, czy wystarczy być sympatykiem. Sprawdź to, Witusiu kochany, pilnie! Nie mogę żyć tylko wspomnieniami! Dłużej tak nie pociągnę!

Po godzinie poszukiwań Wit przedstawił szefowej propozycję wycieczki dla singli.

W wycieczce do Włoch udział miało wziąć dwudziestu uczestników: dziesięciu panów i tyleż pań. Uczestnicy mieliby szansę poznania siebie już podczas jazdy autokarem. Mieliby przesiadać się i w okolicznościach rozkładanych foteli porozmawiać, poznać się, polubić, a i kto wie.

– Wycieczka daje nie tylko możliwość odwiedzenia najpiękniejszych włoskich miast, rozsmakowania się w jednej z najlepszych światowych kuchni. To czas, by uczestnicy zbliżyli się do siebie, nawiązali relacje, poczynili plany – przekonywała Wita agentka z biura podróży. – Proszę mi wierzyć – dodała – trudno się nie zakochać, zwłaszcza jak jest w kim, patrząc na zachód słońca czy tuląc się do siebie w gondoli. Szczerze polecam. Wycieczki tego typu od lat cieszą się ogromną popularnością. W przypadku

pytań pozostają do dyspozycji.

Szefowa dostała hysterii.

Czy doprawdy trzeba z niej było zrobić pośmiewisko w biurze podróży? Czy doprawdy Wit wyobrażał sobie, że ona co dnia będzie wstawiała o szóstej, niewyspana, niezaaklimatyzowana, prawdopodobnie z problemami perystaltyki jelit, które przydarzają się podróżującym. I ona, nieświeża, padnięta, ze wzdętym brzuchem, będzie pędzić do autokaru, żeby nawiązać dialog z przypadkowymi mężczyznami? A kim są ci mężczyźni? Co oni sobą reprezentują? Kto ich zna? Czy nie będą chcieli jej uwieść? Wykorzystać jej słabości? Przecież ona ma na czole wypisane pragnienie miłości. A już ponad wszystko, czy Wit ją sobie wyobraża, czy Wit w ogóle sobie wyobraża, że kobieta, która ma zainteresować mężczyznę, zainteresuje mężczyznę, który widział ją, jak z rulonikiem papieru toaletowego wędruje przez cały autokar do... Wit wie dokąd. Czy wszyscy muszą wiedzieć, co w danym czasie w mobilnej wygodce robi pani prezes? Czy Wita, jako mężczyznę, zafascynowałby ten aspekt u kobiety?

– Dlaczego więc, Wicie, dlaczego autokar, dlaczego mam się tłuc niedomyta, niewyspana, pognieciona? – Połykała łyżę. Ach, przepraszam cię, mój kochany, chciałeś dobrze, przepraszam, wybacz. Mnie ta samotność zabija. Czy ja do końca życia będę musiała ładować baterie, włączać turbo napęd i przypominać sobie kilka minut burzliwych pieszczot?

Jagoda wróciła z delegacji półżywa. Zmęczona, niewyspana, z syndromem choroby dnia następnego oraz, co wstrząsające... zakochana po uszy.

Konferencje dla kluczowych klientów od zawsze były wyzwaniem, zwłaszcza dla zdrowia, ale tegoroczna edycja okazała się mordercza. Ale i nieprzewidzianie owocna.

W listopadowy pochmurny dzień, wypakowanym po brzegi służbowym samochodem Michała, mknęli do Krynicy Górskiej w tempie, które Jagoda uznała za szalone. Zazwyczaj w podróże służbowe jeździła z Robertem, który prowadził tak szybko, jak się zakochiwał.

Michał nie uznawał innej prędkości niż dozwolona minus dziesięć. Jechali zatem drogą szybkiego ruchu dobre siedemdziesiąt pięć kilometrów na godzinę, prędkością, którą świętej pamięci dziadek Jagody lata temu rozwijał

małym fiatem, poganiani przez pozostałych uczestników ruchu trąbieniem, pukaniem w czoło oraz słowami brzydkimi i wulgarnymi.

– Nie lubię szybko jeździć, Jagodo. – Spokojnym głosem oznajmił Michał, napotkawszy jej zdziwione spojrzenie utkwione w prędkościomierzu. – Ja, proszę drogiej koleżanki, nie znoszę pośpiechu. Droga ma być przyjemnością, a nie stresem – dodał, kiedy kolejny kierowca pokazał mu wysunięty środkowy palec i wyraził krzykiem sugestię, żeby do kurwy nędzy, zjechał z lewego pasa. – Poza tym nie będę się wygłupiał i tym czymś jechał szybciej. – Michał prychnął w czeskie logo. – Co za upokorzenie i wstyd kazać nam po klientach jeździć paździerzem! To już lepiej taksówką.

– Dlaczego wstyd? – spytała Jagoda, która odróżniała jedynie dużego fiata od małego. Aha, i potrafiła wskazać garbusa.

– Sama jesteś? – domyślił się Michał. – Gdybyś miała faceta, nie zadawałabyś takich pytań – dodał i włączył odtwarzacz. – Kocham to. Słuchaj, Jagódka. *Dance me to the eeend of love...* – Niespodziewanie zawtórował aksamitnym głosem artyście staremu jak mały fiat. – A ta małpa jeździ audi.

– Jaka małpa?

– Ta pani.

– Jaka pani?

– Nie rozmawiam o tej pani. Ta pani mnie nie interesuje. Nic a nic.

– Kto?

– Małpa tleniona. Wredna, złośliwa, stara jędza. Kulasy krzywe. Mercedesa sobie kupiła. Ze sterczącym znakiem. Mnie na złość. Wie, że mnie nie stać. Co za krowa głupia!

– Kto?

– Jak to: kto? Mówię przecież, że moja żona. Ścisiz, Jagódka, dzwoni ktoś. Słucham ciebie, kochanie. Tak, jadę. Jadę. Tak, w drodze. Jadę spokojnie. Nie szaleję. Znasz mnie. Dopiero wyjechaliśmy. Z koleżanką. Tak, mężatka, dwoje dzieci. U ciebie jak? Wszystko dobrze? Autko śmiga? Tak, całuję i zadzwonię, jak dojadę. Zjem po drodze, nie martw się.

Matka, pomyślała Jagoda.

– Wielka pani dzwoniła. Z mercedesa. Pani magister z koziej dupy. Pani prezes wsiowego oddziału banku. Pogłośnij, Jagódka! I lecimy!

Jagoda musiała przyznać, że nigdy dotąd nie spędziła aż kilku godzin przy



muzyce retro. Nawet jej świętej pamięci dziadek preferował muzykę nowoczesną i okazywał dużo radości, widząc teledyski ze skąpo odzianymi wokalistkami. Jak tylko trafiał na kanał muzyczny, wyłączał głos w telewizorze, bo słuchać się ich raczej nie dało. Za to patrzył sobie do woli i na widok co ładniejszej pupy klepał się ręką w kolano i wołał: aj, aj! Michałowi jednak pod względem doceniania walorów artystek śpiewających daleko było nawet do świętej pamięci starca. Michał nie uznawał muzyki innej niż nurt new romantic i takimiz utworami raczył Jagodę podczas nieśpiesznej podróży służbowej. Przy Roxy Music wydawał się nawet wzruszony. Przypomniało mu się, że miał taki sam biały garnitur do ślubu jak wokalista. Gdyby wiedział wtedy to, co wie teraz, to poszedłby do ślubu w czarnym garniturze. I w lakierkach. Jak na pogrzeb. W dodatku na własny. W każdym razie Michał nie polecał Jagodzie wstępowania na niepewną, wyboistą, wręcz ślepa, bo bez wyjścia, drogę małżeńską.

– Daj spokój! – Machnął ręką na prośbę o zasadną argumentację. – Człowiek sam się skazuje na dożywocie.

Podczas obiadu inaugurującego konferencję Robert rzucał w stronę Jagody pełne rozczarowania spojrzenia. Wymownym ruchem głowy wskazywał na trzy puste krzesła.

Uniósł złowieszczo brwi i wlepił w Jagodę oskarżający wzrok. W jego zazwyczaj poczciwych oczach czaiła się obawa egzystencjalna. Do końca roku pozostało kilka tygodni i jak zwykle o tej porze przepełnieni lękiem handlowcy głośno wyrażali nawiedzający ich, w postaci przełożonych oraz nocnych koszmarów, lęk: miejmy nadzieję, że coś się sprzeda i wszystkich nas nie wypierdola.

Ze względu na zaistniałe okoliczności stało się bardzo prawdopodobne, że wyrażane w czwartym kwartale słowa obawy, w sylwestra traktowanego jako normalny dzień pracy i dzień przesyłania e-mailem tak zwanych *thank you letters*, mogły się nieszczęśliwie potwierdzić. Nawet w firmie tak prosojnej i prorodzinnej, i szwedzkiej, ale tak czy owak, korporacji. Mogło nie być radosnego świętowania, coca-coli pitej przy wigilijnym stole, krewetki na wykałacze zakąszanej w noc sylwestrową, prezentów ze złota, futra czy samsunga galaxy. Mogło nie być nic.

– Tak, tak. – Robert kiwał głową, energicznie podnosząc łyżkę z kwaśnicą do

ust. – Tak, Jagoda. To może być nasz koniec. – Przełykał zupę. – A tak cię prosiłem! – Chlusnął łyżką w talerz, nieświadomy, że właśnie obryzgał kapustą i kawałkiem tłustego mięsa jedzącego w milczeniu, wciąż regenerującego siły po wyczerpującej podróży czeskim automobilem Michała. – A tak cię, Jagoda, prosiłem! – jęknął i zagryzł kwaśnicę pajdą wiejskiego chleba z masłem.

Jagoda nerwowo zataczała łyżką coraz ciaśniejsze kręgi. Od zewnątrz do środka i od środka do krawędzi talerza. Dłonie jej się trzęsły i zbierało jej się na płacz. Umrą z matką w nędzy. Nie będzie nawet na cienkie kakao.

– Może być plama – stwierdził Michał i nie było wiadomo, czy chodzi mu o ślad po skwarce poczyniony na mankiecie, czy o dręczącą wszystkich w obliczu zaistniałych okoliczności wizję niezrealizowanego planu sprzedaży.

Do wewnątrz i od środka, chlup, chlup, chlupała Jagoda. Kwaśnica stygła, a ona nie przełknęła nawet łyżki. W gardle czuła znaną z dzieciństwa gulę. Gula rosła wprost proporcjonalnie do rozmiarów nieszczęścia. Kiedyś podobnych rozmiarów nieszczęściem było ogolenie Jagódkowej grzywki przez matkę, żeby dziecku włoki nie wchodziły do oczu. Przez dobre pół roku Jagódka uchodziła za szczerbatego chłopca. Zresztą kto wie, czy ówczesna tragedia nie była większa od obecnej. Ale obecna nie była mniejsza. W dodatku zwiastowała bezrobocie, głód i cienkie kakao pite z matką. A gdzie tam kakao! Resztki wody z zardzewiałego kranu. Za oknem zawierucha, zamieć, śnieg i deszcz. Gradobicie. Stara matka niedowidzi. Nie ma pieniędzy na operację zaćmy. Jagoda ceruje rajstopy. Matka szydełkiem wyrabia skarpety na sprzedaż. O Boże...

O Boże, zwróciła się Jagoda do Najwyższego. Jak miała się wytłumaczyć? Pomyliło się jej. Każdemu się zdarza. Dobrze wiedziała, że siedząca w hallu tleniona blondynka, dla zachowania pozorów kryjąca twarz za dużymi ciemnymi okularami, jest, hę, obiektem żądzy dyrektora pionu technicznego jednego z ministerstw i że obiekt ten, w cywilu będący kadrową w innym ministerstwie, tej nocy i przez kolejne dwie noce będzie zaspokajał wszelkie żądze dyrektora pionu. Żądze skrywane przez ciągnące się długie dni i jeszcze dłuższe noce pożycia z własną małżonką. Dobrze Jagoda wiedziała, że ma dla pozorów zamówić tej pani jedynekę, a dla dyrektora także jedynekę. To znaczy dwójkę, ale z zaznaczeniem, że do wykorzystania jako jedynek. I nie dwa łóżka, tylko jedno, za to *king size*.

I tak też zrobiła.

Pokoje w hotelu-skansenie czy spa urządzone były przepiękne, o ile ktoś miał na tyle wysmakowany gust, że potrafił odnaleźć piękno w ręcznie ciosanych drewnianych, począwszy od deski klozetowej, poprzez ściany, aż po podłogi i parapety, elementach wnętrza. Nie mówiąc o masywnych łóżkach wyposażonych w twarde materace, zaścielonych haftowanymi piernatami. I może to była nawet góralska tradycja, że miejsce spoczynku ustawiano pod skośnym dachem, tak że już pierwszej nocy Michał, jak to rzekł, „był się pierdolnął z całej siły w łeb”. Przed łóżkiem zaś, na białym futrzaku, o którym Jagoda wolała nie myśleć, z czego został zdarty, w miejsce porannych pantofli czekały na gości wielkie niczym kajaki kierpce z twardej skóry.

Pokój był, łóżko było. Jagoda cichym szeptem dała znać recepcjonistce, że blond kadrowa ma dostać oficjalnie jeden klucz. Klucz do drugiego pokoju należy dać jej do łapy, zachowując maksimum dyskrecji. I recepcjonistka, która dla gości ze stolicy chciała jak najlepiej, oba klucze dała. Tyle tylko że jeden z kluczy nie był kluczem do góralskiego *king size*, na którym spoczywał spragniony rozkoszy ze swą flamą dyrektor ministerialny od rozwoju wsi. Był kluczem do łóżka jednego z młodych informatyków jednej z centrali handlowych.

I chociaż pora była wczesna, ledwie jedenasta przed południem, a kadrowa z informatykiem jednej z największych sieci handlowych się nie znali, to się szybko zapoznali. Można powiedzieć: od razu przeszli na ty.

Tymczasem ministerialny dyrektor opłukał nogi i pachy w umywalce i legł na materacu *king size* w oczekiwaniu na kadrową.

Kadrowa nie przybywała, co było dziwne. Ministerialny dyrektor widział obiekt swej żądzy w hallu. Stał w kolejce do recepcji. Oczy przesłonił ciemnymi okularami. Wyglądał niczym Gina Lollobrigida. Albo ta, no, Andżelina, jak jej tam? Wysoka i taka piękna kobieta. Przystojna. Posągowa. O bujnych kształtach, które ministerialny dyrektor zaraz będzie pieścił na twardym jak jasna cholera materacu. I tajemnicza. Och, niezaspokojone od miesięcy żądze dawały znać o sobie i dyrektor rozważał wzięcie prysznicza.

– Nie wytrzymam – powiedział na głos do telefonu komórkowego i wybrał numer kadrowej. Telefon był wyłączony. – Co jest, do cholery? – zdenerwował się i zadzwonił do recepcji.

Od recepcjonistki uzyskał informację, że gość o wspomnianym nazwisku pobrał już klucze, to jest klucz, eee, nic, nic, i został odprowadzony wraz z walizkami do pokoju.

– Pani mi poda numer pokoju. Sprawdzę. Może koleżanka zasłała? Pani mi poda, to żadna tajemnica. My jesteśmy na konferencji. Tu nie ma miejsca na prywatne sprawy. Ja się pytam służbowo.

Pierwszy pokój był pusty. Ani kadrowej, ani nawet walizki.

– Nie wiem, co się stało – zmartwiła się recepcjonistka. – No dobrze, zdradzę panu, ale w tajemnicy. Pani wzięła dwa klucze. Pewnie jest w drugim pokoju.

– Nie wiem, jakim cudem – mruknął dyrektor. – Dobrze, pójdę i sprawdzę. Ale nie wiem, jakim cudem – mruczał pod nosem, kierując się ku schodom.

Windy cieśle nie wystrugali.

– Proszę pana, ale to jest to piętro...

– Nie. Drugie piętro – odpowiedział pewny siebie dyrektor.

– Ależ nie. Pani wzięła klucz do pokoiów sto jeden i sto dziesięć.

– Sto dziesięć? Chyba dwieście dziesięć?

– Nie, na pewno nie. Pani organizatorka podała te dwa numery. Sto jeden i sto dziesięć.

Dyrektor schował do kieszeni swój klucz.

– Pani prowadzi – powiedział cicho i powoli.

Tak cicho i powoli, jak przemawiał tylko w przypadku tłumaczenia temu idiotcie ministrowi konieczności inwestycji w nowy sprzęt i oprogramowanie.

Recepcjonistka zapukała do drzwi.

Ministerialny dyrektor rozkazał zapukać mocniej.

Recepcjonistka posłusznie wykonała zadanie. Puknęła z całej siły i uprzejmym głosem zawołała: „Puk, puk”.

– Puk, puk! – zawołał na głos dyrektor.

– Puk, puk! – Uśmiechnął się Robert, który właśnie szedł do swojego pokoju.

– Puk, puk! – Recepcjonistka przyłożyła głowę do drzwi. – Telewizor gra – doniosła zebrany.

– Puk, puk! – powtórzył dyrektor z uchem przy paździerzowych odrzwiach. – To nie telewizor. Pani mi da klucz! Klucze! – wrzasnął i sapiąc, przekręcił klucz w zamku.

Oczom dyrektora, spłonionej recepcjonistki i zamarłego z wrażenia Roberta ukazała się flama dyrektora, która zaledwie w pończochach i lakierowanych szpilkach, ale wciąż w ciemnych okularach, tkwiła w objęciach, czy na kolanach, czy o zgrozo, na czym, na jakiej intymnej części ciała wąsatego

blondyna. Przy czym, jak ocenił sytuację Robert, wążacz nie miał na sobie zupełnie nic.

– A ty co, Bożeno? – przemówił dyrektor. – Zaćmę masz?

– Klucze pasują. – Recepcjonistka starała się zachować uprzejmy dystans i nie okazać zdziwienia.

Należy być miłym dla klientów. Nie okazywać zdziwienia.

– Pasują, a jakże, pasują! – Ministerialny dyrektor rozpiął guzik przy kołnierzyku. – Pan się przedstawi! – nakazał oderwanemu od niespodziewanej, acz przyjemnej akcji blondynowi. – Pan skąd jest?

– Z centrali... – Blondyn złapał z poręczy fotela dzianinową sukienkę Bożeny i zasłonił nią przyrodzenie. – Makowski.

– Chodźmy stąd. – Robert pociągnął recepcjonistkę za łokieć. – Szybko.

– Czyli klucze pasują? – upewniła się recepcjonistka.

– A co cię to obchodzi, kim jest ten pan? Co cię to obchodzi, pytam? – Bożena wyrwała sukienkę Makowskiemu z centrali i włożyła na siebie. – Ten pan, pan Makowski, ma klasę. A wiesz, dlaczego ma klasę? Bo nie ma żony!

– A co to ma do rzeczy?

– A ma do rzeczy, ma do rzeczy! Ty mi powiedz, ile ja już lat jeżdżę za tobą? Narażam się na szwank. Na opinię! Na reputację! A co mam nie krzyżeć? Niech wiedzą! Niech wszyscy się dowiedzą, jaki święty jest pan dyrektor. A czy ty wiesz, że ja od lat urlop dla ciebie poświęcam? Żeby mi chociaż delegacje wypisać było wolno! Dniówkę pobrać! Co ty mi zwracasz, co ty mi zwracasz? A wiesz, gdzie ja mam bursztyn znad morza? To ja ci powiem, gdzie go mam! – Bożena zdjęła w końcu ciemne okulary. – Ale ja nie jestem na ciebie skazana! A pan Makowski jest wolny! I klucze mi pasują! I poszedł stąd!

– Bożeno, wybac, że cię na chwilę zostawię. Państwo wybaczą. – Makowski porwał z podłogi spodnie i zasłaniając się kierpcem, czmychnął do łazienki, skąd wyłonił się po chwili w spodniach od garnituru, szlafroku i z niejasnym wrazeniem, że grom z jasnego nieba, ogromna temperamentna Bożena, właśnie ściągnął na niego kłopoty.

Od przedpołudnia aż do godzin obiadowych w hotelu-skansenie spa słychać było wykrzyczaną przez Bożenę opowieść jej życia, o tym, jak lata temu, ona młoda, atrakcyjna, wciąż atrakcyjna – pan Makowski z centrali potwierdzi,

potwierdź! – jak lata temu, kto by liczył, że było to równo dziesięć lat temu. Ona sama nie liczyła, bo liczyła, że dyrektor się rozwiedzie. Tak! A co? Tak właśnie myślała. Całym sercem go kochała, całym sercem.

– O, tu cię miałam! – Bożena walnęła się pięścią w obfitą lewą pierś. – W sercu!

– Bożeno, pozwól, że potwierdzę – zajął stanowisko Makowski.

– Atrakcyjna? – Wielki brzuch dyrektora aż zatrzęsł się ze śmiechu. – Ty się widziałaś w lustrze? Co się pan wtrącasz, czy ja z panem gadam?

– Czy ja się widziałam? – Bożena najwyraźniej była czuła na punkcie swojej urody. – Ty chamie jeden! Wiesz, co ci powiem? Teraz ci powiem, całą prawdę ci powiem! Panie Makowski, pan słucha, a, po imieniu jesteśmy... A tobie... Tobie ja powiem, ty wieprzu tuczony!

– Jak mogłaś mi to zrobić, Jagoda? – Robert odsunął talerz z kwaśnicą i nalał sobie domowego kompotu. – A tak cię prosiłem! Matko jedyna, wyjebią nas wszystkich...

– Podaj mi zrazy, Robercie. – Dramatyczne wydarzenia i groźba niezrealizowania rocznego planu sprzedaży nie odebrały apetytu Michałowi. – I ziemniaczki. Bardzo dobre jedzenie, Jagódka.

– Dziękuję, Michale. – Jagoda skinęła głową.

Lada dzień straci pracę. Oszczędności przejedzą w miesiąc. Nie starczy nawet na cienkie kakao dla matki. Będą wyjadać ostatnie czerstwe okruchy. Inkasent znajdzie je na wiosnę martwe.

– Mogłam mieć stu takich jak ty! Mogłam mieć samego ministra!

– Może im podać obiad do pokoju? – spytał Michał.

– Sprawdź. – Jagoda podniosła się z krzesła.

Ministerialny dyrektor obiadu nie zjadł. Wziął dwie ciupagi dla wnuków i wyjaśnił Jagodzie, iż z powodów osobistych musi wracać do stolicy. Obiecał skontaktować się z dyrektorem Robertem w celu realizacji dużego zamówienia.

– Szkoda jechać – mówił dyrektor. – Ale wzywają. Pani mi dołoży jeszcze jedną ciupagę. Powieszę w gabinecie.

Dalsza część konferencji odbyła się bez większych skandali.

Bożena z Makowskim z centrali pojawili się na popołudniowych prezentacjach. To znaczy, pojawili się na piętnaście minut, bowiem słowa szeptane przez Bożenę do uszka wąsacza spowodowały, że poczerwieniały Makowski wyjął z kieszeni klucz zakończony drewnianą gruszką z wypalonym numerem sto dziesięć i nie kryjąc emocji, obwieścił Bożenie i siedzącemu obok Michałowi:

– To ja idę pierwszy, a ty zaraz po mnie, Bożeno. Zaraz po mnie ruszaj, dla niepoznaki.

Ponownie Bożena z Makowskim z centrali widziani byli dnia następnego w hallu hotelu-skansenu i spa. Informatyk stał przy dwóch ogromnych walizkach i pozwalał smyrać się po wąsie oprawką okularów przeciwsłonecznych.

– Pojedziemy do mnie po rzeczy. Listę zrobię w trakcie drogi. Jak czegoś zapomnę, to mi najwyżej kupisz.

– Aha – przestraszył się Makowski. – Na pewno.

Wieczór wieńczący pierwszy dzień konferencji udał się nad podziw rozrywkowo.

Kapela góralska, złożona w większości ze studentów Akademii Muzycznej w Katowicach, Wydział Jazzu, przygrywała do tańca. Emitowane logo Scandic-Net dawało przyjemne światło i niemal trzydziestu chłopu, mając do dyspozycji cztery pieśniarki oraz dział marketingu w postaci Jagody, ruszyło w tany. Muzyka była skoczna i nogi same rwały się do tańca. Ten nieszczęśnik, który nie zdążył porwać w obroty jednej z pieśniarek czy działu marketingu w osobie Jagody, pląsał blisko kilku żalonych par i powtarzał to jednemu, to drugiemu koledze: „Szybciej tańcz, szybciej. Inni też chcą”.

A że potrzeba matką wynalazku, to się orkiestra zmówiła, naradziła i zaraz taki oto konkurs wymyśliła:

– Proszę państwa! – krzyczał góral przepiękną polszczyzną. – *Attention!* Wszyscy tańczą do muzyki! Kiedy muzyka grać przestanie, należy się zatrzymać. Kto zapomni i dalej będzie podrygiwał, ma się przebrać za babę! Raz, dwa, trzy! W tany!

Odświętne góralskie stroje kobiece pieśniarki miały ze sobą. Nauczone doświadczeniem, że coś się może zachłapać, porwać, zawsze brały dodatkowe spódnice czy bluzki.

I tak już po dwudziestu minutach Michał był w góralskiej sukience, a zaraz i kilku innych kluczowych klientów przywdziało kobiece łąszki. A że Robert nakazał Jagodzie polewać, zanim kieliszki będą opróżnione, to w konkursie wzięli udział wszyscy zebrani. Na parkiecie wirowały przytulone pary, a partner Michała odprowadził go nawet do pokoju, żeby ucałować małeństwo do snu.

Nieco gorzej przedstawiała się sytuacja z trzema przedstawicielami producentów mięsa z obcym kapitałem. Ci bowiem po wypiciu regionalnej nalewki uznali, że pora na narty, i nie wiadomo jak i kiedy wymknęli się niepostrzeżenie w ciemną listopadową noc. Wyposażeni w ciupagi i najnowszy tablet emitujący w ciemnościach własne światło, doszli do wielkiej góry.

– Trzeba nam iść i zdobyć szczyt! – wykrzyknął jeden z nich i niczym przewodnik uniósł dłoń z ciupagą.

– W drogę! – wykrzyknęli pozostali. – Na szczyt!

Po dwóch godzinach poszukiwań okazało się, że szefowie pionów informatycznych producentów mięsa z obcym kapitałem, w omamie wywołanym nalewką regionalną, poczęli wspinaczkę na jedną ze szklarni, w których właściciele hotelu-skansenu czy spa hodowali warzywa.

Pokrwawionych himalaistów przetransportowano karetką do miejskiego szpitala. Na opiekuna ofiar wyznaczony został, jako najmniej pijany, Michał. W tempie dwudziestu kilometrów na godzinę, czeskim pojazdem osobowym, wciąż jeszcze w stroju kobiecym (nie zdążył położyć się spać, ponieważ pod drzwiami czynił mu wyznania i namawiał do wpuszczenia do środka jego partner taneczny), Michał z pełną powagą przyjął powierzoną mu misję.

Następnego dnia oczom pozostałych gości hotelu-skansenu czy spa ukazało się trzech muszkieterów, obandażowanych i poruszających się o kulach. Kuśtykali wolno przez salę jadalną. Lekarze zalecili im spokój, ale nie głódówkę.

Jak zwykle pani Irena miała rację. Miłość przysłała niespodziewanie i miała czuprynę blond. Ale raczej tak bardziej na Jacka Nicholsona niż na Redforda, opowiadała Beacie Jagoda.

– Coś ty? – obruszyła się na reakcję przyjaciółki.

Według niej grubą przesadą było stwierdzenie, że miłość jej życia jest łyśa



jak łyse kolano.

Był listopadowy poranek, drugi dzień konferencji.

Po hotelu-skansenie czy spa kręcili się odziani w szlafroki kąpielowe, chorzy od zbawiennego działania nalewki, niedospani uczestnicy. Większość z nich wolała nie pamiętać, czy poprzednią noc zakończyli jako kobiety, czy jednak jako mężczyźni. Marzyli jedynie o solidnym śniadaniu. O porcji smażonych jajek i wiejskiej kiełbasie z wody. Do tego kromka chleba z masłem, i tak, najlepiej talerz albo dwa gorącego żuru. W dalszej części dnia zamierzali oddać się zabiegom pielęgnacyjnym w spa bądź zregenerować nadwątlone siły w góralskim jacuzzi.

Siedząc nad talerzem z jajecznicą, Jagoda przecierała zmęczone oczy i podsumowywała straty z poprzedniego wieczoru. Była niewyspana i bolało ją wszystko. Nie spała od szóstej, bowiem o tej godzinie zadzwonił Michał, który powrócił ze szpitala i postanowił załatwić ważną dla jego przyszłości zawodowej sprawę. Życzenie było proste.

Teraz, tak, właśnie już, tak, wie, która jest godzina, nie jęcz, Jagoda. Potrzeba, Jagódka, dla jego klientów zorganizować gimnastykę na basenie. Aqua aerobik, jakoś tak.

– Wiesz, Jagódka, o co chodzi? A na jakim poziomie mamy sprzedaż, wiesz? To mi nie generuj kolejnych problemów, Jagoda! Działaj!

Towarzyszył sunącej korytarzem, ubranej w kierzce poranne i szlafrok narzucony na piżamę, Jagodzie.

– Rozumiesz, Jagoda. Jesteśmy w czarnej dupie. Ale jak się postaramy, to może być duży zakup. Rezerwuj basen na wyłączność!

Michał wyjaśnił, że jeden z klientów przyuważył instruktorkę w kostiumie i z wrażenia nie mógł spać.

– I nie ziewaj mi tu, Jagoda. Rok musimy zamknąć!

Michał także wolałby pospać. A nie narzeka. A trzeba pamiętać, że przez pół nocy woził tych idiotów od mięsa po szpitalach.

Chwilę po szóstej Jagoda poprosiła recepcjonistkę o sprowadzenie instruktorki.

– Cena nie gra roli. Powtarzam: instruktorka. Instruktor wykluczony. Ma być ta sama ratowniczką, która była wczoraj. W tych samych klapkach, kostiumie i czapeczce. Prośba, żeby nie ujmować tego na fakturze. Koszt wpisać na

fakturę pod „konsumpcja”.

Jagoda podniosła głowę znad jajecznicy. Obok niej zadowolony Michał delektował się parówkami z chrzanem.

- Jagódka, a znasz Fleetwood Mac? *Tell me lies, tell me sweet little lieees...*
- Trzymał widelec z nabitą parówką i nucił aksamitnym głosem.
- Znam, Michale – odparła Jagoda. – A wiesz, kto śpiewa...

Chciała spytać o *Love Letters*, piosenkę, przy której ubiegłej nocy tańczyła z jednym wysokim uczestnikiem konferencji, takim trochę Nicholsonem z wyglądu, tylko wyższym. Michał powinien wiedzieć. Ale z ustami otwartymi do zadania dalszej części pytania Jagoda zamarła. Za jej plecami rozległ się szcęk tłuczonych naczyń i przeraźliwy okrzyk, złożony z najczęściej używanego przez naród słowa.

Jagoda gwałtownie odwróciła się w stronę hałasu. Przed bufetem na podłodze leżał jeden z trzech muszkieterów, amator wspinaczki na szklarnię. Zamroczony środkami przeciwbólowymi, zdumiony, a może nawet wystraszony własną nocną brawurą leżał teraz na podłodze wśród odłamków talerza i z jajkami sadzonymi na spodniach. Drugi z załogi, z zagipsowaną nogą, próbował za pomocą kuli pośpieszyć na ratunek. Na przeszkodzie stała trzymana przez niego w dłoni filiżanka z wrzątkiem. Widząc jednak, że sytuacja jest dramatyczna, ruszył o kuli co siłą, nie wypuszczając naczynia.

– Szybko, Michale! – krzyknęła Jagoda, obawiając się tego, co za chwilę się stanie, i pobiegła w stronę potencjalnego wybawcy.

Michał przełknął parówkę i powoli podniósł się z krzesła. Nie bardzo chciało mu się udzielać pierwszej pomocy. Trzech kretynów produkujących mięso zalazło mu za skórę już dawno. Zawsze targowali się przy cenach i Michał musiał im sprzedawać niemal bez marży. A negocjować lubili najbardziej w lokalach nocnych i na wystawnych kolacjach. Michał nawet nie liczył, ilu striptizów musiał się naoglądać, jak często musiał kombinować, jak zaniżyć ceny, żeby trzech młodych wilczków zechciało kupić serwer czy chociażby wypróbować nowy ulepszony system do zarządzania magazynami.

Z takimi refleksjami skierował się na miejsce wypadku. Z niejakim pobłażaniem patrzył na Jagodę, która sadząc wielkie kroki, zdążyła w stronę dopiero co zszytej ofiary. A ofiara na przemian to jęcząc, to miotając wulgaryzmy, z trudem gramoliła się do powstania.

I biegła Jagoda, i powolnym krokiem zdązał Michał, i kuśtykał uczestnik wspinaczki, i co się miało stać, to się stało. Stała się rzecz nieunikniona, której ani Jagodzie, ani tym bardziej Michałowi, nie udało się udaremnić.

Drugi muszkieter, potykając się o kulę i patrząc to na drżącą dłoń dzierżącą filiżankę z wrzątkiem, to na usiłującego wstać kolegę, kierował ku niemu słowa otuchy:

– Sławek, spokojnie, idę do ciebie!

I faktycznie, był już krok od Sławomira, tyle że nienawykły do poruszania się o kuli, walcząc z własnym bólem i tym dziwnym nieprzyjemnym uczuciem ośpienia od środków przeciwbólowych, pochylił się nad kolegą i bohatersko wyciągając kulę, powiedział:

– Łap. No, trzymaj. – Pochylił się bardziej.

A wraz z nim pochyliła się filiżanka i cały wrzątek znalazł się tam, gdzie wcześniej opadły już jaja sadzone. W tym samym momencie krzyknęli i Sławomir, i Jagoda, i nie było wiadomo, czyj krzyk był bardziej przeraźliwy.

– Ja pierdołę – skwitował Michał.

Wziął ze stołu dzbanek ze źródlaną wodą, chlusnął Sławomirowi po sadzonych i poszedł do swojego pokoju po kluczyki od samochodu. Miał nadzieję, że kolejna nieplanowana wizyta na ostrym dyżurze zakończy się przed obiadem. Nie lubił jeździć głodny, zwłaszcza że miał przed sobą drogę powrotną i to w dodatku, szlag trafił, trasami szybkiego ruchu.

– A ja się zakochałem, Jagoda – westchnął Robert i zalał białą kiełbasę parującym żurem.

– Opowiedz. – Jagoda zebrała siły, by okazać ciekawość. – Nie daj się prosić. Kto to?

– Nigdy nie zgadniesz. – Robert z apetytem jadł żurek. – No, spróbuj.

– Robercie. W hotelu-skansenie czy spa są trzy kobiety na krzyż. Ja, recepcjonistka i kucharka. Nawet kelnerek nie ma, tylko nieopierzeni chłopaczkowie z technikum hotelarskiego. Kto zatem skradł twoje serce? Muszkieter cię uwiódł?

– E, nie no, Jagoda. Byłaś na basenie? Ratowniczkę widziałaś? Zauważyłaś, jakie ma ramiona? Uda mocne? Pomyśl, jak ona by tymi udami mogła człowieka zakleszczyć. Myślisz, że powinienem zadzwonić?

– Gdzie chcesz dzwonić? Na basen?

– Nie no, do niej. Jagoda... – zacukał się Robert. – Słuchaj, a może byś mi pomogła zdobyć numer telefonu?

– Michał ci pomoże. Michał pluskał się w basenie już o szóstej rano. Zna panią lepiej. Poproś Michała.

– Michale. – Robert zwrócił się do posilającego się podwładnego. – Odłóż, Michale, łyżkę. Musimy porozmawiać.

Niech jadą. Niech biorą ciupagi i po oscypku. Niech kradną kierpce z pokoiów. Niech zdobywają numer telefonu do ratowniczkki albo kosmetyczki ze spa i dobrej drogi, myślała Jagoda, stojąc z Robertem przy recepcji i żegnając gości.

Bilans zysków i strat nie był najgorszy. Kadrowa z ministerstwa znalazła szczęście w ramionach Makowskiego z centrali. Trzech muszkieterów, z czego dwóch ponownie opatrzonych w szpitalu, poprosiło Roberta o dyskrecję i nierozpowszechnianie informacji o przyczynach, hm, ich niedyspozycji. Absolutnie roszczeń żadnych zgłaszać nie będą. Takie tam żarty ich poniosły.

– Ułańska fantazja, eee, szkoda gadać – stękał Sławomir.

Nie chcą już nikogo kłopotać. Chcą już jechać. Do domu. Jak najszybciej być w domu. Będzie kierował najmniej poszkodowany kolega. Ten, co ma tylko zszytą nogę. Najwyżej będą robili częste przerwy. Powinni dać radę. To tego, to co? Wszystko zostaje między nami? Oczywiście, zamówienia będą. Na początku grudnia przyjdzie oficjalna prośba o ofertę. Sławomir, starając się manewrować temblakiem, przysunął się do Roberta i na ucho wyjawiał kwotę, na jaką złożą zamówienie.

– Jagódka! Dołóż panom po koszulce i ciupadze. Niech mają pamiątki. – Robert właśnie zamknął rok. – Panowie mają telefon do ratowniczkki? Nie? Jagódka, zorganizuj... Nie będzie na razie potrzebny? No tak. Panowie wybaczą.

Rok udało się zamknąć z wynikiem powyżej planu i Robert osobiście dziękował Jagódce za wspaniałą organizację konferencji.

– Następnym razem może nad morze? – wysunął pomysł.

Ale zanim to się stało, zanim rok się zamknął i zanim Robert zamarzył o nieskończenie szarym Bałtyku, nad którym będzie karmił kluczowych klientów smażonym dorszem i bawił tańcem młodych fok, stało się coś

nieprzewidzianego. Zaskakującego.

Otóż w końcu listopada, w miejscowości Krynica Górską, w hotelu-skansenie czy spa, zakwitły kasztany.

Jagoda spotkała miłość swojego życia.

Pani Irena zawsze mówiła, że na pytanie: „No to ilu było przede mną?” należy odpowiedzieć: „Z ręką na sercu mogę przysiąc, że nie było nikogo, czekałam bowiem na ciebie”.

Zgodnie ze słowami pani Ireny, miłość przyszła bez zapowiedzi.

Niespodziewanie.

Tak po prostu.

Przyszła i strzeliła niczym grom z jasnego nieba.

– Silnik się liczy. Jeden chodzi głośno, inny cicho. Grunt, żeby często wymieniać – usłyszała Jagoda.

– Grunt, to żeby często smarować. Znam się na tym. Jak nie posmarujesz, to nie pojedziesz.

– Liczy się przebieg – przekonywał męski głos. – Trzydzieści cztery to max.

– Co trzydzieści cztery? – Jagódka odwróciła się, słysząc magiczną liczbę swoich dopiero co skończonych wiosen.

Dwóch menedżerów reprezentujących globalne koncerny samochodowe zrobiło głupie miny. Jeden uśmiechnął się niewinnie i wyjaśnił:

– Trzydzieści cztery lata. Inaczej się zaciera.

– Ja mam trzydzieści cztery lata – wyznała bez zastanowienia Jagoda i spojrzała w przepastne lazury amatora nieprzechodzonych silników.

– A ty?

– Czterdzieści dziewięć.

– Nie wyglądasz.

– Jesteś sama? Kobieta nie powinna być sama.

– Dlaczego myślisz, że jestem sama?

– Nie myślę, wiem. Dlaczego?

– To ty mi odpowiedz, gdzie byłeś.

– Najważniejsze, że się nie spóźniłem. To ile było tych miłości przede mną?

– Żadnej. Czekałam na ciebie.

– Tylko dwóch?

– To ile?

- Proporcjonalnie więcej. Straty też większe.
- Jakie straty?
- Moralne, zdrowotne. Finansowe. Wy, kobiety, umiecie dać w kość.
- O Boże. To straszne. Jadę z ofiarą.
- Z bohaterem.
- To ile?
- Trzy.
- Własne?
- Niestety.
- I co się z nimi stało?
- Odeszły, niedobre.
- Dzieci?
- Córka. Dorosła. Mieszka za granicą. Ty nie masz dzieci.
- Skąd wiesz?
- Z doświadczenia. Powinnaś mieć dzieci.
- Żeby mieć dzieci, trzeba mieć męża.
- Własnego?
- Zatrzymamy się na stacji. Na moje oko potrzebne ci duże cappuccino z ciastkiem. Mnie przyda się mała czarna.
  
- A hobby, pasję masz?
- Można tak powiedzieć. Gram trochę w sudoku.
  
- Jaka powinna być kobieta?
- Ciepła. Ciepła i gospodarna.
- I?
- To mało? Według mnie wystarczy.
- One takie nie były?
- Przed ślubem były. Po ślubie wyszły z nich emancypantki. Feministki walczące. Skrajna frakcja. Terrorystki. A ja jestem prosty facet. Tradycjonalista. Można nawet powiedzieć: lekko zacofany. Niepostępowy.
- Co to znaczy tradycjonalista? To znaczy, że kobieta ma siedzieć w domu i gotować?
- A dlaczego nie? Mężczyzna idzie polować, a kobieta strzeże domowego ogniska. Dlaczego nie?

- Hm.
- Ale może też pracować. Dobrze, żeby była między ludźmi.
- I to wystarczy?
- To bardzo dużo.
- I będzie dobrze?
- Będzie wspaniale.

– Malina? Malina, śpisz? Tu Barbara. Twoja siostra. No, wiadomo, że siostra. Malina. Słuchaj. Ty jesz? W nocy? Tyle razy ci mówiłam. Malina, nie jedz w nocy, bo nie będziesz mogła spać. Co się dziwisz, że nie śpisz, skoro jesz o tej porze? Malina. Przeżywam dramat. Dramat matki. Malina. Jagoda nie wróciła na noc. Dzwoniła, że nie wraca. Pytam: jak to nie wracasz do domu, dziecko, gdzie jesteś, co się z tobą dzieje, co się stało? Czy wiesz, która godzina? A ona na to, że jest dorosła i nie wraca. Malina, jaka dorosła? Gdyby była dorosła, to inaczej by jej życie wyglądało. Ja w jej wieku miałam już dziecko i byłam przyzwoitą wdową. Malina, ty jesz cały czas? Malina, może zadzwoń do Jagódki i powiedz, że matka źle się czuje. Serce mi bije jak oszalałe. Malina, czy przy zawale boli noga? Bo coś boli. Nie pamiętam co, ale któraś kończyzna albo szczeka. Malina, nie wiem, czy nie zasłabnę. Może zadzwoń do mojej córki, żeby wiedziała, że matka zasłabła. Nie, nie przyjeżdżaj. Po co?

– Malina, śpisz? Malina. Wszystko wiem. Dobrze się domyślałam. Chodzi o mężczyznę. Możesz przestać jeść na chwilę? Słabo słyszę, jak gryziesz. Malina. Jagoda wróciła do domu. No, po południu, po pracy. Cała. Przypatrzyłam się dokładnie. Spytałam, czy coś zje. Jagódka, zjesz obiad, kolację? Jadłaś coś w ogóle? Dziecko, co się z tobą działo? Zadałam to pytanie. A ona, że jadła. Jadła, jadła. I tak się na mnie patrzy. Malina, takim spojrzeniem krowy. Oczy nieprzytomne, rozbiegane. Uśmiech głupawy. Myślałam, że to może z głodu, że jednak jest na czczo. Pytam, co się dzieje i czy wie, że ja od zmysłów odchodzę, bo nie wiem, co się dzieje. Czy jadłaś? – ponowiłam pytanie. Ale powiedziała, że jadła. I dalej tak na mnie patrzy. Nieprzytomna. Oczy szaleńca. Przykładam rękę do czoła. Rozpalone. Dziecko, masz gorączkę, mówię, kładź się. A ona, że nie ma gorączki. Że się zakochała. Malina, ja na takie wyznanie czekałam lata! Całe lata. Całe lata marzyłam, że

moje dziecko wyzna mi miłość. No to się doczekałam! Boże, czemuś mnie tak dotkliwie pokarał! Malina, przełknij spokojnie, bo się zachłyśniesz w końcu. Przytulam moje dziecko i mówię: dziecko, jeśli ty jesteś szczęśliwa, to ja jako matka też jestem szczęśliwa. Ile chłopak ma lat? Czterdzieści dziewięć. Słucham? – pytam, bo nie wiem, czy się nie przesłyszałam. Jak to, pięćdziesiąt? Nie pomyliłaś się? W takim wieku i bez żony? Już nie ma żony. A co się stało? Umarła? Nie, odeszła. Jak to: odeszła? Normalnie. A dzieci? Jedno dziecko, z pierwszą żoną. Jak to: z pierwszą żoną? To ile było żon? Trzy. A pozostałe umarły? Nie. Odeszły. Dlaczego odeszła? To znaczy, dlaczego odeszły? Nie wiem, Malina, to chyba nie były sekretarki. Nie, nie pytałam, czy pracowały. Dziecko ma dwadzieścia pięć lat. To dziewczynka. Wyszła za męża i mieszka w Szkocji. Malina, psst. Cicho, muszę kończyć. Jagódka buszuje po lodówce.

Na przełomie listopada i grudnia Jagoda i Janusz odbyli sześć randek. Pierwsza miała miejsce w kawiarni sygnowanej E. Wedel. Jagoda, moszcząc się na aksamitach i atłasach kanapy oraz w rozległych ramionach Janusza, chłonęła nie tylko czułe słówka. Pochłonęła czekoladę na gorąco ozdobioną chmurką bitej śmietany, torcik czekoladowy oraz skosztowała czterech pralinek. Janusz poprzestał na serniku, małej czarnej i szklance wody gazowanej. Po zjedzeniu ostatniej pralinki Jagoda stwierdziła, że albo to uczucie ją obezwładniło, albo jest bliska stadium śpiączki cukrzycowej. Leniwie osunęła się na tors Janusza i z rozkoszą słuchała szeptanych obietnic.

- Będę o ciebie dbał.
  - Będziemy mieli dom.
  - Będzie ciepło, spokojnie, szczęście.
  - Będziemy jeść domowe obiady, z zupami.
  - Będziesz się czuła jak u siebie.
  - Będziesz u siebie.
  - Urządzisz się, jak zechcesz.
  - Zrobię ci miejsce na twoje książki o Paryżu.
- 
- Będą rozmowy, śmiech.
  - Razem ty i ja.
  - Warto było czekać.



- Będziesz panią naszego domu.
- Będę twoim mężczyzną.
- Nasze dzieci będą piękne po tobie i mądre po mnie.
- Jesteś taka ciepłutka.
- Spać ci się chce?

Jak mawiała pani Irena, z konsumpcją nie należy się śpieszyć, nie należy. I nie należy od razu pokazywać całej dupy. Zwłaszcza jeśli nam na mężczyźnie zależy. Wiadomo bowiem nie od dziś, że nie o to chodzi, by złapać króliczka, ale by gonić go. Wręcz polować na niego.

– No dobrze – odniosła się Jagoda do powyższego. – To kiedy skonsumować? Po miesiącu?

– Ech! – obruszyła się pani Irena. – A kto by wytrzymał tak długo?

Janusz najwyraźniej uznał, że króliczka zwabi smakołykami. Ściśle mówiąc: słodyczami. Wybór, czy roztyć się tej zimy, czy dać się zdobyć, nie był zatem zbyt trudny i kolejne randki były już nastawione na konsumpcję w ścisłym tego słowa znaczeniu. Lekkie wyrzuty sumienia i niepokój wynikający z faktu, co on sobie pomyśli, Jagoda na potrzeby własne usprawiedliwiła się inną złotą myślą pani Ireny. A kto by kupował kota w worku?

Janusz kotem w worku nie był. Może nieco daleko mu było do kondycji żywionego kwasami omega Larsa, ale za to w szeptaniu słów czułych, namiętnych był niedościgniony. Początkowo nieco przestraszona, czy jednak nie za szybko dała się poznać Januszowi niemal z każdej strony, dla podniesienia własnego morale, po rozkoszach i uniesieniach Jagoda kazała się odwozić do domu. W głowie bowiem miała także inną naukę pani Ireny, że wszystko wolno i wszystko można, ale żeby na Boga, nie wprowadzać się do mężczyzny od razu. A już na pewno nie wprowadzać się jako gość. Osiąść należy tylko i wyłącznie jako żona. Drżąc z niepokoju na wspomnienie dobrych rad ukochanej sąsiadki, Jagoda wyskakiwała z pościeli, w chwili kiedy Janusz nagadał się już i pozachwycał swoją małą paryżanką. W międzyczasie zdołał stanąć na wysokości zadania, a kiedy już, zmęczony, miał zapaść w zasłużony sen, boginka potrząsała nim i poganiając półprzytomnego, zmuszała do nocnej przejażdżki. Myślała, że może i faktycznie nie kazała Januszowi zbyt długo czekać i może króliczek skruszał

zbyt szybko. Zaraz jednak pocieszała się myślą, że nie będzie taka, jak każda inna, to znaczy nie będzie się chciała wprowadzać od razu, że poczeka, aż Janusz o to poprosi. Zaraz, wróć! Wprowadzi się tylko jako żona. Chociaż, nawiasem mówiąc, pakowanie zajęłoby jej ile? Godzinę? Dwie? Spokojnie. Jeśli ma przestąpić próg Januszowego domu i zostać w nim już nie tylko na noc, ale i na całe życie, to tylko jaka panna młoda. Zdecydowanie.

Po szóstej randce, w trakcie której Janusz naszeptał się i wyszeptał słowa, które mogłyby się złożyć na tomik wierszy, być może i erotycznych, strudzony i zmorzony snem, kategorycznie zażądał, żeby Jagoda spakowała swoje suknie, buty i torebki i wprowadziła się jak najszybciej. Niech to zrobi jutro po pracy, Janusz po nią przyjedzie. Z rana jedzie służbowo do Gdańska. Musi się wyspać. Wystarczy już tych nocnych eskapad. Jagódka ma już swoje lata, nie musi wracać jak ta panna do panińskiego łóżka.

Po czym wstał i lśniąc białym ciałem, otworzył odrzwia szafy i jak to się mówi, bez majtek, w samych spodniach od garnituru i swetrze, dopełniwszy strój skórzanymi klapkami, zjechał z Jagodą do garażu. I pod osłoną nocy, nie mówiąc nic, nic więcej, zawiózł ją do mamusi.

# Van Gogh

Mąż długo patrzył na *Pokój artysty* i myślał, że ten van Gogh nie był idiotą, mimo że uciął sobie ucho.

Dźwignął się z krzesła, wziął dla pozorów kubełek na śmieci i poszedł do samochodu. Postanowił zepsuć okna przy siedzeniu dla samobójcy, tak żeby ją w końcu przewiało. Żeby jej ucho zaszło ropą i żeby go w końcu nie słyszała.

– Malina, znowu jesz? Czy ty przechodzisz burzę hormonalną? No wiem, że z sekretarką, ale to nie powód, żeby pół nocy jeść kurczaki. Malina. Cała się trzęsę. Pamiętasz moją dużą torbę? Taką niebieską? Co mi Jagódka z pracy przyniosła. Pamiętasz? Pokazywałam ci. Na suwak. Pojemna. Jak ktoś ma działkę, to dobra na działkę. Jagódka wróciła z pracy. Nie chciała nic jeść. Wzięła tylko niebieską torbę i się w nią spakowała. Jak leci. Majtki, spodnie, buty, swetry, sukienki, marynarki, płaszcz, kurtka puchowa. Wszystko po kolei. Powiedziała, że na razie bierze tylko kilka rzeczy, po resztę wróci jutro. Nie, jest w domu. Siedzi w swoim pokoju. Ja nic nie mówię. Bo co mam powiedzieć? Niby jest dorosła. Teraz jest dwudziesta, ósma wieczór dochodzi, i dalej tam siedzi.

Malina? Nie mogę spać. Opowiem ci przebieg wieczoru. Poszłam do pokoju Jagody z pytaniem, co chce na kolację. Powiedziała, że nic. Pytałam, czy jadła obiad w pracy, bo z domu nic nie wzięła. A specjalnie zrobiłam jej wątróbkę, bo wiesz, jak wygląda. A, nie wiesz, fakt. No wiem, że nie wychodzisz z domu, tyle co do różna. Malina. Mówię do niej. Co ty, dziewczyno, robisz? Chcesz mieć anemię, chcesz wyglądać jak suchar? Chcesz się doprowadzić do stanu? Nie chcesz jeść, trudno. To chociaż przez rozsądek wypij sok z aronii. Maniek kupił pod Halą Marymoncką. Zdrowy, litewski. Też nie chciała. Powiedziała, że idzie na kolację do pani Ireny i żebym się nie martwiła. Malina, piłaś sok z aronii? Wykręca, takie kwaśne. Sam kwas. Ale zdrowe.

Nie wszystko może być słodkie. Poszła i wróciła przed jedenastą. Znaczą przed dwudziestą trzecią w nocy. Malina. Na pewno piły alkohol. Mówię do Jagódki: kładź się, dziecko, już późno. Jutro do pracy. A ona na to, że się nie kładzie. Czeka na Janusza. Na jakiego Janusza? – pytam. To ona: no coś ty, mamó, przecież ci mówiłam, że się wyprowadzam. Czekam na Janusza. Przyjedzie po mnie. To ja pytam: dziecko, czy ty wiesz, która jest godzina? Jest godzina jedenasta, dwudziesta trzecia. Co pomyśli o tobie obcy człowiek? Za kogo cię weźmie? Żadna przyzwoita kobieta nie czeka na obcego mężczyznę o godzinie jedenastej, dwudziestej trzeciej! Aż w końcu, Malina, zdobyłam się na odwagę i myślę, zadam córce, dziecku, to pytanie. Jagodo, pytam, Jagódko, czy jesteś pewna, że on, ten Janusz, nie czyha na twoje mieszkanie? Może stracił wszystko po rozwodzie, po rozwodach, i szuka młodej naiwnej? Malina, ty jesz cały czas? Refluksu się nabawisz. Żołądek sobie rozepchasz. Mój Boże. Podobno ma mieszkanie. To odetchnęłam. Ale mieszkanie to nie wszystko. Wiesz, o czym mówię. O sprawach ostatecznych. Sama wiesz, nasza rodzina była z wiarą trochę na bakier, wszystko przez ojca. W sumie nie wiem, dlaczego lekarz nie mógł być wierzący. Ale Malina. Ludzie wierzą. I jeśli Janusz Jagody miał ślub kościelny, to mi powiedz, kto powinien leżeć obok niego po śmierci? I jak z miejscami? Będziesz kiedyś wdową, to zrozumiesz. Pewne sprawy są nieuniknione. No dobrze. Na razie zostawię temat grobowca. Wracając do Jagody. Mówię, spokojnie jej tłumaczę. Jagódko, kobieta musi się szanować. Co on o tobie pomyśli, wiedząc, że czekasz na niego w nocy. Co ten obcy człowiek pomyśli o mnie jako o matce? Na pewno pomyśli, że taki przykład dałam dziecku. Boże, mówię do Jagódki, Boże, pomóż mi! Zawiodłam jako matka! Dziecko po nocy, o skandalicznej porze będzie jechało z torbą turystyczną z obcym mężczyzną! Malina, a ona mi na to, że bym nie przesadzała. Że co to ma do rzeczy, że jest noc, jedenasta, dwudziesta trzecia. Jest może i późno, ale Janusz wraca z Gdańska, jest w drodze. Żebym się położyła spać. I poszła do siebie. Więc dzwonię. Malina. Po ile te udka kupujesz? Pytam, bo Maniek daje pod Halą Marymoncką pięć złotych za jedno.

Mieszkanie Janusza znajdowało się na pierwszym piętrze nowego czteropiętrowego budynku, na równie nowym i modnym osiedlu mieszkaniowym Paradyż, usytuowanym w pobliżu Lasu Kabackiego. Jak by to powiedział dziadek Jagody, gdyby żył: „Robaki w domu murowane”.

Janusz kupił to mieszkanie zaraz po rozwodzie, po trzecim rozwodzie, i wiódł w nim życie kawalera już trzeci rok. I chociaż Jagoda była w tym mieszkaniu nie raz i nie dalej jak ubiegłej nocy, to tym razem weszła do niego pełną gębą i z wypchaną torbą. Weszła jak do siebie.

– Witaj w domu, kochanie – powiedział Janusz i grzmotnął granatową torbę Jagody w przedpokoju. – Kładźmy się. Późno jest. Jazda z Gdańska mnie wykończyła. Mam nadzieję, że to ostatnia wizyta w tym oddziale. Dyrektor jest głupi jak mało kto. Wskakuj w piżamkę. – Janusz odwiesił garnitur do szafy, a bieliznę ułożył na chodniczku przy drzwiach balkonowych w sypialni. – Jutro zrobimy ci miejsce w szafie. To są klucze. – Wyjął z szufladki szafki nocnej lśniący pęk kluczy. – Wszystko wzięłaś? Nie? To jedź jutro po pracy do matki po resztę rzeczy. Podjadę po ciebie.

W bajkach wszystko było proste. Jak się już śmiałek pouwijał i wyswobodził anemiczną królową z łap smoka czy innego obleśnego amatora jej wdzięków, król mógł zrobić tylko jedno. Oddać rękę córki i dołożyć gołodupcowi pół królestwa. W harlequinach sprawa nieruchomości była równie prosta. Kobieta była zazwyczaj biedna, ale piękna. Mężczyzna mądry, przystojny, o stabilnej pozycji zawodowej, z regularnie zasilanym kontem w banku oraz kilkusetmetrowym domem, po którym z bezsensu wynikającego z samotności mógł jeździć na butelkach jak na wrotkach. Mając w pamięci fatalny warunek dziadka o dziedziczeniu mieszkania, Jagoda czekała na zamążpójście jak na zbawienie. Jak każda kobieta marzyła o własnym domu i w myślach urządzała go na tysiąc sposobów. Pomysły aranżacyjne zawsze jednak przerywała paniczna myśl: co będzie, jeśli mąż się nie znajdzie? Albo znajdzie się dopiero w klubie emerytów, gdy już oboje nie będą pamiętać, jak mają na imię, i będą mylić swoje sztuczne szczęśliwości.

Z drugiej strony, im dalej w lata, im posucha była większa, tym oczekiwania Jagody stawały się bardziej wygórowane.

Nie żeby miała przewrócone w głowie, ale po ubogim w emocje i doznania cielesne związku z obiecującym stomatologiem i grzesznym związku z reprezentantem kraju produkującego meble i łososie Jagoda dała się przekonać pani Irenie do tezy, że jak świat światem, to mężczyzna ma zapewnić kobiecie nie tyle byt, co luksus.

A Janusz taki luksus obiecywał.

Noc Jagoda miała niespokojną. Śniło jej się, że stoi przed lustrem i przygląda siwe włosy. Z dużego pokoju nawołuje ją stara matka.

– Jagoda, Jagoda, co robisz? Co robisz tak długo? Czy dostanę w końcu filiżankę mojego kakao? Jak długo mam czekać? Czy doprawdy proszę o tak wiele? Jagoda!

Jagoda wzdycha i przełyka to, co najchętniej chciałaby odkrzyknąć matce. Zamiast tego mówi głośniej, tak żeby stara przygłucha matka słyszała.

– Już idę, mamusiu, momencik. Zaraz podam mamie kakao.

Jagoda na chwilę zostawia myśl o siwych włosach i straconych latach i idzie pośpiesznie do kuchni. Z porcelany zszedł już złoty wzorek. Jagoda ustawia dwie filiżanki na tacy. Z dnia na dzień kakao jest coraz bardziej wodniste. Po namyśle na jednym talerzyku kładzie maślany herbatnik i idzie do pokoju matki. Swój herbatnik zje w łóżku, przed snem. Przy matce nigdy nie je słodczy. Gdyby zjadła, matka powiedziałaaby tak:

– Na twoim miejscu nie jadłabym tyle. W ogóle bym nic nie jadła.

Matka i córka popijają napój. Za oknem noc zakrywa drzewa. Nie widać, nie słychać już niczego.

Jagoda wyciera filiżanki i wstawia do szafki. Jeszcze tylko idzie do matki, pomóc jej włożyć nocną koszulę. Całuje ją w czoło, chociaż wie, że matka najbardziej chciałaby, żeby Jagoda pocałowała ją w rękę. Życzy matce dobrej nocy i idzie do siebie. Zdejmuje pończochy i przygląda się swoim nogom. Raz tylko obejmowały one mężczyznę. Spod powiek płyną łzy. Gdyby nie była tak uległa wobec matki, mogłaby teraz pić herbatę z mężem i pogryzać twarde karmelki.

Jagoda czuje, że nie zaśnie. Nie zaśnie bez pudełka maślanych herbatników. Idzie do kuchni. Nasłuchuje. Matka oddycha głośno, pokasłuje. Jagoda wyjmie z szafki pudełko z kilkoma herbatnikami i przyciskając je do piersi, na palcach wraca do łóżka. Zjada do ostatniego okruszka. Jutro, po śniadaniu, matka zażyczy sobie filiżanki herbaty z jednym maślanym ciasteczkiem. A ona będzie musiała skłamać matce, która dobrze wie, ile powinno być ciastek i ile wiosen ma jej nieudana córka.

Jagoda poderwała się gwałtownie i rozejrzała dokoła. Na pościeli nie było maślanych okruszków, a pochrapywanie dochodziło od lubego Janusza.

Jagoda przytuliła się do mocnych pleców, ale Janusz chrapnął głośniej

i zawinął się w kołdrę. Niech śpi, biedaczek, pomyślała, podejmując jedną z najtrudniejszych decyzji, jaką jest niebudzenie ukochanego mężczyzny i niezadanie pytania, czy już nie śpi.

Niech śpi, pomyślała czule i udała się na przechadzkę po nowym domu. Własnym domu.

Trzeba przyznać, że mieszkanie było urządzone ze smakiem.

Jagoda spojrzała na salon i z uznaniem pokiwała głową.

Na pewno preferowany przez Janusza styl daleki był od paryskich salonów pełnych złocień, luster i zabytkowych mebli. Janusz najwyraźniej wolał przestronne i nowoczesne wnętrza. Oznaczało to, że w sypialni, oprócz łóża o twardym jak dla mnicha materacu, pozostałe meble stanowiła zabudowa złożona z szaf o suwanych drzwiach.

Tak zwany duży pokój, czyli salon, umeblowany był dwoma fotelami, kanapą (obicie z czarnej skóry) oraz szklanym stolikiem do kawy. Pod ścianą znajdował się stół z czterema krzesłami. Janusz długo zastanawiał się nad stołem. Po trzech rozwodach nie planował goszczenia więcej osób niż dwie, czyli córki i jej męża. W każdym razie, jak powiedział Jagodzie, dopóki był sam, jadł i spał przed telewizorem.

Regał na książki wypełniony był encyklopediami, słownikami, pozycjami na temat sudoku oraz kolekcją prasy hobbystycznej dotyczącej tej szlachetnej rozrywki. Gdzie Jagoda miałaby zmieścić swoje paryskie style i szyki, tego nie wiedziała. Regał był zavalony po brzegi.

Zarówno w sypialni, jak i w salonie nie było ani firan, ani zasłon, ani tym bardziej rolet. Janusz nie zamierzał się przed nikim zasłaniać. Poczucie wstydu było mu całkowicie obce.

Dywanów Janusz nie uznawał. Do dziś pamiętał, kiedy jako młody żonkoś dźwigał zrolowane wełny i taszczył je na trzepak, a potem trzepał tak długo, aż mógł wrócić do pierwszej wówczas żony i nie mieć siły, żeby słyszeć i rozumieć, co ona mu mówi, gada.

O wysokim standardzie mieszkania na osiedlu Paradyż stanowił fakt, że w łazience wbudowany był tak ekskluzywny sanitariat jak bidet.

Bidet, komu by się śniło? – zamyśliła się Jagoda. Gdyby nie fakt, że Maniek zrobił remont, miałyby z mamusią, chyba jako jedyne w kraju, samoistnie poruszający się kibel. Voilà!

Mrucząc z zadowolenia, Jagoda poczłapała do umeblowanej białymi, na oko potwornie drogimi szafkami kuchni.

Napełniła wodą ekspres do kawy i po chwili trzymała w dłoniach kruchą filiżankę z chińskiej porcelany, z parującym aromatycznym napojem. W lodówce znalazła kartonik z zagęszczonym mlekiem, dołała do kawy, a puste opakowanie wyrzuciła do śmieci. I chociaż nie słodziła, to ze szczęścia, że jest u siebie, wsypała cukier do filiżanki. Najpierw łyżeczkę, ale ze szczęście było ogromne, dosypała drugą. I patrząc przez okno na łyse konary grudniowych drzew, popijała kawę i powoli zaczynała myśleć o jakimś śniadanku.

Odruchowo spojrzała na zegar wbudowany w piekarnik kuchenki. Była siódma trzydzieści. Jeśli miała zdążyć na dziewiątą do pracy, powinna zacząć się zbierać. Westchnęła na myśl o tak banalnych powinnościach, jak praca zawodowa, w obliczu i perspektywie układania życia prywatnego. I na to westchnienie weszło do kuchni jej szczęście osobiste.

Odrobinę niewyspany, acz trzeźwy w swych porannych oczekiwaniach, zwłaszcza że od kilkunastu godzin zmienił się jego status (a w każdym razie dom zyskał panią domu), Janusz stanął wyprostowany i wysoki w swoim szlafroku frotté. Wyjął z rąk Jagody filiżankę z upitą kawą, dopił do końca i przemówił:

– Trzy jajka sadzone. Pomidor bez cebulki. Chleb z masłem. I jeszcze jedna taka kawa.

Z maślanym, rozkochanym wzrokiem Jagoda, odrobinę może zaskoczona, skinęła głową i otworzyła drzwi lodówki. Poza konserwą rybną w lodówce nie było niczego. Sprawdziła chlebak. Nie było nawet okruszków.

– Nie ma problemu – powiedziała ostrożnie, żeby nie zniechęcić partnera w początkowym okresie pożycia. – Tyle że nic nie ma.

– No nie ma. Ale jest sklep na dole. Czyli za dziesięć minut możemy mieć pyszne śniadanko, czyż nie? – ustalił Janusz.

– Malina? Malina? Nie, nie spodziewam się nikogo innego, ale chyba wypada powiedzieć „dzień dobry” do słuchawki. Malina. Trochę mi telefon zjeżdża, bo mierzę puls. Mów głośniej. Malina... Żle ze mną. Mam wszystko naraz. Kołatanie, puls, arytmie, przegrodę nosową. Cicho bądź na chwilę. Malina. Czuję wyraźnie klucie w sercu. Jakby mi ktoś sztylet wsadzał. I to kto? Jagoda mnie dobiła. Malina. Doczekałam się dorosłości mojego dziecka. Dobrze, poczekam, idź, nałóż sobie. Malina. Gdybym teraz umarła, to nie mów



Jagódce, że to przez nią. Powiedz, że ja jako matka zawsze pragnęłam jej szczęścia i szczęściu temu stawać na drodze nie będę. Nic już więcej nie powiem, nie skomentuję. Zachowam dla siebie dramat matki. Nie powiem nikomu, że jako matka przeżyłam wybór, którego dokonała moja córka, i jej nocną wyprawę. Malina. Jagoda dzisiaj przyjechała po resztę rzeczy. Wzięła ze sobą tę pakowną torbę. Granatową, na suwak. Tak, tę, którą mi dała. Jednak ona nie jest taka pojemna, Malina. Po pracy przyjechała po resztę rzeczy. Nie, nic nie mówiłam. Co ja mogę powiedzieć? Usiadłam tylko na krześle w kuchni, bo dostałam migotania przedsionków. Nie miałam siły zadzwonić na pogotowie. Siedziałam tylko. A Jagoda, ona jest jednak bystra, po mnie jest taka uważna, przyjrzała mi się, spłoszona trochę, pewnie sumienie ją ruszyło. I pyta: Co jest, mam, źle się czujesz? Nie odpowiadam. Siedzę cicho, Malina, a czuję, jak przedsionki mi migoczą. Nic nie mówię. Mówię tylko: A jak myślisz, jak się mam czuć? Będiesz kiedyś na moim miejscu, miejscu matki, to się przekonasz. Ale więcej, Malina, nie mogłam powiedzieć, bo się musiałam iść położyć. Za dużo tego dobrego. A Jagoda poszła za mną i dopytuje: mam, co się dzieje? Źle się czujesz? A ja, Malina, nic już nie mówię, mówię tylko: dziecko, musisz jeść, to jedź. Nie przejmuj się mną. Nic mi nie jest, tylko serce. A Jagódka pyta, czy wezwać pogotowie. A po co mi, Malina, pogotowie? Czy pogotowie przemówi Jagodzie do rozsądku? To powiedziałam tylko: Rób, co uważasz. Jesteś dorosła. Malina, chyba dobrze powiedziałam?

# Matronica Holboella

Matronica Holboella, *ceratias holboelli* – gatunek ryby głębinowej z rodziny matronicowatych – dukał Kark. – W tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim roku islandzki biolog [Bjarni Saemundsson](#) opisał dwie ryby pasożytujące na samicy *ceratias holboelli* i uznał, że są młodymi osobnikami tego gatunku. Trzy lata później [Charles Tate Reagan](#) prawidłowo uznał te ryby za dojrzałe płciowo samce. Samce dochodzą do stu trzydziestu centymetrów długości ciała. U niektórych gatunków samce pędzą pasożytniczy tryb życia na ciele samicy, zrosnięte z jej skórą otworem gębowym, u innych nie żerują, lecz giną po dokonaniu aktu rozrodu. Cechują się krępą, wysoką budową ciała, brakiem płetw brzusznych oraz przekształconą płetwą grzbietową, pełniącą rolę świecącego wabika w formie biczowatego wyrostka, który w zależności od gatunku umieszczony może być na grzbiecie, na głowie lub w pysku. Pysk wysuwalny, może być otwierany tak szeroko, że umożliwia pożarcie zdobyczy większej niż napastnik. Skóra gruba, ubarwiona zazwyczaj ciemnobrunatno lub czarno, zawiera gruzełki kostne. Wyróżnia je kuliste ciało z dużą głową i okazałym otworem gębowym.

– Czyli kobita je wykańcza – skonstatował Mąż, chociaż powyższy opis nie nasuwał wątpliwości. – Pokaż zdjęcie – zażądał.

– A po co ci zdjęcie? – odparł przytomnie Kark. – Idź do kuchni i popatrz.

Do pracy Jagoda się spóźniła całą godzinę. Tyle zajęły jej poranne zakupy, wybieranie chrupiących bułek i chudej wędliny, smażenie jajecznicy oraz podanie jej w otoczeniu rozkrojonego pieczywa muśniętego plastrem zimnego masła. Już mogłaby brać prysznic, ubrać się i pędzić do pracy, ale kochany ukochany zażyczył sobie kilku kanapek do pracy. Rozumie, że na obiad nie ma co liczyć, bowiem dzisiaj Jagoda jedzie po resztę rzeczy i nie będzie mogła ugotować obiadu.

– Tak będzie lepiej – odpowiedziała Jagoda i z przerażeniem uzmysłowiła sobie jedną rzecz: nigdy dotąd nie musiała gotować. Nawet dla siebie. Tyle co omlet francuski.

Pani Irena mawiała tak:

– Męża trzeba karmić jak psa. Raz dziennie. Duża micha. Jedzenie ma być gorące. Micha ma dymić. Mąż ma się nażreć, aż z sił opadnie.

A matka powtarzała tak:

– Droga do serca mężczyzny prowadzi przez żołądek. Nie ma krótszej drogi.

Kiedy Jagoda miała iść do pierwszej klasy, a fakt ten sprawił, iż poczuła, że jest już dorosła, wręcz stara, a skoro jest stara, to będzie wojna, wojna światowa, a jeśli będzie wojna, to trzeba się odpowiednio przygotować i formować szeregi, podjęła decyzję o wstąpieniu do grupy zorganizowanej. Ścieżkę wojskowej kariery postanowiła rozpocząć od zuchów. Skąd w głowie kilkuletniej dziewczynki zrodziła się wizja nieuniknionego konfliktu zbrojnego, nie wiadomo. Stało się to być może pod wpływem opowiadań dziadka lub filmów radzieckich o tematyce wojennej.

A być może sprawił to grający z przekonaniem silnego mężczyznę, niezwykle męski, o potylicy gładkiej jak kolano aktor amerykański.

Tak, będzie wojna, myślała szczerbata Jagódka i z rozdziawioną z podziwu buzią oglądała wyczyny rosnącego łysielca.

Będzie wojna, a my ją wygramy, Jagoda zaciskała małe piąstki, gestem tym dodając otuchy łyseму aktorowi.

Na szczęście udało się przekonać mamusię do zakupu mundurka, trzech znaczków zucha (słoneczko, wilczek, orzełek, każdy haftowany i zaopatrzone w metalową przypinkę), chusty, traperek, zasobnika, menażki, czapki z daszkiem, plecaka i latarki. Nie mogąc doczekać się roku szkolnego i przystąpienia do zuchów, nosiła Jagoda mundurek już przez wakacje, powodując tym coraz większy lęk mamusi, czy przypadkiem nie rośnie na jej łonie szczerbata pionier, następca Pawki Morozowa.

W pierwszych trzech miesiącach przynależności do grupy Jagódka zdobyła szesnaście sprawności, ponadto kartę rowerową i pływacką. Szczególnie dwa ostatnie osiągnięcia były niezwykle ważne, ponieważ, jak twierdziła

dziewczynka, w czasie wojny jedną z najważniejszych rzeczy jest umiejętność szybkiego przemieszczania się lądem i wodą. Do pełnych zdolności mobilnych brakowało nauki jazdy konnej, ale na tę mamusia stanowczo zaprotestowała.

– Chcesz spaść z konia, złamać kark i leżeć jak kłoda do końca życia? – spytała mamusia, mając jako matka i wdowa prawo zadać kilkuletniemu dziecku tego rodzaju pytanie.

I jako matka odniosła sukces pedagogiczny – dziecko, z trzęsącą się od płaczu brodą, uciekło do swojego pokoju i do końca dnia siedziało w nim cicho. Najwyraźniej Jagoda przemyślała kwestię kalectwa w obliczu zbliżającej się wojny i o nauce jazdy konnej już nigdy nie wspomniała. Następnego dnia wdziała mundurek, poszła na zbiórkę i zdobyła sprawność małego kucharza.

Na wojnie liczy się nie tylko husaria. Ktoś musi gotować. Ktoś musi być mistrzem kuchni polowej.

Jako że pani Irena często powtarzała, że w miłości i na wojnie dozwolone są wszystkie chwytaki, dorosła już Jagoda miała tę smutną świadomość, że powinna rozwinąć sprawność małego kucharza, by w odpowiednim czasie szturmem talerzy pełnych pysznych dań trafić nie tylko do żołądka, ale i do serca tego jedyne.

Zadanie miała utrudnione o tyle, że przez lata kuchnię okupowała mamusia. Wszelkie próby dostania się do tego pomieszczenia w celach innych niż zajęcie miejsca przy stole i zjedzenie zdrowego, zazwyczaj gotowanego, pozbawionego zapachu i smaku posiłku kończyły się zniecierpliwieniem mamusi: „Co się tak pchasz do garów, dziecko? Przyjdzie czas. Marchewkę zjedz całą”.

I Jagoda jadła wygotowaną marchewkę, żuła chudą wołowinę, popijała kisielkiem z żurawiny i marzyła, że kiedyś poda ukochanemu wykwintne francuskie danie, którego nazwę będzie trudno wymówić. A samo danie, za pomocą szczypców i widelczyków, jeszcze trudniej niż wymówić, zjeść.

W okresie wczesnej kobiecości i pierwszych prób pożycia z Danielem dentystą dostała od pani Ireny listę potraw, które lubią mężczyźni.

– Uważaj jednak, Jagódko, zanim pokażesz cały arsenał swoich umiejętności. Dawkuj powoli. Niechaj wybranek twego serca myśli, że gotowanie zajmuje ci długie godziny i że jest to czas, który świadomie jemu poświęcasz – pouczała pani Irena, zapisując w specjalnie zakupionym w tym celu notesie w kratkę nazwy dań oraz sposób ich przyrządzania.

Do głównych rozkoszy męskiego podniebienia (biorąc pod uwagę doświadczenie pani Ireny w postaci mężów własnych oraz cudzych) należały następujące potrawy:

Rosół z domowym makaronem. Ważne: w talerzu z rosółem ma pływać cała marchewka, a zupełnie koniecznie posypać natką pietruszki, której obecność z pewnością wywoła protest mężczyzny: „Nie jestem królikiem, fe, zgarnij mi to zielsko z zupy!”. Niemniej jednak rosół bez zielonej pietruszki to nie rosół, tłumaczyła pani Irena. Uśmiechnąć się niewinnie i przekonać, że po pietruszce to dopiero i ho, ho! Oj!

Kotlet schabowy z kostką, ziemniaki młode, młoda kapustka. Wszystko młode.

Kotlet mielony plus wszystko młode.

Gulasz, zrazy z kaszą. W obu przypadkach dużo sosu.

Wszelkie kwaśne zupy: żurek, kapuśniak, pomidorowa. Podawać z chlebem, szybciej się zapcha.

Grochowa, fasolowa. Podawać z chlebem.

Fasolka po bretońsku. Z chlebem.

Flaczki. Też z chlebem.

Ryb nie podawać. Mężczyźni nie znoszą ryb. Boją się, że połkną ość i się uduszą. Chyba że śledzia. W occie albo w oleju. W obu przypadkach dużo cebulki. Podawać z chlebem.

Na wyjazdach: golonka, żeberka.

Kiełbasa z musztardą. Dużo świeżego pieczywa, a najlepiej kajzerka.

Chińczyk.

Sushi nie. Patrz punkt: ryba. Chyba że amant jest z korporacji.

Jajecznica z minimum pięciu jaj.

Pierogi od matki. Od własnej matki. Od teściowej mogą już nie smakować (ciasto za grube, farsz nie taki, do dupy).

Młode ziemniaczki, jajka sadzone, kalafior z bułeczką, kefir.

Grzybowa z domowym makaronem.

– Skąd wezmę domowy makaron? – zdenerwowała się Jagoda, chłonąc mądrość życiową pani Ireny. – Nie umiem robić domowego makaronu!

– O Boże, dziecko. Jeszcze wiele się musisz nauczyć. Kupisz. Zwykły, najzwyklejszy makaron. I powiesz, że sama zrobiłaś. Byle nie świderki, bo nie uwierzy.

– Tak? – parsknęła Jagoda. – Tak po prostu?

– Tak. I spytasz, czy smakuje, bo starałaś się jak nigdy dotąd. Zapisz sobie przepis na schab pieczony. Nie znam mężczyzny, który nie lubi pieczonego schabu.

– A czy to nie jest zbyt banalne, pani Ireno? Takie po prostu ziemniaki z patelni i jajka na boczku?

– O Boże, dziecko. Notuj. Zrazy wołowe...

W trakcie pożycia z Danielem żadne z wymienionych przez panią Irenę dań nie zostało ugotowane i podane przez Jagodę. Daniel, stomatolog, protetyk, preferował kuchnię zdrową i lekką. Słodocze były zabronione. Słodocze oznaczały próchnicę. Cukrzycę. Bez słodoczy można normalnie żyć i funkcjonować, doprawdy, Jagodo, nie jesteś dzieckiem.

– Daniel ma rację. – Mamusia z satysfakcją kwitowała wszelkie przejawy niezadowolenia wyrażane przez nienajedzoną jedynaczkę, która pozbawiona ukochanych słodoczy, żywiona chudym nabiałem, białym mięsem i warzywami, bez przerwy czyściła szczękę nicią dentystyczną i buszowała po maminych szafkach w poszukiwaniu jeśli nie słodoczy, to przynajmniej paczki cukru.

– Rosołu też nie chce? – dziwiła się pani Irena – Co to za mężczyzna, który nie je rosołu? Hm. A co lubi jeść?

– Pierś z indyka. Sałatę. Sok wyciskany.

– O matko jedyna! – Starsza pani zacisnęła dłonie. – Jak można po czymś takim mieć siłę, żeby żyć? Rzuć go, zanim cię zagłodzi!

Lars z kolei smakoszem może i był. Pech chciał, że żonatym. Jego apetyt zarówno na ryby, jak i na życie był ogromny. Nie odmawiał sobie ani deseru, ani Jagody, ale to nie dla niego słowiańska nieboga miała gotować polski rosół czy opanować sztukę robienia śledzia na słodko.

Muszę być przygotowana, myślała Jagoda, połykając łzy po rozstaniu z Larsem. Będę miała męża, będę mu gotowała, mogę mu nawet zacerować skarpetkę albo przyszyć guzik. Będę miała dom, piękną kuchnię i salon. Będę boginią ogniska domowego. Damą w towarzystwie, szefem kuchni w kuchni i wyuzdaną kochanką w sypialni.

Z tymi postanowieniami Jagoda zdecydowała zdobyć sprawność wyrefinowanej kucharki, uznając, że sprawność damy posiada, a myśl o pozostałych sprawnościach póki co odsunie od siebie, żeby się niepotrzebnie nie frustrować.

Tak mu ugotuję, że oszaleje, że zje, pochłonie, pożre do ostatniego okruszka, myślała perspektywicznie. Będzie się trząsł z rozkoszy, oblizywał palce

i prosił o więcej. I żadnych rosółów, kotletów. Wyłącznie produkty sprzyjające potencji. Same afrodyzjaki, gorączkowała się Jagoda, serfując w godzinach pracy po Internecie w poszukiwaniu potraw zapewniających kondycję kochankowi i przyszlęmu mężowi w jednym.

Kunszt będzie należało osiągnąć w kuchni francuskiej, podsumowywała godzinne penetrowanie sieci na koszt szwedzkiego pracodawcy. Kuchnia ta, choć powstała z biedy, wydała się Jagodzie odpowiednia do wykarmienia przyszłego męża. Lekka, wykwinna, po prostu znakomita. Dokładnie taka, jak jej przyszły związek.

Swoją drogą Jagoda nie mogła się nadziwić liczbie portali, blogów, na których oddane rodzinom kobiety wymieniały doświadczenia z żywienia męża i gospodarstwa domowego.

Wnioski były dokładnie takie, o jakich mówiła pani Irena: ma być dużo, ma być gorące i ma być pożywne. Karmionemu mężczyźnie najlepiej dać spokój. Postawić mu talerz przed nosem i zająć się sobą. A on niech je, czyta przy jedzeniu, ogląda telewizję, niech zachłapie obrus, wytłuści koszulę. To nie jest duży koszt, jeśli wziąć pod uwagę, że po dobrym obiedzie nie odmówi wyrzucenia śmieci czy nawet pójścia z dzieckiem na rower.

O matko jedyna! – westchnęła Jagoda. Biedne kobiety, skonstatowała. Ona na pewno nie będzie dygać z talerzem ogórkowej, podsuwać smakowitych kąsków i usuwać się z zasięgu wzroku. Posiłek będzie celebrowany. Może i poda go w fartuszkach, ale fartuszek rychło zostanie zdjęty i odsłoni gustownie ubraną boginię domową. Kapłanka ogniska poda swemu samcowi posiłek wykwinny, acz odżywczy. Spektakularny w smaku. Zbawienny, jeśli chodzi o korzyści, które odniesie pożywiony organizm. Wystarczy pomyśleć, że już sama aranżacja dania na talerzu wywołała w mężczyźnie, to jest w mężu, prawdziwy wstrząs estetyczny. On ze wzruszeniem powie, że nikt nigdy nie ugotował dla niego nic równie pięknego, nawet matka. Ale doznania wzrokowe to dopiero początek. Mąż spróbuje dania. Pierwszy kęs. Zaskoczenie i niedowierzanie. Doznania smakowe sprawią, że mąż jęknie z rozkoszy i przymknie oczy. Dłoń z widelcem zawisnie w powietrzu. Mąż ukroi następny kawałek i niczym opłatek włoży do ust. Albo lepiej, położy na języku, jak relikwię. Wolno przeżuje i przełknie. Z czcią odkroi kolejny kęs. Ciche pomruki zadowolenia przejdą w okrzyki ekstazy. Mąż pochłonie danie, ale jego apetyt jeszcze nie został zaspokojony. Pora na deser, lecz mąż wcale nie ma na myśli stojącego przed nim musu z gorzkiej czekolady podanego

w oszronionej szklance. Posilony porwie Jagodę z krzesła, sztucce spadną na podłogę, nieważne, to nieważne, czegoś ty dodała do garów, moja piękna? Jaką przyprawę, jaką magię? Godzinę, dwie, pół godziny później, no może i kwadrans, zarumieniona Jagoda poda kawę.

Należy jednak zadać sobie jedno pytanie (Jagoda udała, że nie widzi szwedzkiego prezesa nieśmiało zaglądnącego do jej boksu). Biorąc pod uwagę, że ona ma trzydzieści cztery lata, trzeba założyć, że mąż nie będzie miał mniej. Może nawet dużo więcej. Mogą pojawić się problemy żołądkowe. Nie tylko żołądkowe (Jagoda spojrzała na prezesa jak na powietrze). Oprócz zebranych i najlepiej wypróbowanych przez nią przepisów (trzeba będzie spróbować zająć kuchnię, kiedy matka pojedzie na cmentarz), powinna wiedzieć także, co dawkowane systematycznie i konsekwentnie sprawi, że mąż będzie miał prawidłową perystaltykę i nie będzie musiał korzystać z suplementów diety, aby konar nie usechł.

Zdaniem autora pierwszego wyrzuconego przez przeglądarkę tekstu, zatytułowanego wprost *Wpływ pokarmów na życie seksualne*, przy czym nie było wiadomo, czy autorem jest kobieta, czy uzdrowiony impotent, szereg produktów przyczyniał się do jakości pożycia płciowego.

„Do afrodyzjaków zaliczamy czosnek, seler...”. Jagoda na wszelki wypadek zasłoniła ekran laptopa własnym ciałem, tak żeby nikt przypadkiem nie nakrył jej na czytaniu o wpływie pietruszki na sprawność seksualną. Są priorytety, rozgrzeszyła się w myślach i czytała artykuł zachłannie.

Po upływie zaledwie trzydziestu minut cenne wiadomości wyczytane na portalu [zdrowieiseks.pl/mezczyzna](http://zdrowieiseks.pl/mezczyzna), dzięki którym można było osiągnąć prawdziwe szczyty, Jagoda zapisała na firmowym dysku, w folderze o nazwie „Żywnienie męża”, pamiętając, by po powrocie do domu przepisać cenne wiadomości do notesu, w którym lata temu pani Irena zapisała jej recepturę na rosół domowy z kury i wołowiny.

I tak zapewnieniu erekcji, a nawet długotrwałej erekcji, służyć miały następujące produkty:

- czosnek,
- seler,
- szparagi,
- pestki z dyni (zbawienne dla prostaty),
- winogrona,
- granaty,



przyprawy, takie jak: czarna gorczyca, cynamon, bazylia, kolendra, goździki (dawać do żucia, na przykład podczas spaceru czy oglądania meczu).

Jagoda nie bardzo potrafiła sobie wyobrazić mężczyznę, który by ją okiełznać w alkowie, żułby przedtem goździki, na wszelki wypadek jednak zapisała tę przyprawę w notesie.

Ponadto potencji sprzyjać miały: anyż, ziele angielskie, wanilia i czarny pieprz, smażone płatki słonecznika, przyprawione pieprzem i solą, pokrzywa utarta na pył lub jedzona z miodem, kozieradka, żeń-szeń, kielki pszenicy.

– Drogo – wyraziła na głos refleksję Jagoda, dając tym samym powód do wycofania się do swojego gabinetu szwedzkiemu prezesowi, który przybył do działu marketingu w celu zdobycia gadżetów premium dla potencjalnego klienta.

Słowo „drogo”, które jako jedno z niewielu polskich słów zdążył już zrozumieć, wyrażone w jęku przez jego przyłoczoną obowiązkami menedżerkę do spraw marketingu, sprawiło, że do głowy przyszło mu inne polskie słowo, do którego chęci wyrażenia za nic by się nie przyznał. Nie mając gadżetów premium, będzie musiał zamówić potencjalnym klientom więcej alkoholu. A może i zasponsorować taksówkę, zdecydował i pocieszył się myślą, że mógł wylądować w filii w Moskwie.

Nieświadoma ucieczki prezesa spod jej kanciapki Jagoda kończyła czytać artykuł. Entuzjazm ją opuścił. Autor wpisu o produktach wpływających na potencję nie dawał gwarancji, że obecność wymienionych produktów w diecie zapewni doznanie rozkoszy.

Sugerował jednak, żeby dania podawać w sposób apetyczny i pobudzający. Zarówno danie, jak i kobieta powinny zniewalać zapachem.

Starła się nie wpaść w orbitę wzroku szwedzkiego prezesa, który stał właśnie przy recepcji i czekał na taksówkę, i który na widok Jagody z marketingu cały zdrętwiał na myśl o niespodziewanym ataku pracownicy roku, która sama, bez zespołu, bez wsparcia ciągnie ten wózek swoimi rękami. Jak długo się tak da? Na szczęście pracownica zawróciła do siebie, modląc się, żeby szwedzki prezes nie zechciał akurat rozmawiać. Szwedzki prezes utkwiał na wszelki wypadek wzrok w drzwiach toalety i czytając w kółko całe dwie litery WC, czekał, aż Jagoda dotrze do swojego boksu.

Postrach prezesa opadł na krzesło. Tak naprawdę Jagoda powinna już być w drodze do mamusi po resztę rzeczy i jak najszybciej wrócić do swojego nowego domu. Powinna także zaplanować kolację dla lubego Janusza. Dużo obowiązków przybyło, westchnęła i zaraz zrugęła się za tę myśl. Nie ma kobiety, która nie marzyłaby o tym, żeby po dniu spędzonym w pracy spędzić wieczór w kuchni, smażąc i gotując dla bliskiego sercu mężczyzny. Dla zachowania pozorów Jagoda otworzyła komputer i zatoneła w myślach na temat dania, pierwszego obiadu, który już jutro poda Januszowi. Ukochanemu mężczyźnie. Być może wkrótce mężowi. Obiad zostanie podany w ich własnym domu.

Marzenia, które snuła latami, lekkie francuskie menu, przez które zamierzała trafić do żołądka ukochanego, w końcu będą miały szansę się spełnić.

Na przystawkę coś lekkiego. Może grzanka z musem z awokado?

Następnie krem z białych warzyw. W pewnym wieku seler może być zbawienny. Wprawdzie Jagoda nie robiła do tej pory kremu z białych warzyw ani żadnej innej zupy, ale zmiksowanie warzyw nie powinno chyba być trudne?

Co potem? Sola. Nie, sola nie. W spożywczym widziała jedynie mintaja i paluszki rybne.

To może omlet? I sałata. Taki puszysty, lekko ścięty, taki jak smażyły na kursie pod okiem pochodzącego ponoć spod Paryża kucharza Pierre'a. Co prawda Pierre dał się ogłupić dziewczętom i omlet zrobił sam od początku, to jest od rozbicia jajek, roztrzepania ich w misce, do usmażenia na maśle, ale nie można powiedzieć, że Jagoda z Beatą nie miały w tym swojego udziału. Zjadły i wyraziły nawet zdanie: bardzo francuskie.

Trzeba być dobrej myśli. Jeśli wtedy się udało, to teraz też się uda.

Na deser coś wyjątkowego. Coś, co sprawi, że Janusz oświadczy się jej spontanicznie. Być może już po zupie. Najlepiej coś z czekolady. Piernik nie, bo odbierze osobiście. Może mus czekoladowy? Beata wie, gdzie są najlepsze słodczy. Trzeba zadzwonić do Beaty.

I trzeba zadzwonić do pani Ireny, powiedzieć, że być może ślub już niedługo.

– Malina. Malina, śpisz? Udko lepsze, Malina. Pierś jest sucha. Poza tym w udku jest substancja kleista. W twoim wieku, Malina, powinnaś jeść substancję kleistą. Co z tego, że jesteś ode mnie młodsza? Młodsza nie znaczy młoda. Po to masz siostrę, żeby się poradzić. Jakie serce? A co z sercem? Nie,

nie migocze. Malina, słuchaj. Bo ja ci zapomniałam powiedzieć o najważniejszym. Malina, ja ich podejrzałam przez okno. Stał pod blokiem. Samochodem podjechał. Szarym. Nie wiem, Malina, ciemno jest przecież od szesnastej. Chcesz wiedzieć, jakim samochodem, to zadzwoń do Jagody. Nie, nie denerwuję się, tylko co za pytania. Malina, słuchaj. Wiesz, jak wygląda gekon? A ja wiem, bo akurat stanął pod lampą. Nie, nie gekon. On. No, on. Partner mojej córki. Malina. No, owszem, w płaszczu. Elegancki starszy pan w płaszczu. Wyglądali jak ojciec z córką. Jagoda ma geny po mnie. Młodzieńczy wygląd. Nikt by mi nie dał tych lat, co mam. Nawet ty, Malina, wyglądasz poważniej. No, nic z tym nie zrobisz. Dlaczego dobijam? Że staro i dlatego z sekretarką? Daj spokój, Malina. Nie wrócisz tego, co było. Musisz się z tym pogodzić. Na moje oko taki pan jaszczur. Weź no, Malina, ty masz Internet. Przeczytaj mi, jak gekon wygląda.

– Występowanie i biotop.

– Jaki biotop? W siedzibie ludzkiej. Na Kabatach. Taki biotop.

Dalej czytaj. Opis sylwetki znajdź. Malina, on wyglądał jak jaszczur. Taka głowa, czaszka. Ryjek wydłużony. Wargi złożone w uśmiech. Oczy wypukłe. Gekon. No, czytaj.

– Opis. Zachowanie. Rozmnażanie. Funkcje ogona. Przyleganie do powierzchni. Zmiana ubarwienia. Bibliografia.

– Bibliografii nie czytaj, Malina.

– Gekony to gady o najbardziej prymitywnej wśród jaszczurek budowie. Dotarły do wielu wysp. Zajmują środowiska suche. Żyją w lasach, stepach, na terenach pustynnych, skalistych, a niektóre w pobliżu siedzib ludzkich, tak zwany gekon domowy.

– To ten, Malina! Gekon domowy! Czytaj dalej, Malina.

– Skóra cienka, delikatna, pokryta małymi, ziarnistymi łuskami.

– O Matko Boska! Pewnie ma pięty zrogowaciałe i zgrubiałą skórę na łokciach!

– Głowa duża, wyraźnie wyodrębniona, oczy wystające.

– O, widzisz, Malina, widzisz, jaka twoja siostra bystra, od razu skojarzyłam prawidłowo z jaszczurem.

– Ogon długi, stanowi zwykle połowę ciała.

– To akurat pana gekona nie dotyczy.

– Większość z nich zjada wylinkę.

– O Jezu, fuj, co za ohyda! Czytaj dalej, Malina.

– To jedyne jaszczurki mające zdolność do wydawania donośnych odgłosów.  
– Czyli charakterny, porywczy. A może i awanturnik? Nic dziwnego, potrójny rozwodnik. Nikt nie zostaje potrójnym rozwodnikiem bez powodu i przyczyny.

– Mają dobrze rozwinięty zmysł słuchu.

– W razie co, Malina, w razie gdyby ten związek, nie daj Boże, przetrwał, musimy uważać na to, co mówimy. Sama rozumiesz, gekon wszystko słyszy.

– Pokarm. Głównie duże owady, małe kręgowce.

– Żarłoczne toto. A Jagódka tylko omlet potrafi usmażyć. Nie wykarmi gekona.

– Zachowanie.

– O, Malina, dobrze. To ciekawe. Czytaj.

– Gekony dzielą się na nocne i dzienne. Te, które prowadzą dzienny tryb życia, są zazwyczaj barwniejsze od nocnych.

– Hm. No nie wiem, Malina. Na razie ta informacja niczego nie wnosi. Czytaj dalej.

– Rozmnażanie.

– O, Malina. Czytaj o rozmnażaniu. Gekon ma córkę, Jagódka mówiła. Czyli miał zdolność. Czytaj.

– Dojrzałość płciowa w drugim roku życia. Zwykle gekony są jajorodne, bywają także jajożyworodne. Samica składa od jednego do dwóch jaj.

– Malina, i to wszystko? Nie piszą, do jakiego wieku ma zdolność rozmnażania? Malina, liczyłam, że zostanę babcią, że będę się mogła zajmować nie tylko mężem Jagódki, ale i jej dzieckiem. Malina, to, co czytasz, pozbawia mnie nadziei. Nie, o funkcji ogona to mi nie czytaj. Ciekawe, mówisz? To w skrócie przeczytaj.

– Ogon pełni wiele funkcji i spełnia niezwykle ważną rolę przy balansowaniu ciałem.

– On mi tak wyglądał, Malina. Takie esy-floresy robił z tułowia. Inna sprawa, że musiał się schylać, bo Jagódka jest z połowę niższa od niego. Może musiał się pochyłać, bo go nie dosłyszała?

– Fałdy ogona pomagają w lepszym przyleganiu do podłoża, w wykonaniu lotu ślizgowego podczas skoku, a także w lepszym maskowaniu.

– Miałaś streścić, Malina, a nie o całym ogonie czytać.

– Mają zdolność odrzucania ogona.

– Malina, dość już o ogonie! Dalej czytaj!

- Przyleganie do powierzchni.
- Nie.
- Zmiana ubarwienia.
- To też już opuść, Malina.
- Dymorfizm płciowy.
- O! Czytaj głośniej, Malina. Może jednak zostanę babcią!
- Zazwyczaj u gekonów różnice między samcem a samicą są mało wyraźne.
- Malina, mnie się to nie podoba. Nie wiem, czy ja mam zdrowie, żeby tego słuchać.
  - Samce są zazwyczaj agresywniejsze i próbują dominować nad innymi osobnikami, wydając przy tym charakterystyczne odgłosy. Wszystkie gekony w okolicach kloaki mają widoczne pory.
  - Masz radochę, Malina? Po co mi o kloace czytasz? Dalej czytaj. Jak: nie ma?
  - Zdjęcia tylko.
  - Zdjęć mi nie czytaj. Wiem, jak gekon wygląda. Stał u mnie pod blokiem. Wysoki, poskręcany, w płaszczu. Oczy wielkie. Odgłosów dominacji nie słyszałam. Malina? Czy piszą, jak gekona domowego udomowić?

# Wielki podryw

Od paru dni Kark pomieszkiwał u Męża. Stało się tak dlatego, że ostatnimi czasy popodrywał Kark masę dziewcząt w pobliskich wsiach i teraz zjeżdżały one tłumnie do Karka, do miasta, do lepszego życia. Nie widząc lepszego sposobu na zniechęcenie adoratek, spakował Kark to, co najpotrzebniejsze, i pojechał taksówką na przetrwanie najgorszych chwil do Męża.

Siedzieli teraz kolejną godzinę, patrząc tępo w okno i zagryzając galaretką z nóżek, które to danie, z pełną obrzydzenia i pogardy dla ich męskiej solidarności, podała Żona. Kark rozpoczął nawet wywód logiczny, dlaczego właściwie nie chce dać się usidlić, ale Mąż spojrział na niego z politowaniem i polał mu galaretkę octem.

No i stało się tak, że Beata się zakochała. I nie byłoby w tym niczego złego, może nawet wręcz przeciwnie, gdyby nie to, że źle interpretując potoczne powiedzenie, że miłość, że uświęca, po prostu Beata przeszarżowała.

Fakt ten, po raz nie wiadomo który, relacjonowała Jagodzie, tym razem znajdując przystań za plecami Wita.

– Że też musiałaś się wyprowadzić! – lamentowała Beata. – Tak byś była blisko, mogłabyś pomóc, zadziałać.

Nie zważając na nawał obowiązków zawodowych ani na łązącą po biurze szefową, której odprysnął lakier z paznokcia i która szukała jelenia, by wprawną ręką, cienką warstwą pokrył ubytek, Beata dalej wzdychała do słuchawki, miast podnieść zad i lecieć z pomocą. A pech chciał, że pracownice udały się razem do Mokpołu, więc w biurze była tylko ona i Wit.

– Ja to zrobię, pani prezes, już idę – zaofiarował się Wit i uspokajająco klepnął klęczącą za jego fotelem Beatę.

– Co, eee, szefowa czegoś potrzebuje, już nic – wyjaśniła Beata Jagodzie chwilowy zanik fonii i przystąpiła do zwierzeń.

Strzała Amora dosięgła Beatę obok pojemników z odzieżą dla PCK. Była sobota i Beata postanowiła uporządkować szafę i pozbyć się rzeczy sprzed metamorfozy. Pogoda za oknem sprzyjała siedzeniu w domu, wciąż był ni to mróz, ni to odwilż. Mżyło i kapało. Ohyda.

Beata starannie posegregowała odzież na letnią i zimową, chociaż prawdę mówiąc, różnicy w szatach nie było żadnej; podobne worki nosiła cały rok. Złapała pakunki, w ostatniej chwili zdecydowała się zamienić domowe klapki na znajdujące się w przedpokoju kozaki na szpilce i mając to eleganckie obuwie założone do domowego stroju vintage i glamour (to jest wyszywanego w pawie jedwabnego szlafroka ze szmateksu), Beata, stawiając uważnie stopy na oblodzonym chodniku i przeklinając pogodę i własne lenistwo, co jej przyszło do głowy, żeby nie narzucić płaszcza, udała się w stronę ustawionego na osiedlu pojemnika. Wrzuciła do paszczy metalowej puszek jedną paczkę i schyliła się po drugą. Trzęsa się z zimna, więc – jakby miało to pomóc – ciaśniej zawiązała jedwabny pasek szlafroka. Wrzuciła pozostałe paczki, zatrzęsa się ponownie i sunąc powoli, skierowała się do swojego bloku. Pokonując kilkanaście metrów chodnika, zgodnie z nauką powtarzaną jej przez matkę przez całe dzieciństwo, patrzyła pod nogi, a nie przed siebie, i naprawdę podniosła wzrok tylko raz. I ten raz wystarczył, żeby dwa wyszyte na piersiach pawie załomotały skrzydłami.

Brunet. Wcale nie wysoki, ale też nie niski. Uśmiech z zębami. W sensie, że uśmiechał się tak, że było widać ładne zęby. Nie za chudy, nie za gruby. Tak, Beata zdążyła zobaczyć. Ale też zdążyła zauważyć, że on spojrzał na jej pawie. W sensie: na cycki. I Beatę ogarnął taki żar, takie gorąco piekielne, że mogłaby te pawie zrzucić z siebie, żeby tylko brunet z zębami się patrzył. A on poszedł dalej.

– Jagoda, czy to znaczy, że nic z tego nie będzie? Dlaczego historie typu: jechał samochodem, na przystanku zobaczył piękną kobietę, zatrzymał się, powiedział: Szukałem ciebie całe życie, zostaniesz moją żoną... Dlaczego takie historie przytrafiają się innym, nie mnie?

Kolejny raport zawierał więcej danych.

– Jagoda? Jagoda. On tam mieszka. No, na moim osiedlu. Nigdy wcześniej go nie widziałam, więc musi być nowy. Na moje oko wiek około czterdziestki. Jeśli się przeprowadził, to znaczy, że się z kimś rozstał albo rozwiódł. No nie,

ze dwa razy go widziałam, zawsze sam. Raz szedł i rozmawiał przez telefon. Za drugim razem miał siatkę z zakupami. Skinął mi głową. Myślisz, że to jest jakiś znak?

– Jagoda? Jak nie możesz rozmawiać, to nic nie mów, tylko słuchaj. Widziałam go rano, jak biegał. Szłam do pracy, już miałam skręcać na przystanek, ale widzę, patrzę, a to on biegnie po przeciwnej stronie uliczki. No nie, tyłem do mnie biegł. W sensie: biegł do przodu, przede mną. To zaczęłam truchtać za nim. Po lodzie, na obcasach. Życie ryzykowałam. I szlag by to trafił, bo mnie Alicja z osiedla dopadła. Wyszła akurat z psem na spacer. Szlag by to trafił! I uparła się, że mnie odprowadzi na przystanek.

– Jagoda? To nie mów, ja będę. Zaczęłam biegać. Biegam codziennie rano i wieczorem, ale go nie spotkałam. Zakwasy mam takie, że ledwo chodzę. Przyjeżdż po pracy, to pobiegamy razem do wieczora, może go spotkamy. Powiedziałybyś mi, czy na mnie patrzy.

– Jagoda? Dobrze, cicho. Jagoda. Widziałam go dzisiaj. Niestety, znowu z daleka. Biegł. Niech to cholera weźmie. Widać, że biega o różnych porach. Jagoda, łącznie biegam trzy godziny dziennie. To znaczy truchtam i marszobieg. Inaczej by mi serce stanęło z wysiłku.

– Jagoda? Widziałam go wieczorem z siatkami. Ukłonił się. Ale na kawę nie zaprosił. No jak? Są takie historie, że idzie facet, widzi piękną kobietę i zaprasza ją na kawę. Nie znasz?

Podczas wizyty u przyjaciółki, która to wizyta przebiegła, dosłownie przebiegła po osiedlu Beaty, Jagoda dowiedziała się, iż obiekt z pewnością jest wolny.

– Skąd wiesz? – dyszała Jagoda, która ostatnimi tygodniami jedyny trening miała w kuchni i przy odkurzaniu nowoczesnym elektroluksem.

– Trzeba myśleć – odpowiedziała Beata, robiąc miny jak Don Pedro z Krainy Deszczowców. – Poszłam do spożywczego i spytałam ekspedientkę, czy kojarzy tego pana. A dlaczego się miała zdziwić? Od razu wiedziała, o co chodzi. Powiedziała, że przychodzi od niedawna. Zawsze sam. Musi sam



gotować, bo kupuje i mięso, i warzywa. Czasami wpada przed samym zamknięciem i kupuje pierogi. Zazwyczaj ruskie albo z mięsem. Gdybyśmy byli razem, nie musiałby kupować gotowych. To jest, tego, przepraszam, Jagoda. Nie denerwuj się. Biegniemy dalej? Ze dwa okrążenia dookoła osiedla, potem posiedzimy u mnie i przed samą dwudziestą polecimy do spożywczego, może będzie.

– Jagoda? To nic nie mów, jak nie możesz. Słuchaj. Alicja z osiedla kojarzy go ze spożywczego i wie, gdzie on mieszka. Wieczorem idę z nią na spacer z psem, pokaże mi jego blok.

– Jagoda? To nie mów. Jagoda. Według Alicji, on ma żonę i dwoje dzieci. Ale też według niej on jest wysoki. A nie jest. Umówiliśmy się z Alicją na wieczorne bieganie. Może go spotkamy.

Dalszy ciąg identyfikacji niewysokiego i wysokiego znajomego wymknął się Beacie spod kontroli. Alicja, chcąc pomóc miłej koleżance, wpadła na genialny pomysł, który pod osłoną nocy wydał się Beacie może zbyt śmiały, ale tęsknota i desperacja były większe. Otóż Alicja postanowiła zadzwonić do znajomej, która mieszkała z obiektem blok w blok, i dyskretnie podpytać o nieznanego.

– Bądź spokojna – uspokajała Alicja Beatę. – Tak spytam, że się nie domyśli, o co chodzi.

I spytała. Tak spytała, że Beata rozważyła natychmiastową przeprowadzkę na koniec świata. Ewentualnie zmianę wyglądu tak, żeby obiekt nigdy nie zdołał jej rozpoznać.

– Tak sobie dzwonię, moja kochana – mówiła Alicja do koleżanki, stojąc z Beatą pod wspólnym blokiem tejże i domniemanym miejscem zamieszkania domniemanego obiektu. – Co słyhać? Aha, ale nie przeszkadzam? A bo wiesz, mam taką sprawę. Trochę nietypową. – Alicja posłała Beacie uspokajający uśmiech. – U ciebie w bloku mieszka od niedawna taki brunecik. Taki trudno powiedzieć, wysoki czy niewysoki. Taki według mnie z żoną i dziećmi. W okularkach? A nie wiem. Poczekaj. – Alicja nakryła słuchawkę dłonią. – Nosi okulary? – I nie czekając na odpowiedź, kontynuowała: – Pytam, wiesz, bo szłam z moim Bajgłem na spacer i widziałam bruneta, który

kopał psa.

Beatę wbiło w ziemię. Co ona gada, ta Alicja? Matko jedyna!

– No, może nie kopał, nie widziałam dokładnie, może tak tylko chciał odgonić. Nie wiem, bo ciemno było. Właściwie noc. To w sumie może mi się zdawało. Ale taki koło czterdziestki. A ten twój ile ma? Mniej, myślisz? Ale nie, kochana, nie dzwoń na służbę miejską, coś ty, mówię, noc była. Poza tym wiesz, teraz tyle lisów biega. Tak, myślę, że to był lis, a on się bronił.

– Matko jedyna... – powiedziała na głos Beata i rzuciła Bajgłowi piłkę.

– Jagoda? Jak nie możesz, to nie mów. Wstydzę się z domu wyjść. Z tego wszystkiego zakupy robię przystanek dalej. Alicja wydzwania, mówi, żebyśmy z psem chodziły, to może się natkniemy. Jagoda, może byś mi zakupy zrobiła?

Jak każda matka, pani Janina Matelska uważała, że jej synuś, jej Januszek, jest najbardziej urodziwym i najzgrabniejszym dzieckiem na świecie. Wystarczy spojrzeć. Chłopiec jak malowanie. Wysoki, harmonijnie zbudowany. Niczym starożytny Grek. Ostatnio coś go wzdęło, że cztery lata temu, brzuch mu wyszedł. Pewnie przez GMO.

Januszek był nie tylko ładny, ale i nad wyraz zdolny. Pod względem intelektu niedościgniony. Od zawsze przewyższający poziomem nie tylko rówieśników, ale także starszych. Wiedza uporządkowana, encyklopedyczna. Uzdolniony w rozmaitych dziedzinach. Bo i w ścisłych przedmiotach biegły. Mózg elektronowy. I w przyrodniczych. A z geografii? Niech opowie, jak Ruskie bieg rzek zmieniały albo Morze Aralskie wysuszyły. A odcytany! Wystarczy rzucić nazwisko jakiegokolwiek autora, niepopularnego dla utrudnienia, Ezop albo Balzak. Zawsze cytat przytoczy. Wiersze z pamięci deklamuje. Wyjątkowe dziecko. Delikatne, wrażliwe. Niestety, w całej swojej delikatności łatwowierne, jeśli nie naiwne. Najlepszy przykład te, no, aż splunąć się chce, te jego żony. Ale co tu mówić? Serce matki krwawi. Tak skrzywdzić, tak wykorzystać! Trzymajcie mnie, bo jako matka nie mogę patrzeć na krzywdę dziecka! Nie powiedziałam wszystkiego. Nie da się tak w dwóch słowach powiedzieć o tak wybitnym człowieku, o Januszku. Wystarczy wspomnieć, że jeszcze nie chodził, a już czytał. Jeszcze nie mówił, a pisał. I buźkę miał zawsze uśmiechniętą. Czoło wysokie. Nos duży, ale zgrabny. Po tym, no, po mężu. Oczy o wyjątkowej barwie. Jak ktoś widział

serwetkę haftowaną w kaszubski wzór, to wie, jaki odcień niebieski mają oczy Januszka. A kędziorki jak u aniołka. Niczym złote pierścionki. Jakby ktoś na wałki nakręcał. Wszystkie dzieci w szpitalu łyse, a on jeden w pierścionkach. Musiał mu ktoś tych włosów pozazdrościć, bo z kędziorków została tylko taka opaska i trochę na czubku. Włosy to dla matki dobitny dowód na to, do czego go te trzy kobiety doprowadziły. Do jakiego stanu. Mówiła mu matka, błagała, żeby rzepą mył. Sama mu szampon z rzepy kupowała. I odżywkę. I suplementy. Ale z kędziorów tylko aureola została. Jakby ku przestrodze. A zawsze mu powtarzała, że poza rodzoną matką, wszystkie inne kobiety to samo zło, samo zło wcielone. A już były żony Januszka to ha! Największe zło! Żmije w ludzkiej skórze. Matka je od razu przejrzała. Ale Januszek zaślepiony. Wręcz ślepy. A one wygodne, leniwe. Po studiach. Czego można oczekiwać po studiach? Niczego młodych dziewcząt nie uczą. Ma taka potem obiad zrobić albo coś podszyć. I co? Gównno. Dwie lewe ręce. A oczekiwania? Wszystko chcą mieć od razu. I mieszkanie, i samochód, i kolczyki, i wyjazdy. No ale jak to się mówi: do trzech razy sztuka, pocieszyła się matka. Ale żeby dziecku, to jest Januszkowi, dobry obiad ugotować, dać po pracy odpocząć? To nie. Tylko daj i daj. I nic od siebie. I tak brały, ciągnęły od niego, pijawki jedne. A on słaby, naiwny. Myślał, że tak trzeba. Że żonę trzeba jak matkę traktować. Z miłością. Biedne dziecko! Tyle mu z tej miłości przyszło, że matka do dziś się budzi i myśli: „Kto dziecku szklankę poda, jak matka odejdzie?”. I serce pęka, jak patrzy na swoje dziecko, jakie spustoszenie fizyczne nastąpiło po małżonkach. Najlepszy dowód to taki, że jak Januszek się zenił, to włosy miał, a teraz z włosów tyle co nic i żadnej żony. Ani jednej. Na szczęście ma matkę. A matka będzie bronić swojego dziecka. Dziecko jest najważniejsze. Nie mąż. Mąż to stary cap. Mąż to jest jej kula u nogi, jeśli nie korona cierniowa. Teraz i tak jest lepiej jak kiedyś. Kiedyś były tylko dwa programy telewizji i mąż nie miał czym się zająć. Teraz ma kablówkę, więc przez większość dnia jest spokój. Dlatego matka tak pilnuje terminu opłat, żeby przypadkiem kablówki nie odłączyli i żeby z ojcem, to jest z mężem, nie trzeba było gadać. Niech sobie już ogląda kanał informacyjny na przemian z Animal Planet. Przy czym ojciec zaznacza, że właściwie nie widzi różnicy. No, może jedną. Na kanale informacyjnym pokazują więcej świń. Ale ojciec od zawsze wiedział, że ludzie to zwierzęta. Świnie i krowy. Krowy, krowy... I jak to mówi, to tak dziwnie patrzy na matkę. Niepochlebnie. Ale matka już dawno odpuściła. Niesie swój krzyż w postaci starego capa. Raz nawet ojcu, to jest mężowi,

przygadała. Akurat dawali na Animal Planet film o kastrowaniu łośia starym lapońskim zwyczajem. Jak? No, trzeba wziąć jądra do ust i przegryźć. Nie odgryźć. Przegryźć. Łoś pozostaje bykiem, ale już nie takim wyrywnym. Można powiedzieć, że da się z nim normalnie pogadać. I matce się wyrwało, że trzeba było ojcu, to jest mężowi, tak jak temu łośiowi. No ale kiedyś nie było Animal Planet. Co? A nie, nic nie odpowiedział. Pogłodził tylko. A dla matki najważniejsze, że dziecko takie udane. Gdyby nie dziecko, nie synek, matka mogłaby nie wytrzymać. A tak ma swojego rycerza. Matka pęka z dumy. Właściwie to capa mogłoby nie być. Syn jej wystarcza. Syn to sama radość. Duma i szczęście matki. Trudno było matce oddać światu taki skarb. Wypieszczony, wychuchany, karmiony tym, co najlepsze. Masłem, jajkami, mięsem wiadomego pochodzenia, owocami, warzywami. I dopóki matka karmiła, to i zęby były, i włosy. Ale się trzy harpie dorwały i proszę bardzo! Nawet zęby to już nie te zęby, co były. I garbi się. No ale po takich trzech żonach toby każdego do ziemi przybiło. Na szczęście jest matka. Na szczęście matka nie posłuchała ojca, to jest męża, i zachowała pokój dziecka. Bo mąż uważał, że najlepiej by było pokój na magazynek przerobić. Po jej trupie! Żeby się tam ojciec, to jest mąż, zamykał na całe dni? Niedoczekanie! To jest pokój dziecka, i co by się w życiu nie działo, dziecko musi wiedzieć, że ma dokąd wracać. Albo na weekend przyjechać i odpocząć trochę. Matka zawsze podkarmi, podsunie coś dobrego. Pranie robi. W automacie i w rękach. Co w rękach, to w misce przepierze; dziecko zawsze miało skórę delikatną, nie to co mąż. I matce serce rośnie, jak dziecko, jej synek, cały obiad z apetytem zjada i prosi o dokładkę. I te dwa dni, najpiękniejsze dwa dni w tygodniu, ona z dzieckiem. I nawet ojciec, to jest mąż, nie wydaje się wtedy taki chybiony. Da się z nim normalnie, jak z człowiekiem, porozmawiać. Na ten weekend Januszek też przyjedzie. Na szczęście z Mokotowa na Wolę nie jest daleko. Na czterdzieste dziewiąte urodziny Januszka matka mu nowy materac kupiła. Twardy, wygodny. Kręgosłup to drzewo życia.

Jest tylko jeden problem. Właściwie nieszczęście. Przykleiła się do Januszka jedna taka, tfu. Z pewnością czyha na jego konto. E, ble. Może sobie pójdzie w cholerę. Niech no tylko przyjedzie!

Nie trzeba było wróżki ani znającej swojego jedyne jak nikt na świecie, oddanej pierworodnemu Janiny, żeby wiedzieć, że doświadczywszy trzech

związków małżeńskich, Janusz miał na temat instytucji nie tyleż sprecyzowane poglądy, ile narosłe w nim i pielęgnowane wraz z matką strach i głębokie przekonanie, że nic tak człowieka, czyli mężczyzny, nie unieszczęśliwia, jak małżeńskie chomało.

Szczególne poczucie kpiny w żywe oczy narosło w nim w trakcie drugiego małżeńskiego pożycia, kiedy to posłuszna i pokorna Aldona – w stanie panińskim odgadująca jego życzenia, zanim tylko zdążył je wypowiedzieć, podsuwająca mu najsmaczniejsze kąski, prasująca jego bokserki, z zapałem konserwująca mleczkiem w płynie solidne drewniane meble w salonie, usuwająca się w cień podczas meczów, skoków – wraz z wsunięciem na jej palec ślubnej obrączki i przybraniem Januszowego nazwiska pirzgnęła w kąć miękką szmatkę i płyn do drewna, zapowiedziała, że z gotowaniem koniec i żeby sobie nabył kupon na stołówkę, bokserki wrzuciła byle jak do szuflady z bielizną, wygniecione i co gorsza nawet nieodwrócone na prawą stronę. Była to złośliwość większa nawet niż odmowa przygotowywania posiłków, bo Janusz nie od razu się kapnął, że chodzi w majtkach na lewą stronę. Musiał się tego dowiedzieć podczas okresowych badań pracowniczych. Wstyd tym większy, że lekarka była o połowę młodsza od niego i na widok odwróconych majtek zadała mu nawet pytanie, czy Janusz ma uderzenia gorąca i poty. Że niby andropauza.

Tak, zdecydowanie drugie małżeństwo przypominało mu jeden z odcinków *Kaczora Donalda*, na którego kaczy pazur zagięła podstępna kaczorzyca. Przed ślubem delikatna, zalotna, czuła. Po ślubie czupiradło z petem w zębach, posiadające Donalda w jego ulubionym fotelu i nakazujące mu wykonywanie prac domowych.

Podobnie zresztą było w przypadku pierwszej żony, która rychło po ślubie okazała się wojującą feministką. Janusz woli nawet nie myśleć, jakie miał zdanie na jej temat... Bądź co bądź była matką jego ukochanej córeczki. O trzeciej harpii proszę mu nie przypominać. Janusz chce mieć amnezję na jej temat.

Tak czy owak, Janusz nie miał sobie nic do zarzucenia. Uczciwie podkreślał, że jest prawdziwym mężczyzną, który podział ról na świecie widzi w taki, a nie inny sposób. Po kobiecie spodziewał się ciepła, oddania i podsycania płomienia domowego ogniska. I tak wykazał się szlachetnością, pozwalając małżonkom na pracę zawodową. A one jak mu się odpłaciły? Buntem. Sabotażem prac domowych. No nie, takie rzeczy to nie ze mną, myślał Janusz,

czekając przed blokiem na dostawę nowej ekonomicznej zmywarki dla swojej paryżanki. Nawiasem mówiąc, spodziewał się więcej po ukochanej niż gotowany w kółko rosół i jajecznicą smażona na kilka sposobów.

– Malina, śpisz? Dobra nasza! Być może Jagoda już niedługo wróci do domu. Dlaczego? Słuchaj. Wpadła wczoraj jak burza. Ani dzień dobry, ani przepraszam. A wyglądałam naprawdę źle. Tak źle, że na miejscu Jagody wezwałabym do mnie pogotowie. Jak to: co mi było? Co mi jest, chciałaś spytać! Ale czekaj, nie o tym. Było bardzo źle ze mną, z tobą też by było źle, gdyby dziecko od ciebie odeszło, to jest, no wiem, wiem, ale jest mała poprawa. Malina. Ten związek się nie uda. Od razu wiedziałam. Wiedziałam, że Jagódka zbyt pochopnie porwała się na samodzielność. Malina, są kłopoty. Matce wystarczy spojrzeć i już wie. Jagoda zabrała mi książki kucharskie. Ooo, zmierzy się teraz z dorosłością. Zobaczysz, jak to jest przyjemnie. Słuchaj, Malina, to się nie uda. Ty wiesz, co ona wzięła? *Kuchnię polską* z zeszłego wieku i książkę kucharską dla zakochanych. Bardzo jestem ciekawa, co zrobi. Rosół z prawdziwej kury czy naleśniki z pasztetem z puszki? Mogła się matki poradzić. Ale nie. Zawsze sama. Jeszcze do mnie przyjdzie po radę, wiem to, Malina. Na dwoje babka wróżyła i powiem ci, Malina, że teraz to wszystko ode mnie zależy. Jak to: co zależy? Czy będzie z tego mąż, czy nie!

Pani Irena mawiała tak:

– Jak już wyjdiesz za mąż, to zgadzaj się na wszystko, przytakuj, że ma rację, uśmiechaj się i rób swoje. Rób swoje.

Zgodnie z obietnicą Janusz otoczył Jagodę luksusem.

W najśmielszych snach i marzeniach Jagoda nie przewidziałaaby liczby dóbr luksusowych, którymi już w pierwszych dniach wspólnego pożycia obdarował ją ukochany.

Pudełka, kartony, paczki napływały drogą morską i lądową. Do rąk własnych Janusza i Jagody dostarczali je posłańcy, kurierzy, listonosze. Na opakowaniach widniały pieczętki i znaczki z różnych krajów. Jagoda podpisywała potwierdzenia odbioru, dawała dychę za fatygę i z bijącym sercem taszczyła paczki do salonu.

Jak podkreślał Janusz, z dumą obserwujący rumieniec i radość w oczach

bogini domowej, koszty się nie liczyły. Liczyła się jakość. Niezawodność. I dożywotnia gwarancja.

A Jagoda płonęła i z miłości, i z podekscytowania, kładła paczki bądź to na podłodze, bądź na stole, brała oddech i jak dziecko, radośnie, niecierpliwie, szczebiocząc pod nosem, rozrywała papier pakowy, wieka kartonów, mocowała się ze sznurkami, odrzucała bibułki, folie bąbelkowe. I za każdym razem zamierała z wrażenia.

Pierwsza paczka skrywała komplet ostrych, lśniących niczym rybia łuska noży. Noży było pięć i każdy miał inne przeznaczenie. Był nożyk do krojenia, nóż do siekania i tasak do mięsa. Nóż do ryb i nóż do owoców. Do noży dołączone były specjalny stojak oraz ostrzałka.

– Kochanie, pamiętaj, żeby przed każdym użyciem ostrzyć nóż – pouczył Janusz i zademonstrował skonsternowanej Jagodzie fachowe ostrzenie. – Raz, ciach. Teraz ty!

– Raz, ciach. – Jagoda przecięła powietrze.

– Musisz poćwiczyć, kochanie. Noże trzeba ostrzyć. Jeszcze raz, popatrz tylko: raz, ciach!

– Raz, ciach. – Jagoda przejechała nożem po ostrzałce. – Ciach, ciach.

– Słabo ci idzie. Spójrz na mnie. Raz, ciach!

Następny karton skrywał... Hm, czyżby?

– Czy to jest wiadro i mop? – zadała pytanie Jagoda, wyciągając z pudełka wiadro i mop.

– Chyba żartujesz! – obruszył się Janusz. – To jest zestaw. Wiadro, mop i wyciskacz. Idź, nalej wody do kubła i polej trochę na podłogę. Zobaczymy, jak mop zbiera.

Następne były garnki.

Pięć, różnej wielkości.

Janusz wziął w objęcia jeden z garnków i niczym przedstawiciel handlowy wyrecytował:

– Obecny tu komplet francuskich garnków składa się z pięciu naczyń różnej wielkości. Masz tu garnki o średnicy osiemnastu, dwudziestu, dwudziestu dwóch i dwudziestu czterech centymetrów. Wszystkie z pokrywkami. Jest także rondel o średnicy szesnastu centymetrów. Wraz z pokrywką. Garnki wykonane są ze stali nierdzewnej i mają dziesięć lat gwarancji – dodał Janusz, słowo „dziesięć” wypowiadając z lekką ironią. Żadna z byłych żon nie wytrzymała z nim nawet pięciu. – Możesz w nich także piec. Ale to już może, jak nauczysz

się gotować? Kiedy?

– Co: kiedy? – spytała Jagoda, oglądając pokrywkę od rondla.

– Kiedy się nauczysz gotować? Jest grudzień. Idą święta. Garnki przyszły.

Idą patelnie. Kiedy?

– Ale ja umiem gotować! – obruszyła się Jagoda.

– Umiesz. Owszem. Jajko z sałatą. Ja się pytam, kiedy zjem obiad.

– Styczeń?

– Styczeń początek czy styczeń koniec?

– Koniec? – niepewnie zaproponowała Jagoda.

– Dobrze – zgodził się Janusz. – Mopa używasz?

– Tak.

– To pokaż. Ja trochę pogram.

Odkurzac. Odkurzac z filtrem wodnym i turboszczotką.

– Kochanie, przed użyciem przeczytaj instrukcję!

Ciach, ciach.

Komplet patelni. Do duszenia, smażenia, grillowania.

Stal szlachetna.

Nadają się do mycia w zmywarce.

Wskaźnik nagrzania.

Pokrywki.

– Kochanie, przeczytaj instrukcję. Jak się nauczysz na teflonie, kupimy porządne garnki. Z dożywotnią gwarancją.

Raz, ciach.

Komplet łyżek i łopatek do gotowania i smażenia.

Soczyste kolory sprawiają, że gotowanie staje się jeszcze przyjemniejsze.

Ciach i ciach.

Żelazko. Deska do prasowania.

Ciaaach...

– Deska, mówisz, taaa... – Janusz wydawał się rozczarowany. Wybranka najwyraźniej nie poznała się na zaawansowanym sprzęcie domowym. – Kochanie, czy ja bym ci kupił zwykłą deskę i żelazko? Spójrz tylko. To jest



stacja parowa. Otóż to jest, kochanie, stacja parowa. Innymi słowy, jest to najbardziej zaawansowany model, jak mówisz, deski. Do prasowania. Solidna stabilna konstrukcja. Powłoka przepuszczająca parę wodną. Lekka, poręczna. Będziesz sobie mogła rozstawiać w salonie i oglądać telewizję, tym bardziej że żelazko ma specjalny czujnik i nie przypala ubrań. Przeczytaj instrukcję.

Raz, ciach, raz.

Komplet sitek. Trzy różnej wielkości sitka, cedzak, durszlak. Łącznie pięć sztuk. Łatwe do mycia.

Ciach, ciach.

– Mopa używasz? To pokaż! Pogram teraz trochę.

# Wigilia

Z kuchni dobiegały smakowite zapachy. Mąż i Kark aż rozwierali nozdrza, takie to aromaty wabiły ich i nęciły.

Kark zazdrośnie spojrział na Męża. Miała to być pierwsza Wigilia, którą Mąż spędzi we własnym domu, z własną Żoną. Bez żadnych teściowych, ojców ze wsi, szwagrów czy innych bratowych. Żona po raz pierwszy w życiu miała przygotować dwanaście dań. Ręcznie. Własnoręcznie.

– Głodny jestem – odważył się wypowiedzieć na głos Kark.

– I bardzo dobrze – odpowiedział Mąż.

Mając pretekst oraz argument, poszedł do kuchni sprawdzić przygotowania do świąt.

Wśród pootwieranych szafek, rozstawionych mikserów, maszynek do mielenia mięsa, maku, upieprzonej tłuszczem makutry, gara dużego z parującym bigosem, gara większego z kiszonym barszczem, peklowanej szynki, piekarnika przypiekającego ciasta, pasztety, z rękami uwalanymi mąką, z włosami w nieładzie, z reszką jajka na fartuszku, zagniatająca ciasto na pierogi, czerwona i rozogniona, stała Żona.

– A ty co taka zdyszana? – zdziwił się Mąż. – Onanizowałaś się?

Po pamiętnych świątach Bożego Narodzenia, na które mamusia przybyła z odsieczą w postaci stu pierogów z kapustą i grzybami oraz sześćdziesięciu uszek wielkości monety jednozłotowej, wypełnionych grzybowym farszem, i po których to świątach Janusz uprzejmie poprosił, żeby z dań rybnych proponować coś więcej niż śledź z tacki i gotowy do odgrzania mrożony łosoś w cieście francuskim, oraz z powodu prezentu innego niż wysadzany brylantem pierścionek zaręczynowy, Jagoda na poważnie przystąpiła do zgłębiania zagadnień bardziej przyziemnych niż ośmiornica w oliwie z czosnkiem czy efektywne mieszanie sałaty z winegretem. Być paryżanką można wszędzie, tak,

tak, ale męża to nie przyniosło, jak widać.

Wniosek był jasny. Gotować należało nauczyć się naprawdę szybko. Przede wszystkim po to, żeby nie widzieć triumfującej miny mamusi i nie słuchać jej uprzejmych pytań.

– Czy panu smakuje, panie Januszu, ale czy smakuje? Czy ciasto nie za grube? Nie za grube? A farsz? Dodałam cebulkę, czy pan lubi cebulkę w pierogach? Nie wszyscy lubią. A pańska mama dodaje cebulkę? Nie? To może panu nie smakują?! Na pewno smakują? Ja się nie obrażę, dlaczego miałabym się obrazić? Ale co, nie je już pan? Oj tam, piętnaście! Co to jest piętnaście pierożków dla takiego mężczyzny! Pan, panie Januszu, ja to widzę, pan zjadłby drugie tyle! Jagódka, idź do kuchni, odsmaż pierożki panu Januszowi. Potrafisz? Panie Januszu, tak między nami, Jagoda to dobre dziecko. Ja nie miałam wiedzy na temat ryby. Gdybym wiedziała, że córka kupiła mrożonkę... Panie Januszu, ja bym karpia spod ziemi wykopała! Bo ja karpia, panie Januszu, to robię tak. W mleku moczę, na masełku smażę, a na koniec posypuję uprażonymi migdałami. Co prawda nie smażyłam karpia od lat, bo Jagoda by do pyska nie wzięła, a dla samej siebie to mi się nie chciało. Ale teraz, panie Januszu, to ja widzę, że mam dla kogo gotować. Jagoda! Mnie się zdaje, że masło to za bardzo podgrzałaś! Smród w całym mieszkaniu! Pan pozwoli, panie Januszu, przeproszę i pójdę do kuchni. Szkoda by było, żeby pan musiał jeść zwęglone ciasto. Jagoda, dziecko!

I w ogóle, podsumowując, jeśli Januszowi potrzebny jest argument do zakupu wyrobu ze złota, Jagoda szybko mu tego argumentu dostarczy.

W związku z powyższym przerwę świąteczną spędziła pracowicie. Na szczęście Janusz grał w swoje sudoku i nie odczuwał braku towarzystwa ukochanej. Korzystając z trwającej dni i nocy niepoczytalności ukochanego, który w oczach miał dziki błysk i jedno słowo: SUDOKU, Jagoda mogła powisieć na telefonie z panią Ireną i powrócić do lekcji gotowania, której w czystej teorii przemiła sąsiadka starała się udzielić dziewczęciu lata temu. W celach poczynienia dokumentacji kulinarnej, Jagoda pojechała nawet do mamusi, by z zakamarków panińskiego pokoju wydobyć notes z zapiskami. Kto by pomyślał, że ponownie przystąpi do notowania drogocennych uwag i niezawodnych przepisów pani Ireny? I tak Jagoda, do tej pory jako popisową potrawę potrafiąca usmażyć nieszczęsny omlet, który w codziennym pożyciu z prawdziwym mężczyzną, to jest z Januszem, kompletnie nie zdał egzaminu, po pierwsze, przeprosiła się ze wzmiankowanym notesem, a po drugie,

eksplorowała Internet i zapisywała sobie w specjalnie stworzonym na poczet przyszłego ślubu pliku „Kuchnia” wybrane linki do blogów kulinarnych.

Po trzecie, złożyła zamówienie na książki kucharskie (tradycyjna kuchnia polska, włoska oraz ze względów oczywistych, francuska). Podpytany dyskretnie o stosunek do kuchni azjatyckiej Janusz odpowiedział spokojnie, że wodorostów, robaków, surowej ryby jeść nie będzie, a tym bardziej pałkami nie będzie. I w ogóle skąd to pytanie? On naprawdę jest przywiązany do tradycji. Posiłki chciałby spożywać za pomocą łyżki, noża i widelca.

– Noże ostrzysz?

A po czwarte, i to przede wszystkim, Jagoda wydzwaniała do pani Ireny rano, w dzień i w nocy, zadając pytania, konsultując, weryfikując i naradzając się, od czego zacząć przygodę w kuchni, żeby skończyć na ślubnym kobiercu.

Wiedzy do przyswojenia było całe mnóstwo. Ani w liceum, ani na studiach Jagoda nie miała poczucia, że ogrom materiału ją przerasta, przybija, a w miarę przyswajania – podstaw zaledwie – kuchni wie coraz mniej. Kto by pomyślał, że samej teorii jest na kilka lat odrębnych studiów? I tak na przykład: mięso przed przyrządzaniem powinno mieć temperaturę pokojową. Tak samo składniki ciasta: jajka, mąka, mleko. Sałatę powinno się myć siedmiokrotnie, i to w głębokim zlewie. Po każdym płukaniu sprawdzać, czy na dnie zlewu nie ma już drobinek piasku. Warzywa, w zależności od potrzeb, kroić należy w paski julienne lub w kostkę. W zależności od jakich potrzeb? Mąka na pierogi powinna być lekko ogrzana, a do ciasta należy dodać samo żółtko. Z kolei w innym przepisie sugerowane było całe jajko. O matko! Czyli co, żółtko czy jajko? – denerwowała się Jagoda i już wybierała numer pani Ireny.

– Ja nie damę w ogóle jajka, dolewam łyżkę oliwy – odpowiedziała starsza pani, nie wiedząc, że tym samym doprowadza przyszłą mistrzynię patelni do głębokiej frustracji.

Potrawy wigilijne były totalnym niewypałem. Gdyby nie matka, być może Jagoda musiałaby wrócić do domu. Być może o tej właśnie porze przygotowywałyby matce cienkie kakao i podawała je w ostatniej wyszczerbionej filiżance. Przez nieszczelne okna wdzierałby się srogi mróz... Matka prosiłaby o maślany herbatnik. Ale nie byłoby już nic do jedzenia.

Trzeba zacząć od dań tradycyjnych. Opanować zupy, kotlety, proste desery. Opanować Janusza. Udowodnić mu, że potrafi gotować, i prostą drogą przez żołądek dojść do ślubnego ołtarza (kobierca). A kiedy ugotowanie zupy czy

zrobienie gulaszu stanie się czynnością banalną, wręcz odruchową, dania będzie można urozmaicać i przedsięwziąć wariacje na temat przepisów klasycznych. W ten sposób pokaże Jagoda swobodę w posługiwaniu się chochlą oraz kreatywność. Zanim jednak dojdzie do perfekcji w przygotowywaniu dań prostych, acz pożywnych, należy przejść przez etap zero, to jest nauczyć się gotować rosół i smażyć sznycle cielece. Jak mawiała pani Irena, rosół to taka wyjątkowa zupa, że smakuje i z filiżanki, i z talerza, podana z domowym makaronem, pokrojoną gotowaną marchewką i posypana świeżą siekaną pietruszką. Magicznie rozgrzewa od środka. A jak się rosołu ugotuje więcej, to na trzeci dzień można z rosołku zrobić pomidorówkę, grzybową czy ogórkową.

Opanować teorię w miarę szybko i przejść do czynów. Przepasać się fartuszkami, chwycić za warzuchę, łyżki i łopatki i czarować, czarować. Jagoda obiecała Januszowi, że do końca stycznia nauczy się gotować. Jest koniec grudnia. Na razie żarcia jest całe mnóstwo, ponieważ mamusia podjechała i w pierwszy, i w drugi dzień świąt, ciągnąc za sobą wózek wypełniony nową baterią pierożków, miską sałatki jarzynowej, pieczywem („Kto wie, panie Januszu, czy Jagoda pomyślała o pieczywie?”), słoikami pełnymi grzybków marynowanych oraz smażonym linem.

Lin, nawiasem mówiąc, był prezentem od Mańka, ale czy Maniek musi wiedzieć, że linem należy nakarmić innego mężczyznę, mężczyznę, na którego matka Jagody czekała całe życie? Mańkowi dała karpia. Wpadł w Wigilię rano z życzeniami i odpadem z choinek, który zebrał z opustoszałego stoiska z drzewkami, i ułożył w przyjemną kompozycję świąteczną, ozdabiając gałązki własnoręcznie pomalowanymi na srebrno i złoto szyszkami z działki.

W domu było cicho i spokojnie. Janusz grał w swoje sudoku; przez najbliższe godziny nie powinien zgłaszać roszczeń kulinarnych. Można się było zająć nauką.

Jagoda, zdefiniowana w testach osobowościowych przeprowadzonych przez szwedzkiego pracodawcę jako typ A, osobnik o zbitce cech wybitnie analitycznych, dla którego zakup gorzkiej czekolady był przyczynkiem do wielomiesięcznego studiowania wszelkich możliwych publikacji na temat uprawy ziarna kakaowca, sposobu, w jaki Majowie uzyskiwali lekką piankę, przelewając napój z naczynia do naczynia, podróży kakao przez królewskie

pałace, nie wspominając o istotnym znaczeniu pianki dla podtrzymania wątych sił cierpiącej na psychicznego globusa Emilii Korczyńskiej. Był powodem do studiowania map Paryża, zarysowanych wąskimi uliczkami, przy których wśród sklepików z serami, wędlinami, kwiatami, wszechobecnymi *boulangerie*, jak klejnoty wciśnięte były maleńkie, prowadzone zazwyczaj przez kolejne pokolenie, manufaktury z pralinkami. Zakup tabliczki czekolady oznaczał czytanie esejów, artykułów, blogów, sprawdzanie, który *chocolatier* robi najlepszy ganasz, a który odchodzi od klasycznych smaków, proponując klientom czekoladki z solonym karmelem, tłuczonym czerwonym pieprzem czy kandyzowanym imbirem.

Jak zatem typ analityczny A mógł tak po prostu wziąć garnek i patelnię? Skoro typ A miał gotować, musiał wpięrw zdobyć wiedzę teoretyczną.

Janusz sapał i gadał do swojego sudoku. Był w trakcie turnieju i był najedzony.

Pełna zapału i dobrych chęci, zaopatrzona w notesik i długopis Jagoda przystąpiła do zgłębiania tajemnic kuchni polskiej.

Wieczór i pół nocy później z satysfakcją spojrzała na leżący przed nią notesik. Zapisane drobnym maczkiem kilkanaście stron stanowiło podsumowanie wstępu do kuchni polskiej. Kuchni, którą w następnych miesiącach zamierzała uwieść Janusza i sprawić, by podczas konsumowania wybitnych kąsków przyszły mu do głowy wyłącznie spontaniczne oświadczenia i rychły ślub.

Zadowolona z ogromu pracy, którą wykonała przez wieczorne godziny, Jagoda przycisnęła do piersi swój kajecik i narażając się na gniew swojego pana i władcy (mógł być w połowie kolejnego turnieju sudoku), postanowiła mu przeszkodzić i poinformować go o postępach.

Janusz powinien być zadowolony. Na pewno będzie z niej dumny. Z pewnością inaczej spojrzy na swoją Jagodę, kiedy tylko się dowie...

– Januszk, grasz? – zapytała z grzeczności Jagoda i nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej: – Janusz... – Jagoda zaczerpnęła powietrza. – Chciałabym ci powiedzieć dwie rzeczy.

Janusz spojrział na nią nieprzytomnym wzrokiem. Żadna z poprzednich żon nie przeszkadzała mu, kiedy grał.

– Chciałam ci powiedzieć, że kuchnia śródziemnomorska wpisana jest na *Listę światowego dziedzictwa kulturalnego i przyrodniczego UNESCO*. Jest dowiedzione naukowo, że dieta stosowana na południu Włoch wydłuża życie

i zapobiega niebezpiecznym chorobom.

– Jakim chorobom? – zaniepokoił się Janusz.

– Wszelkim – odparła Jagoda. – Wiedz, że w miasteczku Campodimele średnia długość życia wynosi dziewięćdziesiąt pięć lat. Wystarczy powiedzieć, że sam Cynceron bywał w dzisiejszej Kampanii, by objadać się owocami tamtej ziemi. I to jest dobra wiadomość. – Jagoda pomachała notesem. – Ponieważ biorąc pod uwagę powyższe, makaron można jeść bez obaw i tak często, jak się da, a potrawy zapijać czerwonym winem.

– Z czym makaron? – zainteresował się Janusz.

– Jaki makaron? – zdziwiła się Jagoda. – A, posłuchaj teraz. Trzeba ci wiedzieć... – Jagoda zerknęła do swoich notatek – ...iż to przemiany historyczne miały wpływ na kształtowanie się kuchni polskiej. Od wieków tereny Rzeczypospolitej Polskiej zamieszkiwane były przez wiele, Januszu, wiele narodów. Odnotowano silne wpływy tatarsko-tureckie, ruskie, żydowskie, włoskie, francuskie. No i oczywiście niemieckie. Do najbardziej znanych polskich potraw należą pierogi, ka...

– Pierogi? – przerwał Janusz, któremu przerwano grę w sudoku i który w związku z tym rozumiał to, co chciał.

– Pierogi – czytała z kajetu Jagoda. – Pierogi, kotlet mielony oraz schabowy, galareta mięsna, bigos. Wszelkie zupy, a zatem: rosół, żur, barszcz biały i czerwony, żurek, zupa pomidorowa, ogórkowa, grzybowa.

– A chłodnik? – zainteresował się Janusz.

– Nie odnotowałam. – Jagoda przekartkowała notes. – Flaki mam.

– To bym zjadł. Z bułką.

– Dodatku w postaci bułki autor nie wymienił. Wymienił chleb żytni, pszenny, razowy.

– To z pszennym.

– Co z pszennym? Z owoców: jabłka, gruszki, jagody. Do najpopularniejszych ciast należą: szarlotka, sernik, makowiec, babka drożdżowa...

– A pączki?

– ...pączki i faworki – Jagoda uzupełniła część o ciastach. – Do kontrowersyjnych dań należą wszelkie kiszonki, sfermentowane produkty mleczne, zsiadłe mleko i kefir, tak bardzo lubiane przez społeczeństwo. Jeśli chodzi o wyroby alkoholowe, wódka pędzona ze zbóż i ziemniaków wyparła popularny niegdyś miód pitny. Natomiast, pomimo bogacenia się narodu, wino

nie wyparło taniego piwa. Przejdźmy do herbaty, Januszu.

- Chętnie – zgodził się Janusz. – Noże ostrzysz?
- Ostrzę.
- Pokaż.
- Moment. Zostało mi jeszcze wprowadzenie samowarów przez zaborców rosyjskich. Wyobraź sobie długie zimowe wieczory...
- Wyobrażam sobie. – Janusz machnął dłonią w kierunku grudniowego okna.
- Garnków używasz?
- Używam.
- Wszystkich?
- Nie wszystkich.
- Dlaczego nie wszystkich?
- Nie było potrzeby.
- Jak nie było potrzeby? Co jest na kolację?
- Jest pierwsza w nocy.
- No właśnie. Dlaczego nie było kolacji? Pierogi od matki jeszcze są?
- Zjadłeś.
- A co jest?
- Sałatka jarzynowa.
- A mama kiedy przyjeżdża?
- Nie przyjeżdża – przestraszyła się Jagoda. – A co?
- Jak to: co? Jutro jedziemy do domu. Na weekend. Pakuj się. I torby zapakuj. To jest nie do pomyślenia, żeby na tej szerokości geograficznej... – Janusz zatoczył ręką po dużym pokoju. – Nie do pomyślenia, żeby zamiast ciepłej kolacji była pogadanka o wpływie zaborcy na poziom spożycia czarnej herbaty. Jakby się moja matka pytała, co chcemy do jedzenia, to bierz wszystko. Ojciec też będzie pytał. To, co da ojciec, pakuj tak, żeby matka nie widziała. Na jakieś dwa tygodnie będzie co jeść. A ty ćwicz! Odkurzacza używasz?

W piątkowy wieczór Jagoda i Janusz wyjechali z garażu prowadzonym przez ukochanego ukochanym pojazdem osobowym. Niemieckim pojazdem osobowym marki Audi. Audi, najnowszy model. A ileś tam. Szary metalik. Jasne obicia. Skóra. Dotknij. Deska rozdzielcza z drzewa. Dotknij. Szyb nie dotykaj, dopiero co myte. A to co za smuga? Musiałaś dotknąć. Przetrzyj



od razu. Nie, nie ręką. Weź chusteczki ze schowka. Tylko delikatnie! Nie szoruj. Naprawdę trzeba uważać!

W piątkowy wieczór Jagoda i Janusz wyruszyli w drogę. W drogę, która dla większości kobiet jest jedną z najdłuższych, a bywa, że i niemożliwych do pokonania.

Impulsem do wyprawy był głód. Głód, który ogarnął Janusza, i niemożność zaspokojenia tego głodu przez debiutującą w roli pani domu, przejętą sytuacją Jagodę. Świąteczne jedzenie, które przywiozła mamusia Jagody, zostało pochłonięte, głównie przez Janusza i głównie w nocy, podczas emocjonujących rozgrywek w sudoku.

Jagoda postanowiła zmierzyć się z zaistniałą sytuacją. Niestety i oblubienica, i deklarowana przez nią postawa prodomowa i prokuchenna zostały skwitowane wymownym milczeniem. Janusz, owszem, chętnie wysłuchał przeglądu ulubionych potraw świątecznych Polaków i zamieszkujących tereny dawnej i obecnej Rzeczypospolitej grup narodowościowych. Sam wykład nie wystarczył jednakże do zaspokojenia jego apetytu. Wręcz przeciwnie. Rozmowa, którą odbył z ukochaną w minioną noc, była w rozumieniu Janusza rozmową dyscyplinującą. W rozumieniu Jagody w wyścigu o obrączkę, paradoksalnie, palmę pierwszeństwa przejęła mamusia oraz jej wózek na kółkach wypełniony wyrobami garmażeryjnymi.

Janusz nie widział innego rozwiązania, jak rozwiązanie ostateczne.

W mroźny wieczór wyruszyli w drogę do domu Janusza. W drogę z Mokotowa na Wolę, drogę symbolicznie przełomową, a realnie oblodzoną. W domu czekała matka, matka karmiąca, barszcz z uszkami, pieczona kaczką, zasmażane buraczki, sernik, tort czekoladowy, ulubiona szarlotka Januszka, kompot, koc, gdyby dziecko chciało się położyć po kolacji, i oczywiście prezenty od Mikołaja. Czekał także ojciec, który nie mógł się doczekać, jak jego ślubna stanie na wysokości zadania i obrazi partnerkę dziecka, prawdopodobnie w ciągu pierwszego kwadransa wizyty.

Na przyjazd syna ojciec udusił zrazy i omal nie udusił tej starej kłępy. Nie dawało się już słuchać jej piskliwego głosu, gładzenia i narzekania. A po co Januszkowi kolejny kłopot? Po co, po co? Matkę ma, ojca ma.

– Zamknij się, cholero.

Sam ojciec nie mógł zrozumieć, jak z uporem maniaka można brać sobie coraz to nową babę. On wziął raz i o raz za dużo. Ooo, jak łązi, człapie po domu, galopkiem między lodówką a kuchenką! Patrzcie no, jak sieka, uciera,

smaży, piecze, gotuje. Wszystko dla synka.

Ojciec nie będzie gorszy. Zrobi takie polędwiczki, że tej jej kaczki nikt nie ruszy. Zresztą kto to widział robić kaczkę bez nadziewki? Kaczka musi być z nadziewką z wątróbki. Ale kłępa to wie i robi mu na złość. Z jabłkiem piecze. Wie, że on słodkiego w mięsie nie znosi. Ale czego tu wymagać? Cała jej sztuka gotowania to krojenie kiełbasy. Więcej nie potrafi. To ojciec gotuje, sam, po swojemu. Kiedyś jadł, co mu dawała. Trudno, żeby pracował i jeszcze dom prowadził. Ale teraz, na emeryturze, jak mu już ostatnie lata życia zostały, to co mu szkodzi w kuchni posiedzieć? I nie zgodzi się ojciec, że to typowo babskie zajęcie. Widział ktoś babę jako szefa kuchni? Może w telewizji. A ojciec ogląda kanał kulinarny. W sekrecie, bo nie chce, żeby to pudło widziało. Znowu by jakiś komentarz wygłosiło. A ojciec ma już dosyć tych komentarzy, tego kłapania dziobem, gładzenia i utyskiwania. I nieprawdą jest, że to on doprowadził kłępę do takiego stanu. Że kiedyś była inna, miła. Była miła przed ślubem. Z każdą tak jest. Przed ślubem każda jest miła. A kiedy się Janusz urodził, to ojciec przestał się liczyć. Tylko fukała i wzdychała. A ojciec miał potrzeby. Ale nic nie mówił. Chociaż miał prawo, bo sam dom utrzymywał. Miał prawo wymagać, oczekiwać. Ale zęby zaciskał. A mogła się poświęcić, dać mu trochę uwagi, za to całe dobro... No, naprawdę. Miała jak u Pana Boga za piecem. Nigdy nie musiała pracować. Wstyd, żeby kobieta musiała pracować. Nic nie musiała. Raj na ziemi. Co musiała, co musiała? Że ugotować, posprzątać, zakupy zrobić, pranie, przeprasować, raz na jakiś czas do magła się przejść, o dom zadbać, dziecko wychować, o męża zadbać? Z bezczynności się kobiecie w głowie przewróciło. Niejedna by jej pozazdrościła takiego spokojnego życia. A że czasem ojciec w nerwach coś powiedział, czy ją przezwał? I co z tego? Dramat jakiś? Komuś ubyło? Eee, szkoda gadać. Nigdy się na żartach nie znała. I nigdy się już nie pozna. E tam! Bez przesady, że ją wykorzystywał. Młodsza była. Dużo młodsza. Zawsze o pięć lat młodsza. Więc i siły miała więcej. I nie porównuj, jeden z drugim, wieku lat prawie osiemdziesięciu do siedemdziesięciu trzech, bo porównać się nie da. Jest Janka dużo młodsza, więc niech biega do piwnicy po ziemniaki. Albo do apteki. Albo po salceson na kolację. A kto ma biegać?

Można śmiało postawić tezę, że pożycie Stefana i Janiny Matelskich od lat układa się bez zakłóceń. To znaczy że nie było takiej siły, która zdołałaby

zakłócić uprawianą przez nich z wielkim oddaniem, zdefiniowaną przez współczesnych terapeutów przemoc domową. Kiedyś się mówiło o różnicy charakterów, dotarciu się, które przyjdzie z wiekiem, ale nie przyszło. Ale czasy są zwariowane, wszystko stoi na głowie. Taki termin uczeni ukuli: „przemoc domowa”. A to nie żadna przemoc, tylko... Niech mnie, co za durna baba! Trzymajcie mnie, co za imbecyl niemyty, tfu! Ową przemoc domową, którą sami zainteresowani nazwaliby normalnym pożyciem małżeńskim, Matelscy uprawiali wobec siebie z równym zaangażowaniem od ponad pięćdziesięciu lat. Pani Janina nawet nie pamiętała okresu zalotów. A nie! Było coś. Ale jak to było? A chyba jej brat powiedział, że Stefek, jego przyjaciel, byłby zainteresowany. I nawet nikt jej o zdanie nie pytał. Krótco po tych, można powiedzieć, oświadczeniach stała już w kościele i drżała z ekscytacji, że welon, że ślub. Kilka lat później drżała już tylko ze złości.

Ale myliłby się ten, kto pomyślałby, że małżonków nic nie łączy. O nie. Jak pies z kotem, ale front jednocyli przeciwko każdemu, kto w ich obecności uchybiłby drugiemu. O, niedoczekanie intruza! Wystarczy wspomnieć – tylko cicho, nie przy Januszu! – trzy ekszony. Mocno się oboje napracowali, żeby ulżyć Januszkowi w jego nieszczęściu. Ale się udało. Szlag by to trafił, że kobiety lgną do jedynaka jak muchy do miodu! O, i teraz. Takie nieszczęście! Tak się cieszyli na święta, każde z nich osobno potrawy uszykowało, a Januszek oznajmił, że pierwszą Wigilię spędzi w swoim domu z nową panią. Nie pocieszył ojca nawet fakt, że kłepie pękła proteza i zbierała zęby spod choinki.

Marne te święta były.

Janusz, który postrzegał siebie jako człowieka doświadczonego przez życie (przy czym słowo „doświadczony” w jego rozumieniu oznaczało „wykorzystany” przez zło wcielone, samo zło, czyli byłe małżonki) oraz mającego pojęcie o Polsce, świecie współczesnym i technikach stosowanych w sudoku, miewał refleksje na temat, że jego rodzina jest może i niestandardowa, ale z drugiej strony małżeństwo rodziców było dla niego jak wzorzec klasyczny. Tradycyjny. Patriarchalny. Model, w którym podział ról uosabia model archetypiczny i przejrzysty. Głową rodziny był ojciec-żywiciel. Matka pełniła rolę usługową. Dzieci, w przypadku synów, miały iść w ślady ojca i pomnażać nazwisko. Syn był jeden, ukochany Januszek. Córek, dzięki

Bogu, nie było. A syn w dodatku czuje ciężar odpowiedzialności za przedłużenie rodu. Od dziecka wbijał mu ojciec do głowy prawdę o przewodniej roli mężczyzny. Do edukacji tej wystarczała bierna postawa ojca i powtarzane jak mantra zdanie: „Kobieta musi znać swoje miejsce, synu”. Do matki, czyli żony, mówił tak: „Daj mi spokój” albo: „Co z obiadem? To co robiłaś cały dzień, pytam? Ile niby te kartofle mają się gotować?”.

A matka, psiocząc na ojca i na swój smutny los, całą miłość i wszystkie pieśczęty oddała Januszkowi, wpajając mu głębokie przekonanie, że jest najlepszy, najmądrzejszy, najpiękniejszy i z pewnością – Bogu dzięki! – nie taki jak jego ojciec. Gwiazdkę z nieba dać i nieba przychylić. I tylko jego kocha, tylko jego. I tylko Januszka ma na świecie. I serce by sobie wyrwała, flaki wypruła. Taka jest miłość matki.

– I pamiętaj, synu, nikt, nikt, powtarzam, a już na pewno nie kobieta, nie zrozumie ciebie tak jak matka. Nikt cię nie będzie tak kochał. Nikt tak o ciebie nie zadba. Przekonasz się. Sam zobaczysz. Wspomnisz słowa matki. Kobiety są podłe, leniwe, pazerne, a ty taki śliczny, dobry... A one wyuzdane, chciwe, tylko myślą, jak się w życiu urządzić.

– Co ty pierniczysz? – pytał w takich momentach ojciec, a matka jeszcze mocniej głaskała głowę Januszka i powtarzała:

– Samo zło, samo zło. Zobaczysz. Tylko matka.

– Kochanie. – Janusz oderwał prawą dłoń od kierownicy i przeczesał występujące nielicznie loki na czole. – Kochanie. – Janusz najwyraźniej chciał powiedzieć coś ważnego. – I jak się czujesz? – zapytał bez sensu.

– Dobrze. Bardzo dobrze – odpowiedziała Jagoda, która zestresowana pierwszą wizytą u rodziców Janusza, przyszyłych teściów, nie zrozumiała pytania. Janusz o coś pytał, ale o co? – Tak, tak. A co?

– Ale jak się czujesz? – nalegał Janusz, który był tak przejęty, że nie rozumiał odpowiedzi. – Dlaczego?

– No tak. Bardzo dobrze. Jak myślisz?

– Raczej tak. – Janusz ścisnął kierownicę i żeby sobie ulżyć, nacisnął klakson. – Widzisz tę babę przed nami? Kto jej dał prawo jazdy? Skręcać nie umie! Nie, no, dzwonię na policję! Niech ją aresztują! Niech jej odbiorą komórkę, samochód, dokumenty, ubranie! Jak można tak jeździć?! I co, zadowolona?

– Tak. A co? – odpowiedziała Jagoda.  
– Tak sądzę – odpowiedział Janusz i dodał: – Dobrze, żebyś miała dystans. Masz dystans? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, zatrąbił dla kurażu.

Droga do rodzinnego domu, biorąc pod uwagę brak korków i dystans do pokonania, z Mokotowa na Wolę, nie upłynęła szybko.

Janusz trąbił bez przerwy. Jagodę ogarnęły mdłości. Nie żeby była zdenerwowana. Dlaczego miałyby być zdenerwowana? Dlaczego miałyby się denerwować pierwszą wizytą u teściów? Przyszłych teściów. Dlaczego miałyby podejrzewać starszych państwa, że poczynią jej trudności i wyrządzą afronty? Dlaczego? Dlatego, że coś tam Janusz bąkał, żeby nie brać wszystkiego do siebie? Spokojnie. Jagoda ma dystans. Jagoda potrafi nawiązać dialog z każdym. Nawet z przyszłą teściową, u której jeszcze do niedawna weekendy spędzał syn, mężczyzna jej życia. Spokojnie.

Może tylko okno uchylić, bo mdli coraz bardziej? Właściwie to chyba Janusz powinien się zatrzymać. I to już, teraz!

Za późno.

Zajęty trąbieniem Janusz nie zauważył, że lica ukochanej przybrały barwę pistacji, a z ust jej ułała się piątkowa zawartość.

– I jak się czujesz? – kontynuował pozbawione sensu pytania, ponieważ uwalana tapicerka świadczyła, że Jagoda czuje się z pewnością źle. – Tak sądzę – odpowiedział sobie Janusz i docisnął pedał gazu.

Parę minut później z samochodu produkcji niemieckiej, koloru czarnego, który zatrzymał się na stacji benzynowej, nieśpiesznie wysiadł wysoki jegomość ubrany w czarny płaszcz typu dyplomatka i robioną ręcznie na drutach (dla synka dziergam, dla Januszka) czapkę wełnianą z nausznikami. Mężczyzna wolnym krokiem przeszedł przed maską pojazdu. Jego twarz nie wyrażała niczego, przy czym wyraz jej był wyćwiczony w trakcie pożycia z trzema byłymi już żonami. Mężczyzna otworzył boczne drzwi. Z miejsca dla samobójcy wygramoliła się i ledwie złapała pion niebieska na twarzy blondynka. Przód jej różowego wełnianego płaszcza nosił wyraźne ślady choroby lokomocyjnej, a sama blondynka, trzymając się uchylonych drzwi, próbowała zamienić je na ramiona mężczyzny w dyplomatce. Ten, któremu

zaistniała sytuacja przywołała w pamięci fakt sprzed ponad ćwierć wieku, kiedy to zmieniał córce pieluchy czy wycierał z koszuli ulaną przez niemowlę treść, stanowczo powstrzymał kobietę przed przywarciem do niego.

– Idź się umyj, czy coś – powiedział.

Dał kobiecie banknot dychę i zawrócił do samochodu.

Blondynka w brudnym różu wzięła banknot i słaniając się na nogach, weszła do budynku stacji. Zabawiła tam około kwadransa i powróciła na swoje miejsce z zakupioną za wręczoną gotówkę paczką chusteczek nawilżających i wodą niegazowaną.

– I jak się czujesz? – spytał Janusz i wciągnął powietrze.

Z tego, co pamiętał, pieluchy śmierdziały jeszcze bardziej.

Na Wolę zajechali po ponad godzinie, z czego dobre pół zajął im pobyt na stacji benzynowej i wachlowanie się chorej paczką chusteczek przy otwartym oknie. Janusz był głodny, bardzo głodny, więc zachowanie Jagody uznał za typowo kobiecą niezaplanowaną akcję, do której musiał się odnieść, na którą musiał zareagować i po której najchętniej wsadziłby ukochaną pod szlauch z wodą.

Ponieważ jednak miał już trzy żony i wiedział, że czasami lepiej nie mówić, a tym bardziej nie robić nic, zaparkował pod domem, raz jeszcze tego wieczoru przemaszerował przed maską lśniącego metalicznie samochodu produkcji niemieckiej, podał Jagodzie ramię, przystawił jej do ust butelkę z wodą i nakazał stać i czekać. Z bagażnika wytaszczył walizkę, którą Jagoda spakowała na krótki pobyt. Przez głowę przemknęła mu myśl o wadze bagażu. Ozeeeeż ty...! Co pomyślał, to pomyślał. Władczo wskazał Jagodzie drzwi do klatki schodowej i jednocześnie dodając jej otuchy oraz motywując do ruchu, popchnął delikatnie.

– Raz-dwa – powiedział, wystukał kod domofonu i otworzył drzwi.

Mieszkanie rodziców Janusza znajdowało się na drugim piętrze. Windy nie było, ponieważ myśl architektoniczna epoki socrealizmu nie przewidywała w blokach czteropiętrowych takich zbytkownych rozwiązań, jak wyciąg. Janusz, którego głód i długie nogi same poprowadziły do celu, przed drzwiami rodziców zorientował się, że nie ma Jagody. Spojrzał przez balustradę.

Szła wolno. Noga za nogą. Co chwila przystawała i chwytła się poręczy.

Tego dnia raczej nie przeżyję, myślała Jagoda. Nie przeżyję do tego stopnia, że w konsekwencji do końca życia będę parzyła matce staruszce cienkie kakao. Za oknem od miesięcy deszcz. Matce rośnie bielmo na oczach. Wizytę u lekarza ma wyznaczoną za dwa lata.

Ostatkiem sił Jagoda wdrapała się po schodach i próbując opanować zawroty głowy, oparła się o ramię Janusza. Za chwilę pozna przyszłych teściów. Jak Bóg da, przyszłych szybciej niż później. Była zdenerwowana, brudna i odpychająca nawet dla samej siebie. Marzyła o kąpieli, gorącej herbacie i ciepłym łóżku. Małżeństwa jej się zachciało! No to proszę. Wszystko ma swoją cenę.

Jagoda spojrzała na ciężkie drewniane drzwi z wypisaną kredą oznaką żarliwej wiary: „K+”. Pozostałych dwóch królów musiał zapewne zetrzeć listonosz, stary komunista.

Pod wybrakowanym napisem znajdował się wielki niczym młyńskie koło otwór wizjera.

Serce waliło Jagodzie mocno. Albo żołądek. Lepiej nie dociekać.

Janusz wyciągnął z kieszeni klucze, ale nim zdążył zbliżyć rękę do zamka, drzwi się otworzyły.

Ściśle mówiąc, drzwi zostały gwałtownie otwarte przez ubraną w jaskraworóżową podomkę farbowaną blondynkę z odrostami i kwaśnym uśmiechem. Na stopach miała haluksy oraz różowy obdrapany lakier na paznokciach.

– Co tak późno? – spytała ze złością. – Ile można na was czekać?

– Korki były – odparł potulnie Janusz i ucałował mamusię w oba policzki. – Co słychać? – zapytał.

– Co może być słychać? Stara jestem, mam siedemdziesiąt kilka lat, prawie sto! A na stare lata spokoju nie mam, wszystko przez twojego ojca! Upieprzył mi całą kuchnię, bo chciał tobie dogodzić! Połudwiczki wieprzowe, proszę państwa, dusi! Mnie dusi, jad mi wlewa, a mięso twarde jak podeszwa! Stary cap! Ojciec, nie wieprzowina. Ile masz lat? – spytała mamusia zniecka Jagodę.

– Trzydzieści cztery. Jestem Jagoda.

– Czarna Jagoda? Bardzo dobrze! – Mamusi Janusza wyraźnie przebiegł

przez głowę plan. – Jutro rano wstaniesz, posprzątasz kuchnię, obierzesz ziemniaki, ugotujesz i zmielisz. Zrobisz kopytka. Wiesz, co to kopytka? Pewnie nie umiesz? – zapytała z nadzieją.

Jagodę zatkało. Myślała, że niewiele w życiu potrafi ją już zaskoczyć, a jednak. Różowe haluksy najwyraźniej miały ciekawą, ba, niebanalną, osobowość.

– Janusz... – szepnęła Jagoda i złapała syna swojej matki za rękę. I myśląc o dyktowanych przez panią Irenę przepisach, skłamała z przekonaniem: – Umiem. Babcia mnie nauczyła.

Mamusia Janusza spojrzała podejrzliwie spode łba. Musi być zdesperowana, odgadła. Żadna z poprzednich żon nie przejawiała entuzjazmu, gdy chodziło o aktywność w kuchni.

– Kochanie, głośniej mów, co tak szepcesz? – Janusz wyswobodził się z żelaznego uścisku swojej Czarnej Jagody. – Płaszcz odwieś i kieruj się na salony. Zjemy coś z rodzicami – powiedział władczo i wprost z ciemnego korytarza, zakurzonego i zastawionego słoikami pełnymi domowych dżemów, konfitur, przecierów, butelek z domowym sokiem pomidorowym, płóciennymi workami, z których unosił się zapach suszonych grzybów, wszedł do dużego pokoju.

Za nim, posłusznie jak arabska żona, poszła zielona na twarzy Czarna Jagoda.

Duży pokój stanowił najważniejsze miejsce w mieszkaniu, ponieważ w dużym pokoju stał jeden jedyny fotel i duży telewizor. Gdyby obie te rzeczy zmieściły się w małym pokoju, sypialni-gabinecie, zajmowanym przez seniora rodu, wówczas tam byłoby, mówiąc wprost i dosłownie, jądro wydarzeń. Ale że się, do jasnej cholery, nie mieściły, złorzeczył systematycznie senior, musiał fakt ten, po każdej kolejnej próbie przestawiania sprzętów czynionej raz na rok w sylwestra, uznać i uszanować do następnej szampańskiej nocy. W głębi duszy podejrzewał, że przyczyną jego niepowodzeń w osiągnięciu feng shui, to jest ustawieniu wielkiego fotela i telewizora wielkością przypominającego dowolny obraz Matejki, jest ta złośliwa cholera, jego wrzód na dupie i sól w oku, osobista małżonka. Janusz zbliżył się do stojącego przy oknie fotela, zza którego widoczne były boscie stopy obute w męskie pantofle w kratę.

– Tato! Śpisz? – zaryczał nad głową skulonego w fotelu ojca i jednocześnie



ściszył telewizor włączony na kanał ukazujący życie zwierząt i cuda natury.

Starszy pan miał w zwyczaju drzemać przed telewizorem. Najlepsze drzemki ucinał sobie przy obrazach ukazujących ryby, gdyż te mordy się nie darły i można było elegancko przewiesić nogi przez poręcz fotela, wsadzić dłonie pod pachy, odchylić łeb i drzemać w spokoju. Przy dzikich zwierzętach, a nie daj Boże ptactwie, ojciec wybudzał się i nie wiedział, kogo opieprzyć najpierw, telewizor czy żonę.

Dzisiaj było, jak lubił. Od godziny wracał łosoś i ojciec nie pamiętał już, kiedy ostatnio tak spokojnie drzemał.

– Nie śpię. – Obudził się. – Spróbuj zasnąć, mając taką czarownicę na karku.  
– Wskazał nogą za siebie.

Jagoda spojrzała na matkę Janusza.

Matka Janusza spojrzała na Janusza.

– Widzisz, synku, słyszysz, jak mnie ojciec traktuje? Gad jeden! Ojciec, chce ojciec herbaty do ciasta? – spytała nagle zmienionym głosem. – Bo ojciec upiekł ciasto na wasz przyjazd! Szarlotkę! – dodała z dumą i żeby zatrzeć uśmiech, potargała się po odrostach.

– Nie chcę żadnej herbaty! Albo chcę! Ale nie tego twojego syfu z trocin, żadnej torebki z papieru zasranego, tylko sypanej. I wrzącej! A ciasto krój tak, żebyś nie pokruszyła! Zawsze kruszysz! Nie wiem, jak można tak kruszyć, całe ciasto potem do niczego! Sama będziesz żarła okruchy, jak pokruszysz!

– Dzień dobry – wtrąciła Jagoda, której na widok wracającego na ekranie łososa, owszem, zadrzało serce.

*Lax* wraca, a jakże, do żony.

– Raczej dobry wieczór – odparł z przekąsem pan domu i dźwignął się z jękiem z fotela. – No, masz swoje lata. – Spojrzał na wybrankę swojego jedyne. – Pracujesz zawodowo?

– Tak. – Jagoda kiwnęła głową. – Tak. Tak.

– Kobiety nie powinny pracować – wyraził opinię ojciec. – Co najwyżej w czasie wojny. Jak masz na imię?

– Jagoda.

– Powiedz mi, Czarna Jagodo, już cię ta małpa zdążyła przestraszyć?

– Nie, no nie – zdradziła się Jagoda tym samym, że doskonale wie, kto jest tą małpą.

– Akurat – wymamrotał pod nosem ojciec. – Jutro pieczemy drożdżowe. Zrób z samego rana zaczyn, a ja już później dokończę. Pamiętaj, że mleko musi

być letnie, nie gorące! Żeby drożdży nie zabić! Żeby mi całego pieczenia nie spartolić!

– Jutro to panna będzie robiła kopytka, a nie twoje drożdżowe! – wściekła się mamusia. – Sama powiedz, co będziesz robiła? – Potencjalna teściowa spojrzała wyczekująco na Jagodę.

– Wszystkim pomogę – zachowała się Jagoda. – Wstanę z samego rana.

– Rozczyn. Najpierw zrobisz rozczyn. Zrobisz rozczyn, a potem możecie być lepić – zdecydował senior.

O Jezusiekochany! – pomyślała Jagoda. Jezusiekochany! – powtórzyła w myślach. Za oknem wichura. Głucha matka czeka na filiżankę kakao. Nie słyszy płaczu swojej podstarzałej córki Jagody.

Janusz ani drgnął. Zasiadł na podsunętym przez matkę, wyściełanym aksamitem antycznym krześle, wsparł się łokciami na okrągłym blacie ciemnego drewnianego stołu i szepnął rozmarzony:

– Zjadłbym coś dobrego.

– Południczkę! – Ojciec ruszył truchcikiem do kuchni.

– Mojego żurku! – Matka wepchnęła się przed małżonka i pierwsza dobiegła do kuchni.

– Już odgrzewamy! – wykrzyknęli jednocześnie w stronę pokoju.

– Jak, kochanie, wszystko dobrze? – spytał Janusz i pogłaskał Jagodę po policzku.

– Oczywiście. Rodzice są bardzo mili – odparła.

– Oczywiście – przytaknął Janusz. – A jak się czujesz?

Z kuchni dobiegał trzask pokrywek, stukot chochli o garnek, szcęk zamykanych i otwieranych drzwi, najwyraźniej starej lodówki, szuranie kapci ojca i stukot pantofli oddanej małżonki. Przede wszystkim zaś z kuchni dobiegały mało cenzuralne odezwy ojca do matki oraz jej próby dorównania partnerowi – nastąp się, gropo jedna, paszoł won, capie jeden, nie wchodź mi pod nogi z tym garem, nie z garem, tylko z wazą, gównu nie z wazą, w życiu wazy na oczy nie widziałas, do dziury w podłodze byś srała, gdyby nie ja, nogi ci śmierdzą i wąsy!

– Januszku... – odważyła się spytać Jagoda. – Czy rodzice mają jakiś problem?

– Dlaczego? Siebie mają.

– Ta ich komunikacja... – dopytywała Jagoda ostrożnie – ...jest dosyć osobliwa, czyż nie?

– Teraz to oni sobie piją z dzióbków. Musiałabyś ich zobaczyć kilka lat wcześniej.

– Aha. Rozumiem.

– Janino! – dał się słyszeć krzyk ojca. – Janino! Oddaj mi mój nóż!

– Niczego ci nie oddam! Nóż jest mój! Sama kupiłam na pokazie! I powiem ci więcej: ten nóż to jedyna rzecz w tym domu, która nie jest tępą! Daj mi spokój! Wynoś się z kuchni i nie denerwuj mnie! Bierz swoje gumiate polędvice i sio! Nakarm swoje Animal Planet!

– Dlaczego zaraz problem? – dopytywał Janusz, chłonąc smakowite zapachy. Był już naprawdę głodny. Trzeba będzie z Jagodą poważnie porozmawiać. – Co z gotowaniem? Terminu dotrzymasz?

– Gumiasta? Gumiasta to ty jesteś! Z grzeczności nie powiem gdzie!

– Cham! – odszczeknęła się małżonka, wnosząc wazę pełną parującego żurku.

Postawiła wazę na stole, wyciągnęła z regału dwa głębokie talerze i dwie wielkie posrebrzane łyżki. Starannie postawiła talerz, ułożyła łyżkę przed synem i porwana miłością, ucałowała go w jeden z nielicznych loków.

– Proszę – powiedziała do Jagody, podając jej do ręki talerz, i pogładziła ramię swojego ślicznego, ukochanego, jedyne synka, syneczka. Co on taki wychudzony? – Januszku, czy ty dojadasz? Bo tak się zapadłeś w sobie. Pokaż się. Koszulę podciągnij! No dobrze, po obiedzie. Nic się nie martw. Odkarmię cię. Żurek pyszny, domowy z kiełbaską, z jajkiem. Już ci mamusia nalewa pysznego żurku. Zaraz kolorów dostaniesz. – Matka nalewała zupę i badawczo przyglądała się Jagodzie. Nic dziwnego, że jej dziecko zostało anemikiem. Jak się chce być damą biurową i tyłka nie ruszać do prawdziwej roboty, to tak to wygląda. Z Januszka została sama skóra i kości. Błady. Boże. A może to tylko na chwilę ta Jagoda, może to nic poważnego? – Jedz, jedz, kochany. – Głaskała Janusza po skroniach. – Ty też jedz. Nalej sobie i jedz. Nie ma na co czekać – z niechęcią zwróciła się do Jagody. Niech się uczy, gdzie jest miejsce kobiety. Oj, będą kłopoty. Oj, będą. Będą! – No co, nie jesz?

– Tak, już, oczywiście. – Jagoda spieszyła się nie na żarty i chlusnęła chochlą żurku do talerza.

Wzięła posrebrzaną łyżkę do ręki i zamieszała w gęstej od mąki zupie. Na wierzch wypłynęła tłusciutka biała kiełbasa.

Ręka Janiny zawisała z pieśczołą nad głową jej jedyneęo.

– A niech to! – zakłęła matka i truchcikiem pobieęła do kuchni. – Śmietana! Zapomniałabym o śmietanie! – Nie uprzedzając nikogo, chlupnęła zdrowo osiemnastoprocentowego wyrobu mlecznego do talerzy wychudzoneęo syna i, daj Boęe, żeby nie, przyszłej synowej.

– O, pycha! – ucieszył się Janusz.

– O Jezu... – załamała się Jagoda na myśl o kaloriach i jeszcze tłustszej zawieszinie, która mętnie spoczywała w talerzu.

– Co mówiłaś? – zacieęawiła się tleniona blondynka.

– Nic, nic, już jem.

Na dowód swoich słów Jagoda przegarnęła tłustą śmietanę na brzeg talerza i zaczerpnęła zupełę wiekową łyżką. Żurek smakował kiełbasą, majerankiem i świeżym czosnkiem. Od czasów, kiedy Jagoda została paryżanką, gdyż można być paryżanką, gdziekolwiek się jest, nie miała w gębie nic równie tłustego i niestrawnego, nie licząc kawałka kaszanki, którą Maniek czarował mamusię.

Janina zacisnęła pasek podomki i przeniosła wzrok z czubka ukochanej głowy na szkodnika i pasożyta dręcącego jej syna. Co tak gmera w talerzu, hrabianka jedna?

– Dobry? – Tleniony blond oczekiwał pochwał.

– Bardzo dobry. – Jagoda hamowała mdłości. – W życiu takiego nie jadłam.

– To czemu tak wolno jesz? – dopytywała Janina. – Szybko trzeba jeść, a nie czas tracić. Widać, że miałaś w życiu za dużo czasu.

– O, zaczyna się! – ucieszył się ojciec. – No, powiedz coś jeszcze, kobieto, wylej jad, ulej zółci. Zostaw, panna, ten żurek i weź mięsa. Błada jesteś jak śmierć.

– Dziękuję, ale nie mogę już. Nie jem tyle wieczorem. Właściwie to nic nie jem – wyznała odważnie Jagoda.

– Nie gadaj głupot, tylko mięsa spróbuj! – Pan domu nie tolerował sprzeciwu. – Raz-dwa – rzekł i pacnął kawałkiem mięsa na talerz. – No, masz, jedz i nie marudź. – Podsunął Jagodzie. – A ty, synku?

– Zaraz, tato – odparł syn. – Jeszcze jeden talerzyk żurku i biorę się za mięso. Jagody nie zmuszajcie. Chorowała po drodze.

– Rzygałaś? – Janina uniosła brwi. – Masz mdłości?

– Pierworódka? W tym wieku? Będą kleszcze. – Senior ocenił żującą mięso Czarną Jagodę.

– Kto rodzi? – zapytała ciężarna. – Januszku, zjedz moje mięso. Wszystkich

państwa bardzo przepraszam, ale więcej nie mogę. – Jagoda odsunęła talerz z ledwie napoczętą polędwicą. – Bardzo przepraszam, ale muszę się udać.

I zaciskając nogi i usta, udała się dokładnie tam, gdzie trzeba.

W jednym z trzech pokoiów urządzonych antykami, to jest meblami dziedzicznymi zapewne nie tylko po rodzinie, ale i po znajomych, znajdowała się sypialnia syna.

Bez względu na fakt, że syn nosił już na plecach piąty krzyżyk, a dziecięce kędziory dawno, dawno zostały wyparte przez łyse placki, dla matki zawsze był i będzie ukochanym dzieckiem. Najmądrzejszym, najpiękniejszym. Silnym i wrażliwym. Mocnym i słabym. To ostanie, to jeśli chodzi o kobiety, przeżywała Janina Matelska.

Wyraz matczynej miłości objawiał się nie tylko w przygotowanym przysmaku Januszka, żurku z kiełbasą i jajkiem, ale także w urządzonej ze smakiem sypialni synka.

Większość pokoju o powierzchni około dziesięciu metrów kwadratowych zajmowało wiekowe drewniane łóżko. Było ono tak wielkie, że z całego pokoju pozostał tylko wąski pasek podłogi. Od strony drzwi kawałek wystającej brązowej wykładziny dywanowej wąską ścieżką prowadził do lewego rogu łóżka. W tym miejscu należało skrócić, jeśli chciało się podejść do okna bądź położyć z drugiej strony łóżka. Iść trzeba było ostrożnie, o czym za późno przekonała się Jagoda, za wcześnie wykonując skręt w lewo i tłukąc boleśnie paluchem o kant ramy.

O kurwa! – pomyślała i zbladła.

– Łóżko było specjalnie robione dla Januszka – wyjaśnił tleniony potwór, który uznał, że na własne oczy musi zobaczyć, jak obca kobieta, w dodatku dużo młodsza od syna podfruwajka, pakuje się jej Januszkowi do łóżka. Na szczęście, dzięki ci, Boże, Czarna Jagoda grzmotnęła się w stopę. Być może nawet doszło do pęknięcia kości. Kryjąc uśmiech, Janina z zaciętym wyrazem twarzy znikła na moment, po czym wróciła z bielizną pościelową. – Powleczone! – rozkazała Jagodzie masującej bolącą stopę i wcisnęła jej do rąk komplet poszewek i prześcieradło. – Januszek lubi świeżutką pościel. Zawsze mu sama piorę i prasuję, starannie, żeby zagniotków nie było. Będiesz pamiętać? – rzuciła i udała się w stronę salonu.

– Bez zagniotków? Będę – wyszeptwała przez łyżę bólu Jagoda i poczęła się zastanawiać, o co tlenionej matronie chodzi z tymi zagniotkami. Trzeba będzie sprawdzić w Internecie.

Za jej panieńskich czasów sprawami prania i prasowania zajmowała się mamusia. A mamusia, żeby nie tracić zbędnego czasu, którego potrzebowała dużo na uprawianie ogródka rosnącego na grobie męża nieboszczyka, dawno już wprowadziła komplety z kory, praktycznej, pogniecionej bawełny, która nie wymagała żelazka.

Oslabiona po kolejnym ataku choroby Jagoda spojrzała na Janusza, ale ten nie wydawał się niczym zdziwiony. Bez słowa zdjął buty, spodnie oraz koszulę i w samych tylko spodenkach i skarpetkach udał się dokonać wieczornej toalety, to jest oddać mocz i umyć ręce.

Wciąż masując stopę, Jagoda rozejrzała się po sypialni. Na ścianie, na której znajdowały się drzwi, stał niski stolik zastawiony licznymi zakurzonymi przedmiotami. Były tam takie cudenka, jak plastikowa lalka-Murzynek, pieprzniczka i solniczka, rząd słoiczków z grzybkami marynowanymi, opakowanie brzytwy oraz zgrzewka kremu Nivea. Nad zastawionym stolikiem wisiała poszarzała tafla lustra w drewnianych ramach. W jego górnym prawym rogu tkwiło ślubne zdjęcie Janusza z włosami i pierwszą małżonką. Zdjęć z kolejnymi ślubnymi nie było, ponieważ kolejnych żon matka Janusza nie uznawała. Po pierwsze, dlatego że nie dały Januszkowi ani dziecka, ani domowego jedzenia, i chyba porządnie też mu nie dały, nakręcała się matka. Na przeciwległym rogu lustra dyndała blond peruka. W zestawie ze ślubnym zdjęciem blond włosy wyglądały wymownie – jak skalp byłej żony.

Dla Januszka? – zastanowiła się Jagoda, gładząc sztuczne włosy. Chociaż, jeśli chodzi o matki, nigdy nic nie wiadomo...

Janusz wszedł do pokoju akurat wtedy, kiedy Jagoda przymierzała blond grzywkę do zdjęcia ukochanego. Wszedł wolnym krokiem, tym razem już bez skarpetek, bowiem zdecydował się umyć nogi.

– I jak się czujesz? – zapytał dawny cherubin. I nie czekając na odpowiedź, dodał: – Pogram trochę.

I z pełnym brzuchem, talerzykiem z kawałkiem pachnącej cynamonem szarlotki („synku, zjedz coś jeszcze, no, zjedz, dla zdrowia, nie dla przyjemności”) otworzył laptopa, by już za chwilę znaleźć się w świecie szarad, łamigłówek oraz kilku idiotów, którym zdawało się, że potrafią grać w sudoku.

O piątej nad ranem Jagoda, która od tygodni gorliwie kontynuowała naukę

gotowania, wspomagając się dyktowaną do telefonu przez panią Irenę tajemną wiedzą, książkami kucharskimi zabranymi z panińskiego domu oraz niezgłębianymi zasobami sieci, po cichutku sięgnęła po leżącego na nocnej szafeczce służbowego smartfona. Wpisała pin i wystukała dwa słowa: „ciasto drożdżowe”.

Wyszukiwarka gorliwie zaproponowała:

ciasto drożdżowe,  
ciasto drożdżowe na noc, wyrabiane,  
ciasto drożdżowe pyszne,  
ciasto na pizzę,  
ciasto drożdżowe z kruszonką,  
ciasto drożdżowe ze śliwkami.

Jagoda powiększyła obraz na ekranie telefonu i odruchowo spojrzała na śpiącego Janusza.

Przepisów na ciasto drożdżowe było ponad siedemdziesiąt tysięcy.

Za jakąś godzinę Jagoda powinna znaleźć się w kuchni, przygotować zaczyn, obrać ziemniaki, ugotować je i zrobić kopytka, i cholera wie, co jeszcze. Spokojnie, spokojnie, Jagodę znowu ogarnęły mdłości. Połówka jednego okna zabita jest dyktą. Jagoda rozciera matce staruszce zimne palce u stóp. Na dnie pudełka została resztką kakao. Następnego opakowania może już nie być...

Jagoda przejechała kursorem po wynikach zaproponowanych przez zbawienną sieć i wybrała „łatwe ciasto drożdżowe” zamieszczone na stronie [rodzinnesmaki.com](http://rodzinnesmaki.com). Ponownie spojrzała na śpiącą obok niej głowę i wiedzioną nieodgadnioną siłą, przeżegnała się.

Z górnej belki strony internetowej uśmiechała się szczupła twarz ostrzyżonej na jeża blondynki. Pod zdjęciem widniało motto: „Gotowanie, moje życie”.

Zaintrygowana górnolotnym przesłaniem, miast skierować wzrok ku kompozycji drożdży, jajek i mąki, kliknęła w zakładkę „O mnie”.

O godzinie piątej dwadzieścia, po kwadransie czytania w kółko niedługiego, acz mocnego w treści wpisu autorki imieniem Marcelina, Jagoda dowiedziała się, że praktycznie od samego urodzenia jest zabijana, względnie zabija się sama. Tak, jedzeniem.

Patrząc na swoje blade dłonie i jasną skórę, raz po raz czytała groźnie brzmiące zdania Marceliny.

„Jesteś tym, co jesz. Spójrz na siebie. Jak wyglądasz? Czy jesteś radośnie strzelającym ku promieniom słońca szczypiorem o orzeźwiającym smaku, czy

raczej ziemniaczaną bulwą schowaną w glebie? Twardą i ziemistą. Czy Twoje włosy i paznokcie lśnią, czy są matowe i łamliwe?”.

Jagoda oderwała oczy od ekranu i po raz kolejny spojrzała na ukochanego. Marcelina, widząc łyse placki, zapewne uznałaby, że Janusz jest już jedną nogą w grobie.

Włosów, nawet tych łamliwych czy wypadających, Janusz nie miał zbyt wiele.

„Ja też byłam taka jak Ty”, grzmiała Marcelina do struchlałej Jagody. „Niezdrowa, anemiczna, ospała, z wiecznymi wzdęciami, zatwardzeniami lub odwrotnie. Pracowałam w korporacji po piętnaście godzin na dobę, jadłam byle co, zupy instant, słodyczne, rozgotowane kluski z pracowniczej stołówki, pod szumną nazwą spaghetti à la Italia. Przegryzałam chipsami, popijałam colą albo – o zgrozo! – napojami energetycznymi. Nie musisz iść tą drogą! Rzuć korporację, zadbaj o siebie, nakarm swoje wewnętrzne ja oraz ciało”.

Jagoda odchyliła kołdrę. Zrobiło jej się gorąco. Skąd ta Marcelina wie o jej zatwardzeniach? Zaraz, zaraz, nic nie wie, wie tylko mamusia. I czy pracownik korporacji nie może zdrowo jeść? Czy jedno wyklucza drugie? Czy trzeba będzie rzucić pracę dla Szweda na rzecz zdrowej marchwi?

„Dasz radę!”, kontynuowała Marcelina. „Wybierz wolność. Wybierz zdrowie! To nieprawda, że tak trudno zadbać o zdrowe jedzenie”, dowodziła blogerka. „Wystarczy przeszukać Internet, porozmawiać z dostawcami z bazarków, poszukać lokalnych producentów, przygotować listę podstawowych składników, które powinny znaleźć się w codziennej diecie, wstać odrobinę wcześniej w sobotę, udać się na giełdę, bazar, na wieś, zakupić produkty i spałaszować je ze smakiem, jak najmniej przetworzone, na sobotnie śniadanie”.

Marcelina podawała nawet adresy zaufanych producentów serów, wędlin, hodowców kur, jajek, pietruszki, buraków, szpinaku. Niestety, nie uzupełniła wiadomości o sobie, czym się teraz zajmuje i skąd czerpie środki na swoją wolność i sałatę bez pestycydów.

„Weź odpowiedzialność za życie i zdrowie! Zadbaj o swoich najbliższych!”.

Mdłości były coraz większe. Jagoda musnęła delikatnie łysą część Januszka.

Czy uda jej się odbudować jego owłosienie? Czy uda jej się wstawać co sobota o piątej rano i jechać do przykładowej Baniochy po kanekę mleka i kopę jaj? Czy uda jej się rzucić korporację, skierować swoje myśli do wnętrza oraz zewnątrz, którym dostarczać będzie bujnych plonów rodzimej ziemi?



Około szóstej Jagoda wymknęła się z sypialni i udała do kuchni. Pragnęła sprawdzić, czy rodzice Janusza również zabijają siebie i rodzinę jajkami z supermarketów, czy może, daj Boże, mają jakimś cudem prawdziwie wiejskie, od swobodnie chadzających kur.

A mleko? Skąd biorą mleko? Czy pijają bielone paskudztwo? Czy jedzą wypiekane na miejscu przez przekłete hipermarkety watowate bułki, czy kupują za pół emerytury wypiekany chleb bio na zakwasie? Czy wyrabiają masło? Skąd biorą warzywa na zupę? A kurczak? Czy farbowana blond hetera ma świadomość zbawiennego dla zdrowia spożycia kurczaka zagrodowego?

Jagoda uchyliła drzwi lodówki.

Oczom jej ukazały się zapchane po brzegi półki domowej chłodni. Były tam w zadziwiającej liczbie tacki z surowym mięsem, z kością lub mielonym (zapewne to z kością było przeznaczone dla syna posiadającego jeszcze własne uzębienie). Były opatrzone logo supermarketu sery żółte, twarogi, kefiry. Na dolnych półkach królowały opakowania jajek fermowych w rozmiarze XXL. Gigantyczne jaja pochodziły ponoć od kur z terenów zielonych pod Warszawą. Jagoda nie była pewna, czy kura fermowa ma świadomość terenów zielonych.

Wzięła do ręki opakowanie sera żółtego. Jasnożółte plasterki przypominały wyglądem kartki z notesu. Matowe i cienkie. Jagoda poobracała w dłoniach paczkę nabiału i przeczytała skład. Ser żółty wyrobiony został z sera oraz różnego rodzaju E. Datę spożycia producent zaplanował na rok naprzód. Z kefirem rzecz nie miała się lepiej. Miała się nawet gorzej. Kefir nie składał się z mleka. Składał się ze wszystkiego i choć być może nie zabijał na miejscu, mleka w nim nie było.

Na widok tacek z mięsem aż zatrzęsała się z obrzydzenia. Z daleka widać było, że pory są duże, co świadczyło o szprycowaniu ich wodą i substancjami chemicznymi. Głośno oddychając, wzięła do rąk mieszankę oleju z wodą, czyli mix maślany.

– Ohyda – powiedziała na głos.

Drżącą ręką sięgnęła do chlebaka.

– Zaciążyła, jak nic – szepnęła do męża Janina i poprawiła lokówkę spinającą tlenioną grzywkę. Stali oboje za futryną, niewidziani i niesłyszani przez wstrząśniętą odkryciem zawartości lodówki Jagodę. – Zachowuje się

typowo dla brzemiennej. Buszuje po lodówce, obwąchuje jedzenie. Chlipie. Widziałeś, jak ją od twarogu odrzuciło? Ja takich kaprysów ani mdłości nie miałam.

– Mięsa nawet nie wyjęła. Musi być trzeci miesiąc. Udał mi się syn, nie ma co. Dziadkiem mógłby być, a miał siłę wleźć na czterdziestkę.

– Ty jak coś powiesz, ty jak coś powiesz! – Janina straciła panowanie nad sobą, przez co omal nie straciła lokówki.

– O Jezu! – Jagodie wypadł z ręki chleb pszenny na drożdżach. – O Boże, przepraszam, obudziłam państwa?

– Nie, panna, a jakże. Kto normalny spałby o piątej rano? – spytała z przekąsem matrona.

– Zamknij się, wiedźmo – zgasił żonę senior rodu. – I tak nie śpisz, tylko czyhasz, podsłuchujesz, kto wstał, kto wyszedł, kto przyszedł. Gestapo.

– Stary pierniku jeden! Czy ty rozumiesz znaczenie słów? Jak ty do mnie mówisz, zbrodniarzu? – wykrzyknęła oburzona ciężarem obelgi Janina i nagle, jakby ktoś ją huknął w głowę i przestawił percepcję, zmienionym na przymilny głosem spytała: – Ojciec, a chce ojciec herbatki czy mleka?

– Jeszcze nie postanowiłem – odparł tatuś.

– Idź się ubierz, panna – rozkazała mamusia Januszka. – Nie ma co dnia marnować.

– Ale ja się jeszcze nie myłam – odparła nieśmiało Jagoda.

– To na co czekasz? Nie ma na co czekać. Już niedługo będziesz się wolnym czasem cieszyła – dodała wymownie matka i spojrzała na nierozumiejącą jej brzemiennego przekazu Jagodę. – Idź. Kopytka trzeba robić. Ciasto trzeba upiec. Posprzątać trzeba. Do piwnicy zejść trzeba. Kwiatki przesadzić trzeba. Zakupy zrobić trzeba. Poprasować. Poprać. Tylko cicho! Tylko mi dziecka nie obudź!

W drodze powrotnej Jagoda była milcząca i zamyślona. Januszowi to specjalnie nie przeszkadzało. Po dwudniowym obżarstwie i licznych turniejach sudoku rozegranych online, z wielkimi torbami wypchanymi jedzeniem, z chęcią wracał do domu. Z ulgą przyjął fakt, że oblubienica zapadła się w fotel dla samobójcy i gada do siebie pod nosem.

Niespodziewany obóz pracy w domu potencjalnych teściów sprawił, że w głowie Jagody zakiełkowała jedna przejmująca i rewolucyjna myśl: Czy tak

to ma wyglądać? Czy naprawdę o to chodziło? I żeby stłumić tego diabła, chochlika, sięgnęła do torebki po chusteczkę. Zamiast chusteczki wyjęła jednak nowiutkie opakowanie kremu Nivea. Krem ten, podarunek drogi sercu i od serca, ofiarowała jej ujęta nie tyle umiejętnościami, co dobrymi chęciami różowa podomka.

– Masz tu, kochana – powiedziała. – Krem Nivea jest dobry na wszystko. Ja się nim smaruję od lat i wciąż jestem jak dziewczica.

# Własne gniazdo

Mąż i Kark siedzieli w salonie. Objedzeni do granic możliwości spoglądali na ogryzione kości z indyka-mamuta.

– A może by tak... – rozmarzył się Kark na myśl o dokładce zupy, ale Mąż go uciszył.

– Zamknij się. Słyszysz, co mówią?

Kark spojrział na ekran. Na trawie leżały dwa lwy. Lwica patrzyła w niebo. Lew leniwie machał ogonem. Wstał nieśpiesznie i podszedł do samicy. Zawstydzony cudem natury Kark przymknął oczy.

– Mówią – powiedział Mąż – że mogą tak kopulować czterdzieści razy na dzień. A co ważniejsze, chłopie, robią to i nie muszą brać kredytu na mieszkanie.

Lata temu walentynki roku pańskiego dwa tysiące z kawałkiem emanujące świeżością Jagoda i Beata, będące teoretycznie u szczytu możliwości intelektualnych, niespełna trzydziestoletnie marzycielki, spędziły w kinie. Nie byłoby w tym nawet nic wyjątkowego. Walentynki można obchodzić gdziekolwiek, z każdym, kogo się co najmniej lubi, a Jagoda z Beatą pały do siebie miłością wielką i bezwarunkową.

Rzecz w tym, że owo święto Kupidyna spędziły w kinie, bynajmniej nie na seansie lekkiej i słodkiej niczym wata cukrowa komedii romantycznej. Walentynki spędziły w kinie specjalizującym się w repertuarze filmów, podczas których trzeba myśleć i które zapadają w pamięć, a wspomnienie ich potrafi przyjść we śnie i na dobre wybudzić, powodując potok łez na panięńską poduszkę.

Wieczór ten miłosny świętowały w kinie Iluzjon, w towarzystwie pracowników ambasady rosyjskiej, rosyjskich biznesmenów oraz zdecydowanie rosyjskich bab, które specjalnie tego dnia zeszły wcześniej

z bazaru, by podczas niemal trzygodzinnego seansu filmu *Moskwa nie wierzy łzom* śledzić losy robotnicy Katii.

Po pamiętnym wieczorze i obejrzeniu rozdzierającego serce filmu, smarkając tak samo, jak smarkałyby spowite w futra i futrzane czapki rosyjskie krasawice, poklepywane przez ubranych w niedopinające się na brzuchu grube kozuchy mężczyzn, Jagoda pomyślała, że przyjdzie taki czas, że i ona w walentynkową noc wysmarka się komuś w mankiet.

A że do nieba idą marzenia dziewcząt, kilka lat później w walentynkowy wieczór wyszła Jagoda z teatru nie sama i nie z Beatą. Wyszła w towarzystwie mężczyzny. Własnego mężczyzny. Przy czym nie było ani łez wzruszenia, ani echa wybrzmiewającego katharsis. Jagoda ogarnięta była bezgraniczną rozpaczą, a towarzyszący jej mężczyzna, jakkolwiek ubrany w płaszcz wełniany dopięty na brzuchu, minę miał wyrażającą póki co nic, ale poczekaj, aż mi minie, to porozmawiamy.

Jagoda i Janusz wyszli z teatru w absolutnej ciszy. W wieczór, który dzięki poczynionej przez Jagodę niespodziance w postaci biletów do teatru, miał na wieki zapisać Januszowi w pamięć jako wieczór wyjątkowy i romantyczny. Pewne już było, że zapadnie, ale bynajmniej nie z tych powodów.

Janusz, jak każdy prawdziwy mężczyzna, odznaczał się poczuciem humoru, o ile śmiechy i żarty nie dotyczyły jego. Komedia, na której według Jagody miał się dobrze bawić, sprawiła, że wyszedł z teatru przybity, by nie powiedzieć wściekły. Gdyby palił, zapaliłby już dawno. Ale nie palił. Gdyby Jagoda paliła, wypaliłaby już co najmniej ze dwa papierosy. Ale nie paliła. Przyspieszyła kroku i z bijącym sercem delikatnie wsunęła rękę pod ramię Janusza. Sztuka, która jeszcze tydzień temu, sądząc z opisu, stanowiła doskonałą okazję do spędzenia walentynki, okazała się wyborem tyleż chybionym, ile wyraźnie demaskującym wszelkie obawy i kompleksy Janusza.

– Na kawkę idziemy? – spytała Jagoda głosem czterolatki pytającej o cukielka.

– Darujmy sobie kawę – burknął Janusz. – Późno jest.

I Jagoda, wciskając się szczelniej pod Januszowe ramię, przyspieszyła kroku i spoglądając raz po raz na zastygłą z powstrzymywanej wściekłości twarz ukochanego, zastanawiała się, czy walizkę będzie pakować już dzisiaj i czy to właśnie koniec miłości.

Janusz szedł szybkim krokiem, patrząc przed siebie i nic nie widząc.

W głowie wciąż miał sceny z dopiero co obejrzanego przedstawienia. Może

i nie był znawcą sztuk teatralnych. Może i nie był stałym bywalcem. Ostatni raz oglądał przedstawienie, nie do wiary, dobre trzydzieści lat temu. Szczerze mówiąc, nawet nie pamiętał, na czym był. Pamiętał jedynie, że koleżanka z klasy nie stawiała oporu, a z teatru wyszła w podartych rajstopach. A tu proszę, podarowany bilet na wieczór walentynkowy, bez wiedzy, że w głowie Jagódki roi się słodki plan. Otóż ubrani odświętnie, galowo, ze splecionymi dłońmi mieli siedzieć w ten wyjątkowy wieczór razem, szeptać wzajemnie do uszu czułe słówka, komentować po cichu grę aktorów i rozglądać się, czy oni sami mają widownię dla ich miłości. Po spektaklu Janusz miał otulić ukochaną kaszmirowym płaszczem, złożyć na jej ustach władczy pocałunek i zaproponować dalszą część świątecznego wieczoru. Jakieś małe tête-à-tête w przytulnej kawiarni, miejscu publicznym. Tak, żeby ludzie widzieli. Janusz gładziłby dłoń Jagody, a ona płonęłaby uczuciem i radością. Miały być to pierwsze walentynki od wieków, których nie spędzi z Beatą.

– Nie śmiał się, chociaż to była komedia, i nawet nie wstał w przerwie. Jak przyszedł i usiadł, tak siedział. Głowa pochylona. Widać, że chmurny i gniewny. Jakby coś go zdenerwowało – kwiliła nocą Jagoda w słuchawkę, szukając pocieszenia u pani Ireny.

– To na czym wy byliście? – zdziwiła się wielokrotna mężatka.

Tymczasem Janusz szedł przed siebie i nie widział nic. Co rusz otwierał usta i głośno wypuszczał powietrze. Za każdym razem, widząc parujący obłoczek, Jagoda słabła.

Miała to być komedia.

– Mam tu coś dla ciebie, kochanie – powiedziała kilka dni wcześniej Jagoda, z czarującym uśmiechem wręczając Januszowi kopertę z biletami. – Bardzo zabawna komedia. Na poziomie, ale dowcipna – dodała, jakby jedno wykluczało drugie. – Rozerwiemy się.

– Oczywiście. Bardzo dziękuję. – Janusz ucałował nadstawiony czubek głowy. – A z jakiej to okazji?

– Walentynki.

– Aha – odpowiedział Janusz, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć.

Ostatni raz świętował cokolwiek z własną matką, kiedy to jako mały chłopiec, mając za wzór ojca, głowę rodziny, dał matce laurkę na Dzień Kobiet. Ojciec wręczył bukiet goździków i dał matce dychę, żeby kupiła sobie coś ładnego. Jakieś rajstopy czy coś. Może wazon? Poprzednie trzy żony nie oczekiwały świętowania, upominały się tylko o umowną dychę. Janusz dychę

dawał i spokojnie wracał do swoich krzyżówek. A tu patrzcie, państwo. Taka zmiana pokoleniowa. Walentynki.

– A ty co byś chciała, kochanie?

– A to ci powiem jeszcze – odparła Jagoda. Ci powiem, pomyślała. Nic ci nie powiem, sam zgadniesz, pomyślała zadowolona. Walentynki. Romantyczny wieczór. Doskonała sztuka. Miła kolacja. Żeby już tak było. Codziennie. Na zawsze. Nagłe oświadczyły. Rychły ślub. – Pomyślę i powiem.

I tak, kilka dni później, Janusz, starając się nie myśleć o dwóch kretynkach, które siedziały obok nich i głośno chrupały, aż zmuszony był zwrócić im uwagę, Janusz, który uważał się za człowieka inteligentnego, błyskotliwego, wręcz erudytę posiadającego wiedzę encyklopedyczną, więc Janusz szedł, ciągnąc za sobą przyczynę swojej frustracji. W myślach dokonywał przeglądu gatunków literackich. Pomyślał, że albo świat oszalał, albo z nim nie jest za dobrze, skoro w komedii, na którą zaprosiła go Jagoda, nie zobaczył nic, co skłoniłoby go do najbledszego bodaj uśmiechu. Widział na scenie dramat, i to jakby swój własny, dramat życia. Wydało mu się to wysoce nieestosowne, niewłaściwe i okrutne. A co gorsza, cała sala ryczała ze śmiechu.

Przez dwie godziny, wyłączając antrakt i czekanie na Jagodę stojącą w kolejce do toalety, Janusz uczestniczył w czymś w rodzaju psychodramy. Przy czym doświadczenie było tym dotkliwsze, że się go, do jasnej cholery, nie spodziewał! A już na pewno nie spodziewał się, że coś może go dotknąć. Przez dwie bite godziny patrzył więc Janusz na dramat swego życia grany przez czworo aktorów: dwóch dawnych amantów, aktorkę, która przed ćwierćwieczem grała Ofelię, oraz przez studentkę ostatniego roku szkoły teatralnej, śliczną i świeżą blondynkę. Sztuka nosiła tytuł *Taniec albatrosa* i któż mógł przypuszczać, że będzie to swoisty chichot losu? Ponury żart. Przez ostatnie dwie godziny zdawało się Januszowi, nie, właściwie Janusz był pewien, że ogląda siebie i słyszy siebie, i że to nie czworo aktorów przemawia tekstami francuskiego dramaturga Géraalda Sibleyrasa, a on sam.

Gniew mieszał się ze smutkiem. Wzburzenie z uczuciem zdołowania.

Po pierwsze, do licha, skąd Jagodzie przyszło do łba, do głowy, że sztuka, na którą go zaprosiła, jest komedią? Po drugie (Janusz aż przymknął oczy, a podglądająca go Jagoda omal nie zasłabła, widząc ten wymowny ruch powiek), po drugie, czy jest dla niego szansa, czy jest jakakolwiek szansa na miłość i normalny dom? Z normalną kobietą? A przede wszystkim, czy jest szansa na święty spokój, skoro nawet sztuka nie niesie pocieszenia i obietnic?

Janusz uwolnił prawe ramię z żelaznego uścisku Jagody i wydobyl z kieszeni marynarki zwinięty w rulon program teatralny. Spojrzał w mroku na pomięty zwój. Zachichotał nerwowo, po czym wydał z gardła dziwny dźwięk, coś na granicy śmiechu pomieszanego ze skowytym.

Jagoda zdrętwiała.

Może nie być oświadczyn. Do ślubu może nie dojść.

Do końca życia będzie parzyć matce cienkie kakao i uszczelniać stare okiennice przed wnikającym zimnem.

– Jak to: na czym byliśmy? – odpowiedziała pani Irenie. – Na lekkiej komedii francuskiej. O miłości.

– Gérald Sibleyras – czytał Janusz półgłosem. – Niestrudzony tropiciel współczesnego inteligenta w świecie hasel poprawności politycznej, mód i przepisów na życie, oferowanych przez kolorowe pisemka, tym razem przedstawia nam uciekających przed kryzysem dojrzałego wieku pięćdziesięciolatków. Zoolog zajmujący się gatunkami na wymarcu z o trzydzieści lat młodszą narzeczoną, jego siostra rozwodząca się z powodu zdrady męża i ich przyjaciel żyjący w związku platonicznym, a do tego zagubiona dwudziestolatka stają się bohaterami niezwykłego, pełnego komplikacji i perypetii weekendu. Choć bohaterowie wydają się nam zabawni, to, jak to bywa u tego autora, jakoś dziwnie znajomi.

Jeżeli Jagoda myślała, że podczas spektaklu Janusz się oderwie, to się myliła. Jeśli myślała, że się zrelaksuje, myliła się jeszcze bardziej. Przez cały spektakl Janusz nie odrywał oczu od aktora grającego wzmiankowanego zoologa od gatunków na wymarcu. Z każdą wypowiedzianą frazą, każdym jego gestem Janusz przeżywał upokorzenie, wstyd i (tak, nie będzie się bał i unikał tego banalnego, nadużywanego słowa) żenadę. Janusz widział na scenie siebie. No dobrze, niedawnego siebie. Jeśli tak to wyglądało, jeśli ja tak wyglądałem, uganiam się za świeżym mięsem, to byłem żaloszny, pomyślał i przełknął głośno tę przejmująco smutną myśl. W uszach wciąż brzmiała mu najbardziej dramatyczna kwestia wygłoszona przez ponadpięćdziesięcioletniego mężczyznę – o kobiecie, z którą tworzył, hm, relację i która oddawała sedno sprawy (czyli jak wygląda podstarzały facet i młoda dupa): Judyta! Wystarczy, że włoży dzinsy i trampki i już ma przewagę!

Ale najgorsze były dla Janusza salwy śmiechu, którymi raz po raz wybuchała widownia. Im bardziej główny bohater upokarzał się, mówiąc o tym, jak na



różne sposoby stara się sprostać młodej ukochanej (trzykilogramowe hantle to już był cios w samo ego) i za nią nadażyć, tym bardziej widowia zachłystywała się śmiechem i tym bardziej Janusz czuł, że być może się wygłupił, wiążąc się z młodą dzierlatką.

Nie taką znowuż młodą, pocieszył się słabo. Bez przesady.

Jednak młodszą.

Bez przesady. Nie tak dużo. Zaledwie o szesnaście, a nie, tylko o piętnaście lat. Och, bez przesady! Żadna nowość. Od wieków panny wydawano za starszych, ustabilizowanych społecznie mężczyzn, których pozycja i doświadczenie dawały dziewczęciu, a przede wszystkim jego rodzinie gwarancję, że córuś nie padnie z głodu i będzie miała po co i dla kogo żyć.

Świat jest pełen przykładów takich małżeństw.

Nie trzeba szukać daleko.

Dajmy na to, no, dajmy na to... Janusz szukał w pamięci pozytywnego przykładu.

– W domu się kawy napijesz, kochanie – dodał, wiedząc, jak postępować z kobietami. – Muszę coś jeszcze przygotować do pracy. Mam jutro spotkanie z klientem.

I w czasie kiedy Jagoda kwiliła pani Irenie w słuchawkę, opowiadając o co najmniej chłodnej, jeśli nie wrogiej atmosferze po walentynkowym spektaklu, Janusz, pod pretekstem ulepszania oprogramowania dla najważniejszego klienta, przetrząsał Internet w poszukiwaniu dających otuchę przykładów par trwających w miłości i zgodzie pomimo, często znacznej, różnicy wieku między partnerami.

W chwili kiedy posłuszna radom pani Ireny Jagoda przemykała w tę i we w tę, w tę i we w tę przed oczami, a raczej przed monitorem Januszowego laptopa, wydając z siebie zachęcający pomruk łani w okresie godowym, znacznie starszy obiekt adoracji starał się przetrwać już nie tylko lekką francuską sztukę, ale i mówiące samo za siebie zestawienie przykładów par, którym nie tylko różnica wieku nie pomogła w zbudowaniu szczęśliwego związku.

Jedynym, co mu w tym momencie przyszło na myśl, był przykład starego Boryny i Jagny. Oczami duszy widział rozbuchaną kobitę, jak w trzepoczącej na wietrze spódnicy lata po wiosce. Oczywiście, że bez majtek. Ten związek zakończyła śmierć.

Kolejnych smutnych przykładów niepowodzenia związków partnerów,

których dzieli, a nie łączy różnica wieku, czy wręcz przepaść pokoleniowa, dostarczył Internet, który nie zawodzi nigdy. Chyba że się zawiesza.

Wciąż w garniturze i pod krawatem czytał Janusz dobitne przykłady nieszczęść opisane wątpliwą polszczyzną. I w miarę lektury przekonywał się, że jak świat światem, wstąpienie na drogę małżeńską jest równią pochyłą. A już w przypadku małżonki młodszej zalegalizowanie takiego związku to jak skok na główkę do zbiornika bez wody. Frazę „młodsza żona” można było rozumieć niemal jako „pewne nieszczęście”.

Związać się z młodszą kobietą i wierzyć, że nie wyczyści konta w banku to tak, jakby wejść do klatki z lwem i myśleć, że nie zaryczy, nie zeżre człowieka w całości.

W dodatku pech chciał, że wciąż nie potrafiła gotować.

# Żona młodsza

Zgodnie z ewangeliczną mądrością: szukajcie, a znajdziecie, znalazł Kark dziewczynę czystą, robotną, miłą i niegłupią. O licznych tych zaletach, uzupełnionych modrymi oczami i włosami blond, tak długimi, że kładły się na jej plecach niczym jaki welon, opowiadał Kark Mężowi. Snutą opowieść przerywał, zakąszając domowej roboty ogórkiem kiszonym i chlebem ze smalcem.

Mąż słuchał i słuchał, co i raz spoglądając w stronę małżonki swojej, od zawsze młodszej od niego o lat dziesięć.

Trwogą przejęły go liczne przykłady literackie, które równą miarą mógł przyłożyć do swojego – czyżby szczęśliwego? – pożycia. Paralela między Żoną a Emmą Bovary była wyraźna: początkowo Żona zajmowała się domem, ozdabiała jego wnętrze, gotowała wyszukane potrawy. Początkowo...

I nie pocieszył Męża literacki fakt, iż Walek Gibała potrafił żonę pobić i powlec za włosy po ziemi ani że Młodziakowie byli nowocześni.

– Januszk, Januszk, chciałabym porozmawiać. Posłuchaj, kochanie.

– Po co ten wstęp? Słucham.

Mężczyzna powinien mieć pasję, zdaniem Jagody.

Mężczyzna, który posiada pasję, ma otwarty umysł, nie gnuśnieje intelektualnie, jest pełen życia i energii.

Mężczyzna taki potrafi zająć się sobą i dobrze by było, byłoby najlepiej, gdyby ta pasja pochłaniała go tak bardzo, żeby nie miał za dużo wolnego czasu. Żeby, nie daj Boże, miał czas, żeby szukać dziury w całym i uprzykrzać życie ukochanej kobiecie. A w dodatku miał jeszcze roszczenia i oczekiwania.

Pod tym względem Janusz był mężczyzną idealnym.

Wyjątkowym.

O spektrum zainteresowań szerokim, wciąż żądny, głodny wiedzy i rozrywek intelektualnych, niemniej jednak wierny swojemu sudoku.

Tak, Janusz był sudoku oddany.

Gdyby Ludwik XIV grał w sudoku, mógłby powiedzieć, jak Janusz: „Sudoku to ja”.

Ale chyba nie grał.

Tymczasem dzień do dnia był podobny jak dwie krople wody. Właściwie można powiedzieć, iż od dnia postawienia w przedpokoju Januszowego domu niebieskiej torby z kłopotami Jagody, co oznaczało zasiedlenie, nieustająco trwał jeden dzień. Po pracy Jagoda pędziła do domu, kupując po drodze chrupiące bułki i artykuły na nieparyską i wysokokaloryczną kolację. Zaraz za nią, o ile nie był w delegacji, do domu wpadał główny lokator i gromkim głosem jaskiniowca wykrzykiwał:

– Jagoda, jesteeem w domu! Kolacja!!!

A Jagoda mogłaby przysiąc, że wyraźnie słyszy: *Wilmaaa! I am hoome!* – nawet z takim samym zaśpiewem wyrażającym tę przełomową w życiu rodziny informację, że oto mąż i ojciec wrócił do domu, więc kto żyw niech leci i ręce całuje, obiad podgrzewa, kaptcie podaje. Wydawszy okrzyki rytualne, powitalne, Janusz zrzucił z siebie strój wyjściowy, przebierał się w majty, ewentualnie w coś jeszcze, leciał do swego fotela, rzucając w stronę drepczącej za nim niczym słodki szczeniak Jagody stanowczą prośbę:

– Jajecznic! Kiełbasa na gorąco! A gotowanie jak? Do końca stycznia miałaś się nauczyć. I co? Radzę ci, przemyśl sprawę, pośpiesz się z tym gotowaniem, bo nie sposób jeść na przemian jajecznicę i kiełbasę!

A Jagoda smażyła na przemian jajka i kiełbasę, studiowała blogi i książki kucharskie. Gdyby tylko była taka potrzeba, mogłaby napisać esej o zmianach w kuchni polskiej pod wpływem uwarunkowań historycznych, czasowo ograniczonego dostępu do morza i z tego powodu występujących wahań poziomu spożycia ryb słodkowodnych. Warto w tym miejscu zwrócić uwagę na całkowite zniknięcie raków z polskich stołów, pod względem smaku przewyższających zagraniczne homary.

– Ale, ale – opowiadała Jagoda Beacie – jak to miło, jak wspaniale mieć dla kogo dygać do sklepu, mieć komu podać kolację. Nawet jeśli to zwykła jajecznicca albo pęto smażonej kiełbasy z cebulą.

I jakie uniesienie przeżywa, patrząc na męski profil swojego Janusza, który zagarniał widelcem parującą jajecznicę, zagryzał bułką oklejoną na grubo

zółtym masłem, popijał herbatą z cytryną, cały czas śledząc pilnie najnowsze wydanie miesięcznika „Sudoku” lub dla rozgrzewki, zanim przystąpi do sudoku kinoku, rozwiązując diagramik.

Miała jednak Jagoda refleksje, kiedy patrzyła na grającego Janusza, i przypominały jej się słowa znanych jej kobiet lub słowa listów, które napisały wierne czytelniczki do magazynów kobiecych, że pasja ich mężczyzn to przekleństwo prawdziwe, że życia w domu nie ma, męża nie ma, chłopca nie ma, bo albo swoje hobby uprawia, albo śpi. Ale kiedy Janusz kroił smażoną kiełbasę i delikatnie, żeby kartek nie potłuścić, przewracał strony miesięcznika, to myślała sobie, że te kobiety to chyba przesadzały. A co im hobby własnego męża szkodzi? Zwłaszcza o ile hobby uprawia w domu i można go mieć na oku. I co w tym złego, że jego hobby okazuje się czymś więcej niż pasją (żeby nie zgrzeszyć i nie powiedzieć: sensem życia)? Powodem, dla którego chłop się budzi i z myślą o którym zasypia. Ciągłym wyzwaniem. Przyczyną, dla której jest w stanie jechać w sobotę do centrum handlowego po to tylko, żeby kupić miesięcznik „Sudoku”, spędzić resztę dnia na lekturze, a wieczorem rozegrać turniej. Samemu. Z komputerem bądź z jakimkolwiek innym partnerem czyhającym na podobnego oszołoma od wszelkiego rodzaju szarad umysłowych, wszystko jedno czy z kobietą, czy mężczyzną.

A ileż to, ileż to pasja owa dostarcza emocji! Wystarczy powiedzieć, że przy sudoku kinoku kulturalny i spokojny na co dzień Janusz, w zależności od stopnia wtajemniczenia przeciwników, zamieniał się w ryczącego lwa o plackowato porośniętej grzywie i jeśli nie ryczał, to na pewno kłął rywali, psioczył na nich i nazywał niecenzuralnie. Do najczęstszych epitetów należały słowa, takie jak: „dureń”, „ćwok”, „idiota”, „bałwan”, „kretyn”, „debil”. W przypadku płci pięknej epitet brzmiał najczęściej „głupia cipa”. Podczas gry zespołowej Janusz często stosował inwokację: „O Jezu!”, oraz zwrot bezpośredni: „O kurwa!”.

Zapatrzanie Jagody w profil Janusza, który pochłania smażeninę, jednocześnie studiując podręcznik sudoku, albo mądrzy się na forum graczy, trwało mniej więcej do marca. Do tego czasu uniesiona samym faktem, że jest z mężczyzną, mogłaby znieść o wiele więcej niż kompletnie wyłączony z rzeczywistości, nieobecny duchem powód swojego szczęścia osobistego (nie licząc wyrażanych oczekiwań co do posiłków domowych).

Mogła w kółko ostrzyć komplety zakupionych noży, mogła śmigać

nowoczesnym elektroluksem po trudno dostępnych kątach, prasować na desce tak nowoczesnej, że budową i liczbą diod przypominała bardziej deskę rozdzielczą w statku kosmicznym niż przyrząd do prac domowych. Mogła nawet mieć mięso na tatara w elektrycznej maszynce.

Maszynka nie była tylko zwykłą maszynką.

– Kto bowiem pilnie uczyć się będzie, a i praktykować, ten i kielbasę domową zrobi. Albo kaszanke. Albo pasztecik – delektował się pomysłami na domowe wyroby garmazeryjne Janusz.

I tak mijał dzień za dniem, tydzień za tygodniem i – jasna cholera! – trafiło Jagodę. Niby jest, a go nie ma. Niby razem, a osobno.

Bo jeśli Jagoda uważała, że wie, na czym polega pasja mężczyzny, to nie wiedziała niczego.

Jeśli myślała, że wie, z czego dla swojej pasji mężczyzna jest w stanie zrezygnować, to nie wiedziała niczego.

Jeśli myślała, że jest cokolwiek, ktokolwiek, co mężczyzna może stawiać ponad swoją pasję, to nie wiedziała niczego.

Jeśli myślała, że na temat pasji można pożartować, to się grubo, jeśli nie srodze, myliła.

Jeśli sądziła, że pora posiłków jest czasem jednoczącym partnerów, czasem żartów, rozmów o dniu minionym, dniu nadchodzącym, to myliła się jeszcze bardziej.

Jeśli myślała, że przy posiłku się nie czyta, a jeśli się czyta, to można poprosić o odłożenie gazetki hobbystycznej „Sudoku” i nawiązanie dialogu, to była w błędzie.

Jeśli myślała, że podczas gdy partner gra, można z nim porozmawiać, to...

– Czy możesz nie przeszkadzać? Kochanie?

Jagoda zrozumiała, o czym pisały czytelniczki dostające w ramach nagrody w konkursie „List tygodnia” pocieszenie w postaci kremu na twarz albo flakonu wody toaletowej. Piłka nożna i piłka kopana. W kółko. Na ryby i na ryby. Na całe noce przepada. On i jego gokarty. On i kolejny dron. Życie mężczyzny odmierzone jest cyklami olimpiad i innych mistrzostw świata.

A prawda była prosta jak budowa cepa.

Mężczyzna oddany pasji nie wie, kiedy mija noc i nastaje dzień.

Stało się to boleśnie jasne, kiedy Jagoda w seksownym negliżu, narażając się na wystawienie swych wdzięków sąsiadom z naprzeciwka, próbowała kusić Janusza, paradując niby od niechcenia przez cały pokój. W tę i we w tę.

Ze trzy razy.

– Rozebrałam się do goła – zwierzała się Beacie przez telefon. – A on spytał, czy elektroluks działa. Beata, czy to już koniec? – wpadła w szloch nieszczęśnica.

Ale nieprawdą byłoby rzec, że ukochany gra cały czas. Bywały także chwile, kiedy nie grał. Jednak w chwilach, kiedy nie grał, to albo szukał partnera do gry, albo przypominał sobie, że jest głodny jak wilk, co z kolei przypominało mu o przepytaniu Jagody na temat postępów w kuchni.

– A garnków używasz? Dlaczego nie?!

Grzecznościowo pytał o poziom satysfakcji z używania, stosowania nowoczesnej deski do prasowania i takiejże stacji parowej.

– A odkurzacz jak? Wykorzystujesz wszystkie funkcje? Może byś usunęła roztocza? Co teraz robisz?

Albo pracował, co nie wykluczało rozegrania w tym czasie partyjki.

Albo spał.

Nawet jak srał, to grał.

Albo czytał magazyn.

Albo go z emocji przed turniejem pogoniło i ponownie musiał iść zagrać w sudoku.

– Zamiast się złościć, spróbuj oswoić bestię – poradziła pani Irena. – Spytaj, na czym ta gra polega. Czy jest trudna. Nie zapomnij dodać, że na pewno jest trudna. Spytaj, jak bardzo trudna. I zdziw się, jakiej to inteligencji trzeba, żeby opanować zasady, reguły i grać, grać, wygrywać.

– Kochanie. Chciałabym o coś spytać. – Jagoda przyczała się pod toaletę i podreptała za Januszem, który właśnie opuścił przybytek po szybkiej partyjce sudoku i zasiadł w fotelu do następnej.

– Co tam? Sitek używasz? Jak gotowanie? – pytał nieprzytomnie ukochany, logując się do sensu swojego życia.

– Tak. Raz, ciach. Kochanie. – Jagoda wcisnęła się na kolana Janusza, zasłaniając mu tym samym ekran laptopa.

– Czekaj, chwileczkę. Nie widzisz, że jestem zajęty? – odparł lekko poirytowany Janusz. Za chwilę miał rozegrać partyjkę online i doprawdy nie była to dobra chwila na zawracanie mu głowy. – O co spytać? Co się stało?

– Nic się nie stało. – Jagoda uśmiechnęła się wdzięcznie. – Chciałam o coś spytać. Powiedz mi, na czym polega ta gra – szepnęła namiętym głosem i lekko przygryzła Januszowe ucho. – Powiedz mi wszystko o sudoku. No, nie

daj się prosić – poprosiła Jagoda, a jej oczy przybrały idealnie okrągły kształt, poprzez jaki rysownicy Disneya wyrażali bezbrzeżną naiwność animowanych postaci, bo nie głupotę przecież.

– Teraz musisz wiedzieć? – zdenerwował się Janusz. – No dobrze. W skrócie ci powiem, kochanie. – Bezwiednie przybrał minę doświadczonego życiem kundla Trampa, który mimowolnie ulega wdziękom spanielki Lady. – Otóż tak. W wielkim skrócie. Sudoku wywodzi się z Japonii. Sudoku, czyli *sūji wa dokushin ni kagiru*. Cyfry muszą być pojedyncze. Zobacz, tu jest diagram. – Janusz wskazał palcem na monitor i otworzył jedną z zakładek. – Diagram zbudowany jest z dziewięciu wierszy i kolumn. Czyli kwadrat dziewięć na dziewięć. – Na wszelki wypadek doprecyzował Janusz, widząc rozmaślonie oczy spanielki. – Diagram podzielony jest na dziewięć pogrubionych kwadratów trzy na trzy, zwanych blokami lub kwadratami. Diagram należy wypełnić tak, żeby w każdej kolumnie, każdym wierszu i w każdym pogrubionym kwadracie znalazła się jedna cyfra od jednego do dziewięciu – rozkręcał się Tramp. Gdyby mógł, pomachałby ogonem.

Żadna z poprzednich żon ani razu nie spytała go, na czym polega sudoku. Sudoku było dla nich wrogiem numer jeden. No, może numer dwa, bo miejsce pierwsze nieustająco zajmowała mamusia męża.

– Wystarczy tylko, żebyś przypomniała sobie kwadrat łaciński – przypomniał sobie Janusz prosty sposób przybliżenia zasad sudoku i spojrzał w oczy Lady. – Sudoku działa na zasadzie jego przeciwieństwa. Cyfry nie mogą się powtarzać w żadnym wierszu, kolumnie ani podkwadracie.

– Naturalnie – powtórzyła Lady. – W żadnym wierszu, kolumnie i podkwadracie.

– No widzisz. – Zadowolony Janusz naprędce rozrysował na strzępie gazety planszę sudoku i dla porównania kwadrat łaciński. Zamyślił się, odłożył laptopa na szklany stolik, ukochanej nakazał wstać i usiąść przy stole, a sam podszedł do stojącej na regale drukarki i wyciągnął kilka pustych kartek. – Narysuj trzy plansze. Skup się. Rozwiązesz teraz sudoku metodą pierwszą. Będę ci pomagał – dodał Tramp uspokajająco, widząc panikę w oczach Lady. – Jest kilka metod rozwiązywania sudoku. Zaczнеш od jednej z podstawowych. Musisz znaleźć miejsce, gdzie w obrębie podkwadratu trzy na trzy pasuje dana cyfra. Rozumiesz? Na zasadzie eliminacji rzędów oraz kolumn, w których ta cyfra znajduje się w innych kwadratach. I tak: do pierwszego diagramu cyfrę cztery możesz wpisać wyłącznie w jedno pole



środkowe dolnego kwadratu. Dlaczego?

– Dlaczego? – powtórzyła pytanie Jagoda, przeklinając chwilę, w której spytała Janusza, na czym polega sudoku.

– Bo pozostałe oba rzędy są już zajęte – wyjaśnił cierpliwie mistrz. – A skoro znasz już podstawy, to powiedz, co w tym miejscu byłoby w kwadracie łacińskim?

Zbliżała się druga w nocy. Janusz z rozpalonymi policzkami i prawdziwym ogniem w oczach był już po rozwiązaniu sześciu sudoku za pomocą metod podstawowych („Jeszcze przyjdzie taki dzień, że rozwiążesz sama, teraz ci tylko pomagam”) i objaśnieniu kwadratu łacińskiego („Po to, kochanie, abyś na zasadzie odwróconej analogii mogła wypełniać rzędy, kolumny i podkwadraty”).

Jakoś po północy, widząc zapał pojętej uczennicy, postanowił dodać jeszcze trochę teorii i objaśnił pokrótce odmiany sudoku.

Zdaniem Janusza, Jagoda okazała się pojętną uczennicą. Doskonale rysowała plansze do sudoku i zaznaczała podkwadraty. Ciach, ciach.

– To co, przeszlubyśmy do odmian sudoku? – Adrenalina wylewała się Januszowi uszami. – Może sobie zanotuj? Jutro poćwiczymy. Sudoku kinoku. Sinoku samuraj. Sudoku diagonalne. Sudoku trójwymiarowe. Sudoku... Ale co ty, zasypiasz? – Janusz nie wierzył własnym oczom. – Bez teorii nie pójdziemy dalej! No już, otwieramy oczy. Rysuj planszę! A gotowanie jak?

Na drugi dzień, z ciężkim sercem, Jagoda musiała zasięgnąć opinii Janusza.

Janusz zrozumiał sytuację.

Wspólnie zdecydowali, że dopóki Jagoda poświęca czas i energię na opanowanie sztuki kulinarnej, nie byłoby dobrze stawiać jej nowych wyzwań i zajmować czasu grą tak fascynującą, jak sudoku.

Od tej pory, widząc Janusza w rozchełstonym płaszczu kąpielowym, kiedy przejęty udzielał się na forum lub wyzywał w głos kompletnego imbecyla, czyli partnera w kinoku, Jagoda dyskretnie usuwała się z pola widzenia, twierdząc, że właśnie teraz musi zapoznać się z rodzajami mąki, której różne typy znajdowały rozmaite zastosowania.

Warto wiedzieć, że mąka ziemniaczana, a właściwie skrobia, dodana do biszkoptu, może w sposób nieoczywisty zmienić jego smak na zaskakujący.

Ciach, ciach.

# Krótkometraż. Pożycie

Mąż usiadł na stołku naprzeciwko okna. Jednym ruchem dłoni zrobił sobie fryzurę z włosów i brwi. Czochrał całość bez przerwy, aż w końcu znalazł lepsze zajęcie. Patrzył teraz na żabki od karniszy i powoli zaczął sobie wyobrażać, do czego jeszcze ten Krótkometraż może się przypierdzielić. Spoglądał na karnisze, przesuwał wzrok po żabkach. Widok ten powoli go uspokajał.

Zamknął Mąż oczy, zebrał się w sobie. Odwagi, odwagi, dodał w myślach i odetchnął. I najpierw cichutko, a po chwili już całkiem śmiało westchnął.

Sklep, a właściwie delikatesy spożywcze Mango, usytuowany był w centrum osiedla Paradyż, na przecięciu dwóch głównych ulic. Wędrując od jednego czy drugiego wejścia do osiedla lub kierując się do części rekreacyjnej, to jest pasma zieleni przeciętego korytem rzeczki, nie sposób było Mango ominąć.

Właścicielką sklepu była Sylwia, czterdziestoletnia rozwódka, matka dwudziestoletniego dorodnego chłopaka.

Sylwia miała burzę rudych loków, zielone jak szmaragdy oczy, pełne usta i apetyt na życie tak wielki, jak asortyment jej spożywczo-warzywno-owocowych delikatesów.

I chociaż ceny w Mango było wyjątkowo wysokie, mało kto Mango omijał.

Bo Mango to było coś więcej niż sklep.

Mango to było życie.

W Mango rozmawiało się o wszystkim i spowiadało ze wszystkiego.

Od choroby po miłość.

Od miłości po zdradę.

Od zdrady po nawrócenie.

Od nawrócenia po grzech.

Od grzechu do głodówki.

Od głodówki do fascynacji kuchnią australijską.  
Od kuchni australijskiej po plany na urlop.  
Od planów na urlop po nową miłość.  
Od miłości po dietę cud.  
Od diety cud po zakupy w Nowym Jorku. Chociaż, być może, nie w tym roku.  
Jak nie w tym roku, to w przyszłym. Obiecał mi to. Obiecał.  
Od „do jasnej cholery, przecież obiecałeś!” po zgodę.  
Od zgody po zdradę.  
Plus przepis na kisz ze świeżym szpinakiem. Wyłącznie ze świeżym, akurat taką mam koncepcję.

A krewetki?

E, no nieee. Jak często można jeść krewetki?

Jarmuż, tylko jarmuż.

Rudowłosa Sylwia, z pomocą młodego studenta nauk humanistycznych, dorabiającego i zarabiającego na bezpłatne studia, wybierała kiście żółtych bananów, ważyła bezpestkowe winogrona, kiszoną czerwoną kapustę, chrupiące jabłka. Pomagała wybrać najbielszy kalafior, soczyste gruszki, chrupiące ogórki, pikantną rukolę.

Ale przede wszystkim słuchała. Słuchała i rozmawiała.

Z większością klientów była na ty i o ich sprawach osobistych wiedziała więcej, niż dowiedziałyby się ksiądz podczas spowiedzi.

– Co słyhać? – pytała. – Co słyhać, Anusiu, Magdusiu, Mareczku, Barteczku? – zagadywała. – Co u pani, jak pan się miewa? – zwracała się do bizneswoman Zuzanki, przedsiębiorcy Zygmunia, analityka Władeczka, pani posłowej (to jest żony posła, bez imion proszę!).

Wszyscy ci poważni ludzie, stanowiący *middle class* państwa stanowiącego trzon Unii Europejskiej, w sklepie spożywczym Mango kapitulowali i w zależności od ciężaru przekazywanej informacji, rozciągali usta w uśmiechu, wykrzywiali buzie w podkówkę czy przygryzali wargi z zakłopotaniem.

A Sylwia ważyła, proponowała zakup świeżych owoców liczi, a przede wszystkim słuchała. Wysłuchiwała, lecz co najważniejsze, dodawała otuchy:

– Będzie dobrze, kochana. Niech pan się nie martwi. Proszę przyjść jutro, ma być wiejski twaróg.

I biznesmeni, przedsiębiorcy, lekarze, gospodynie domowe, wolne zawody – wszyscy uśmiechali się z wdzięcznością, ocierali niejedną łzę, brali głęboki

oddech, płacili krocie i prosili o odłożenie twarogu i tej dobrej wędlinki. Tej paczkowanej szyneczki za piętnaście złotych osiem deko, dziecko lubi. Nawet kot zjadł plasterek. A kot jest smakosz.

Jagoda weszła do Mango równo o dwunastą. Miała *home office* i praca szła jej nadzwyczaj szybko. Do dziesiątej miała już odkurzone całe mieszkanie i rozwieszona prania: kolor i pościelowe. Do osiemnastej było co prawda sporo czasu, ale na szczęście Jagoda sprawdziła w notatkach, że rosół powinien pyrzyć około pięciu godzin. Kurczaka zagrodowego miała. Jak człowiek dobrze żył w pracy ze wszystkimi i trochę się pozwierał, to zaraz się okazywało, że pracująca na cztery piąte etatu matka trzeciego dziecka Mariolka z finansów jeździ regularnie do zaprzyjaźnionego gospodarstwa ekologicznego i chętnie odstąpi jednego zamrożonego ptaka. Nawiasem mówiąc, Jagoda w życiu by nie pomyślała, że tyle może kosztować półtora kilograma kurczaka, z czego dobrą część stanowiły kości.

Z poczuciem dobrze przepracowanego przedpołudnia (elektroluks pracował bezszelestnie, czysta przyjemność) Jagoda zabrała się do gotowania pożywnego rosółu. Mariola potwierdziła słowa pani Ireny. Dla mężczyzny liczy się tylko rosół. Rosół i domowy makaron. A jak się rosółu nagotuje więcej, to można zamrozić albo wrzucić mrożonkę na jarzynową, radziła Mariola, która codziennie musiała zapewnić obiady pięcioosobowej rodzinie.

Warzywa Jagoda miała przygotowane, umyte i oczyszczone, łącznie z porem, bo jak wyczytała kątem oka na smartfonie na spotkaniu służbowym, trochę pora musi być. Nabita na widelec cebulę przytrzymała nad palnikiem kuchenki i zajrzała do przepisu. Jasna cholera! Dobrze, że w porę wyczytałam, pogratulowała sobie. Nie chciałabym chodzić w kółko do Mango, żeby ugotować jedną zupę. Mariola twierdziła, że bez goździków nie ma rosółu. Mówiła nawet, że już prędzej można makaron domowy zastąpić kupnym, trudno, chociaż co to za sztuka ciasto zagnieść, przesuszyć, drobno pokroić, przesuszyć, makaron ugotować, wystudzić? Ale podpieczona cebula nabita goździkami być musi.

Jagoda westchnęła. No nic. Trzeba się zebrać i iść. Na wszelki wypadek nie powie Marioli, że nie zrobiła domowych klusek. Mając w pamięci traumatyczne przeżycia podczas lepienia kopytek z rodzicielką Januszką, zwolniła się z tego zadania. Odkurzając trudno dostępne miejsce pod solidnym łóżem, ratowała się myślą, że z pewnością dostanie w Mango prawie domowy makaron. Cena nie gra roli. Zresztą, pocieszyła się Jagoda, pani Irena zawsze

mawiała, że mężczyźni całej dupy nie trzeba pokazywać i nie trzeba mu mówić, że makaron kupny.

W samym środku tygodnia, w środku dnia wydawać by się mogło, że w sklepie będą pustki. Nic bardziej mylnego. Jagoda weszła w sam środek piszczącego tornada. Po krótkiej chwili okazało się, że dźwiękową trąbę powietrzną zmiatającą z półek jajka z niespodzianką i małe czekoladki z marcepanem są trzy szczerbate dziewczynki i równie bezzębny chłopiec. Wszyscy czerwoni, zziębnięci i upaprani czekoladą.

Jagoda przedarła się przez korek powstały przy regaliku ze słodyczami i udała się w głąb sklepu. Właśnie dostrzegła dorodne truskawki i chociaż truskawki w kwietniu nie mogły być niczym innym niż czystą chemią, postanowiła kupić pudełeczko i podać jako przystawkę do wieczornych pieszczot.

Właśnie oglądała pudełeczka z równej wielkości bezzapachowymi owocami, kiedy po jej stopach przeleciał spocony szczerbulec. W uniesionej ręce dzierzył wafelek czekoladowy. Po tupocie kolejnych sześciu fosforyzujących adidasków, które przetoczyły się po stopach Jagody, widać było, że chłopiec już od małego wie, co stanowi mroczny przedmiot pożądania kobiety w każdym wieku.

– Dzieci, spokojnie, przewracacie wszystko! – Wysoka blondynka pogroziła doniczką z bazylią i powróciła do rozmowy z jeszcze wyższą blondynką.

Jagoda przetarła oczy. Niby dwie, a jak jedna.

– I teraz popatrz, tadam! – Blondynka z doniczką rozchyliła poły płaszcza i teatralnym gestem zsunęła go z ramion.

Jagoda z ciekawością popatrzyła. Oprócz dorodnej bazylii nie zobaczyła niczego. Dyskretnie przysunęła się bliżej półki z ziołami.

– I jak? I jak, Kaśka? – Bazylii była żadna reakcji.

– No, ja cię kręcę... Nie no, Marlen... – Blondynka Kasia potakiwała głową. – Super, super!

Jagoda dyskretnie przecisnęła się bliżej. Wzięła do ręki szalwzię i pod pozorem oceny jędrności listków, spojrzała w rozchylone wnętrze Marleny.

Wysoka blondynka miała na sobie poszarpaną bluzkę z szarej bawełny. Bluzka była krótka i odsłaniała smagnięty brązującym balsamem brzuch. Szary

materiał ponacinany był wzdłuż i wszerz. Wyglądało to tak, jakby ktoś wściekle, na oślep, darł bluzkę nożyczkami.

– Jestem rozdarta – wyszeptała filuternie Marlena z bazylią i ustawiła się niczym celebrytka pozująca na ścianie.

„Jestem rozdarta”, przeczytała w tej samej chwili Jagoda napis na bluzce i aż przymknęła oczy z wrażenia. Z osłupienia wyrwał ją przelatujący po jej stopach, z okrzykiem: „Nie dam!”, usmarowany czekoladą szczerbulec o ciężarze małego słonia. Za nim, po raz nie wiadomo który, po stopach Jagody przebiegły trzy dziewczynki z jasnym żądaniem: „Daaaj!”.

– Jestem rozdarta, jestem rozdarta. – Wysoka Marlena odsatwiła bazylię i gięła się przed przyjaciółką. Po czym wyprostowała się, obciągnęła krótki top, spojrzała na uwydatniony na biuście napis i dodała: – Czysta bawełna.

– Super! – ponownie wykrzyknęła Kasia.

Być może nie znała innych przysłówków.

– Czekałam na tę bluzkę miesiąc! – oznajmiła Marlena. – Wyobraź sobie, musiałam się zapisać. U tej projektantki wszystko schodzi na pniu!

Jagoda omal nie wypuściła szalwii. Kto by pomyślał, że liczne rozdarcia uosabiają prawdziwy prêt-à-porter?

– Ale najważniejsze, jak radziła mi stylistka w showroomie, że mogę tę bluzkę nosić na różne sposoby. – Marlena się rozpromieniła. Po namyśle sięgnęła po bazylię i wcisnęła doniczkę przyjaciółce. – Trzymaj – powiedziała. – Bo zapomnę. I teraz patrz. Tą bluzką można zagrać na kilka sposobów. Na luzie i z pazurem. Teraz jestem w džinsach i bluzka pasuje. Ale Kasia, jak ja ci powiem, co ja miałam do niej rano...

– Co miałaś?

Sylwia poczuła, że to jest moment, żeby włączyć się do rozmowy. Jak dobrze zagada, to może Marlena kupi persymony.

– Dziewczyny... – budowała napięcie Marlena, przenosząc wzrok z Kasi na Sylwię, a nawet na Jagodę. – Dziewczyny, ja miałam na sobie tę właśnie bluzkę, wąskie czarne spodnie, ale materiałowe, eleganckie. I słuchajcie, słuchajcie, na nogach szpilki! Tadam! – Potoczyła wzrokiem po otaczającym ją babinie. – Szpilki! – wykrzyknęła z triumfem. – Ta bluzka, szpilki i eleganckie spodnie! Wyobrażacie sobie? Weszłam tak na spotkanie i muszę wam powiedzieć, że nikt nie wyglądał jak ja!

– A to z pewnością – wyrwało się Sylwii, która chyba zdała sobie sprawę z własnej ryzykownej reakcji, bo podsunęła Marlenie dorodny kumkwat. –

W gratisie – dodała.

Jagoda odstawiła szalwią. Próbowała sobie wyobrazić połączenie garniturowych spodni z podartą bluzką. A brzuch jak? Goły? – przeszło jej przez myśl. I jakie spotkanie, w pracy? Ale jak w pracy, skoro jest teraz w warzywniaku? Co to za praca?

– Zapisałam się już na drugą bluzkę. – Marlena poprawiła płaszcz. – Ale myślę o sukience. Wyobrażasz sobie? Włożę na naszą rocznicę! Szał ciał! – zwróciła się do Kasi.

– Super! – wykrzyknęła Kasia. – Super!

Jagoda wracała do domu objuczona doniczkami z szalwią, bazylią i majerankiem. O goździkach zapomniała. O makaronie tym bardziej. W myślach robiła przegląd garderoby. Co za lichy ją podkusiło, żeby przy przeprowadzce do Janusza powyrzucać wszystkie T-shirty z dziurami? Najwyraźniej od czasów początku pożycia straciła status paryżanki i była nie krok, a setki mil za modą.

– Malina, Malina, powiedz, co mam ugotować gekonowi? To starszy pan, myślę o czymś lekkim na żołądek. Zupa ryżowa? Nie, no... Malina. Kawałek mięsa musi być. Klops? Albo nie. Upiekę cielęcinę. Jagoda przy okazji też może zjeść kawałek.

– Malina, masz termosy? Nagotowałam krupniku dla gekona. W słoikach? A w sumie masz rację. Nic się nie stanie, jak ostygnie po drodze. Jagoda mu podgrzeje.

– Malina, co dłużej poleży? Mielony czy schabowy? Schabowy to najlepszy od razu z patelni. Dobra, Malina, kończę. Pojadę wcześniej i usmażę na miejscu.

– Malina, nie mogę teraz. Piekę karkówkę. Gekon lubi.



# Żona modna

Mąż i Kark siedzieli w kuchni i bez słowa patrzyli na wiszący na ścianie zegar. Żona miała być w domu o dwudziestej. Tymczasem zbliżała się dwudziesta pierwsza trzydzieści. Byli bez obiadu i bez kolacji.

Kark spojrzął z ukosa na Męża. Nie chciałby wymówić w złą godzinę, ale pierwszy raz słyszał, że kurs gotowania odbywa się po nocach.

– A może dokończymy szampana z oświadczyn? – zaproponował, słysząc przejmujące burczenie w dwóch brzuchach, lecz na widok dwóch sztyletów w oczach Męża zamilkł na dobre.

Po pamiętnym przedstawieniu walentynkowym – po którym Jagoda w paroksyzmie rozpaczy ostrzyła noże zapamiętałe, aż ostatnia łza skapnęła na podłogę, ciach, ciach, i kiedy nieodstępująca jej wizja cienkiego kakao w wyszczerbionej filiżance spożywanego z bezzębną matką staruszką oddaliła się na rzecz przedsięwzięcia czynów zdecydowanych, odważnych, wręcz brawurowych – zmieniło się wiele.

Dalej tak być nie mogło. Janusz powinien dostać nie tyle strawę duchową, ile solidny kawał mięsa i miskę, to jest talerz zupy. I dania te powinna przygotować Jagoda, a nie jej matka. Zakładając, oczywiście, że to Jagoda, a nie jej matka miałyby rychło wyjść za Janusza.

Zatem od pamiętnych walentynek zmieniło się wiele. Przede wszystkim zaś zmienił się stan konta Jagody. Poczynione wydatki wcale nie zasiliły szafy dawnej paryżanki. Ciężko zarobione pieniądze ona, Jagoda, samodzielnie prowadząca dział marketingu, promocji, public relations, padająca na pysk z przepracowania, przeznaczyła bynajmniej nie na ostatni krzyk mody, płaszczyk przed czy za kolano, wcale nie na kolejną małą czarną, którą każda kobieta powinna mieć w szafie przynajmniej jedną (ale jedna to, jak wiadomo, za mało, bo jak wybrać jedną małą czarną?). Pochodzące od kapitalisty

pieniądze nie poszły także na niezbędne kosmetyki, ponadczasową czerwoną szminkę, maskarę z przełomową szczoteczką unoszącą i podkreślającą wytuszone rzęsy. Pieniądze nie zostały zainwestowane w porządne skórzane buty czy ręcznie szytą torebkę. Te rzeczy mogły poczekać. Te rzeczy muszą poczekać. Natomiast Jagoda czekać już nie może. I czy doprawdy wypowiedziane na wszelki wypadek kilkakrotnie urodzinowe życzenie, że mąż, że w przeciągu najbliższego roku, miałyby się nie spełnić? Dlaczego? Z tego tylko powodu, że Jagoda nie nauczy się odpowiednio rozbijać mięsa na zrazy, gotować skondensowanych bulionów, zagniatą ciasta na domowy makaron czy przecierać pomidorów na pomidorową z ryżem? Wspierana przez Beatę, która sama pozbyła się większości zaoszczędzonych pieniędzy, inwestując je w biuro matrymonialne, a większość miesięcznych dochodów przeznaczając na odzież glamour i vintage, Jagoda zacisnęła zęby i z głębokim przekonaniem o słuszności swojej decyzji (ostatni raz równie głęboki sens swojego działania czuła blisko trzydzieści lat wcześniej, wstępując do zuchów) usiadła wygodnie na służbowym – to co, że ze Szwecji pochodzącym? – krześle biurowym.

Nie on jeden jedyny, teraz się uda, bo po raz kolejny w życiu, szukając odpowiedzi w Internecie, znalazła, nie bójmy się tego nazwać, relacjonowała Beacie, ostatnią deskę ratunku.

– O matko! – jęknęła Jagoda w słuchawkę. – O słodki Jezu! – jęczała, a przechodzący obok szwedzki prezes po raz nie wiadomo który przyspieszył kroku. Ileż można jęczeć? – pomyślał. Co za naród, doprawdy? A przecież zimy wcale nie takie długie i dni da się odróżnić od nocy. Lepiej nie wnikać, postanowił i zawrócił do swojego gabinetu. – Beata, kto to opanuje? Trzeba by życie poświęcić, żeby się tego nauczyć. I po co? – spytała i ugryzła się w język.

– No dobrze, ale jakie są kursy? – zniecierpliwiła się Beata. Szkoda, że jej nikt nie pytał, jak trudne jest niegotowanie i niepodjadanie, i niepodjadanie, i ciągły głód po to tylko, żeby zachować odpowiednią różnicę między dwiema najszerszymi a jednym najwęższym wymiarem klepsydry. – Możesz w końcu powiedzieć? No, czytaj!

– Owoce morza. Krewetki. A krewetki to nie owoce morza? Kuchnia azjatycka. Kuchnia wietnamska. Wieprzowina. Wołowina. Kuchnia tajska. Kuchnia włoska. Kuchnia meksykańska. Tapas. Kuchnia hiszpańska. Drób. Ryby. Ryby i owoce morza. Trzysta sześćdziesiąt pięć obiadów. Ciasta kruche

i półkruche. Torty angielskie. Kuchnia arabska. Kuchnia francuska, *never again*, Beata, kolejny raz Januszowi omletu nie zrobię... Farsze i pierogi. Chleby. Wypieki słodkie i słone. Kuchnia sezonowa. Zupy. Jaja. Sushi. Kuchnia indyjska. ABC gotowania. Wegański nabiał. Pralinki. Zdrowa mama i mama karmiąca. Lody domowe. Sosy. Przetwory domowe...

– Dosyć – przerwała Beata. – Póki co nie karmisz, więc kurs dla karmiącej sobie odpuścisz. Na sushi i kałamarnice możecie pójść do restauracji. Idź na zupy i obiady. Chociaż według mnie obiad składa się z zupy. Zadzwoń i dowiedz się. Na ciasta pójdiesz, jak się nauczysz robić kilka różnych obiadów. Nie ma faceta, który nie lubi słodkiego, chociaż każdy z nich twierdzi, że od słodczy woli schabowego. Hipokryci. Zapisz się i ćwicz codziennie. Trudno. Nikt nie obiecywał, że będzie łatwo.

A pani Irena, którą Jagoda poinformowała o dojrzałej swojej decyzji oraz o przelewie w wysokości połowy emerytury rozmówczyni na kurs podstawowych zup domowych, powiedziała tylko:

– Nic już nie powiem.

Tak czy inaczej, od wczesnej wiosny notes Jagody zapełniał się prostymi przepisami, a na stole zaczęły się pojawiać pierwsze próby kulinarne. Może trochę zbyt dosolone, przesmażone, przegotowane, ale własne, nie mamusine. Prawdziwie domowe. A Janusz gryzł, żuł, przełykał, czasami wypluwał, ale ostatecznie w maju zrezygnował z karnetu do firmowej stołówki.

W sprawie osiedlowego love story nastąpił niespodziewany zwrot w sklepie spożywczym, do którego Beata zdecydowała się iść pod osłoną może nie nocy, ale wczesnego wieczoru. Wbrew kwietniowym kroplom deszczu zmieszanych z ostatnimi w tym roku (miejmy nadzieję!) płatkami śniegu Beata założyła największe ciemne okulary oraz na wszelki wypadek okutała się szalikiem, tworząc przedziwną kombinację turbanu-kołnierza. Obiektu westchnień nie widziała od ponad miesiąca, kiedy to lojalna Alicja wykazała inicjatywę zidentyfikowania platonicznej miłości, donosząc na domniemanego i zarzucając mu czyny niedozwolone w postaci odganiania się kończyną od psa bądź lisa. Szczęście w nieszczęściu, że znajomej Alicji udało się telefonem zrobić zdjęcie domniemanego i Beata, odczytując w pracy wiadomość multimedialną, z ulgą stwierdziła, że ten to nie ten.

Na wszelki wypadek postanowiła jeszcze przez jakiś czas nie wracać do biegania, zarówno po osiedlu, jak i do spożywczego. W postanowieniu wytrwała aż do dzisiaj, kiedy to wróciła z krótkiej delegacji i ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, była jazda autobusem po chleb i serek.

– W dupie, trudno! – powiedziała do siebie i postawiła kołnierz płaszcz.

W sklepie wrzuciła szybko do koszyka krojony razowiec, chudy twaróg oraz maślankę. Dorzuciła pomidora i paprykę, kiść winogron i skierowała się do kasy. Po namyśle zawróciła i energicznie przeszła alejką z mrożonkami. Koszyk został wzbogacony o lody czekoladowe, jeden litr, oraz bakaliowe, pół litra. Dorzuciwszy do tego paczkę maślanych herbatników, Beata skierowała się do kasy, gotowa uiścić opłatę.

Wyłożyła rzeczy na taśmę i sięgnęła do kieszeni płaszcz po portfel.

– A gdzie pawie? – usłyszała i zamarła.

Wypomadowany na latynoskiego kochanka, z uśmiechem i z zębami, patrzył na nią obiekt z osiedla.

Pierwsze randki przebiegły, w dosłownym tego słowa znaczeniu, w godzinach porannych oraz wieczornych. Beata, dziękując niebiosom za nagły przypływ intelektu, wyznała przy kasie, że biega od zawsze, a Cezary, Cezar, zaproponował, żeby biegali razem, ponieważ ku zdziwieniu Beaty, też biegał od zawsze.

I biegali tak z dobry miesiąc, aż Beata doczekała się sceny rodem z brytyjskiej komedii romantycznej, bowiem Cezar zaprosił ją na pokaz modeli latających, szybowców czy dronów. Nie mając doświadczenia w pokazach lotniczych, Beata potrzebowała pilnego wsparcia Jagody oraz porady, w co powinna się ubrać. Zgodnie uznały, że kapelusz byłby *au courant*, ale w Ascot. Na potrzeby nieczynnego lotniska pod Warszawą wystarczy przewiązana apaszka. Przy wiązaniu tejże należy wzorować się na Ingrid Bergman z *Ośławionej*.

I Beata apaszkę zawiązała, marząc w duchu o licznych pocałunkach składanych na jej ustach podczas szaleńczej jazdy przez Cary'ego Granta. To jest przez Cezara.

Być może cały ten pokaz lotniczy okaże się doskonałą scenografią do czułych wyznań i kto wie, czy Beata wkrótce nie przeprowadzi się do wysnionego bruneta?

Jagoda życzyła przyjaciółce szczęścia i kazała jej zdać relację najszybciej, jak to możliwe.

Telefon odebrała dnia następnego.

Beata była zdruzgotana. Podczas pokazu wywołała sensację, i to bynajmniej nie swoją fantazyjnie upiętą apaszką i nie nowym płaszczem vintage, który uszlachetniła u krawcowej skórzanym obrębieniem, a który do niedawna wisiał zmięty w szmateksie.

Otóż Cezary-Cezar latawców czy dronów nie puścił. Nie tym razem. Właściwie impreza skończyła się szybciej, niż się zaczęła.

– Ale co się stało, możesz w końcu powiedzieć? – zniecierpliwiła się Jagoda. – Nie, nie krzyczę na ciebie, tylko powiedz w końcu. Tak, zupa też będzie. To nie do ciebie. Mów!

Przede wszystkim Cezary-Cezar całował obłądnie. Jeśli jednak całował tak, a inaczej robił pozostałe rzeczy, to, niech to, pewnie była pierwsza wyjazdowa i zarazem ostatnia randka.

– Mów, do cholery!

Amatorów puszczenia obiektów latających było mnóstwo. Tabuny mężczyzn w różnym wieku. Swoją drogą, dlaczego nigdy wcześniej nie wpadły z Jagodą na pomysł, żeby właśnie na starym nieczynnym lotnisku poszukać męża? No cóż. Beata na przemian patrzyła to w oczy Cezara, to w niebo. Latały i samoloty, i motyle w brzuchu Beaty. Miłość. I nagle rozległ się krzyk. Przejmujący. Krzyk i przekleństwo. Cezary poderwał się z miejsca i poleciał w kierunku jednego z pasjonatów, który zawył ponownie i zgięty wpół trzymał się za rękę. Za Cezarym pobiegli inni. Pobiegła też Beata. Okazało się, że kolega, chcąc wypuścić szybowiec, niefortunnie złapał za linkę. Maszyna wzbiła się w górę, a tym samym linka boleśnie wpiła się w palec. Szybowiec leciał, linka orała palec, kolega wył. Cezary przytomnie zdjął kurtkę i przez materiał złapał za linkę.

Jak zdążyła zauważyć Beata, coś na kształt palca wciąż było na miejscu. Zdążyła jeszcze zauważyć kapiącą krew i więcej niczego nie pamięta, bo zemdląca.

Nie umie powiedzieć, jak długo leżała, ale umie powiedzieć jedno. Nie było to chyba wielkie uczucie ze strony Cezara, bo kiedy się ocknęła, tłum wciąż stał wokół jednorękiego szaleńca, a do zemdlonej Beaty nie pośpieszył nikt. Nawet lekarz z wezwanej karetki.

Beata nie rozumie także, i może Jagoda jej wyjaśni, dlaczego Cezary przez

całą powrotną drogę wył ze śmiechu, a na prośbę Beaty, żeby zawiózł ją na przegład do szpitala, wręcz się ze śmiechu popłakał.

– Malina? Malina. Nie wiem, co się stało. Jagoda zakazała mi przyjeżdżać z prowiantem. Podobno sama gotuje. Malina, nie wiem, co myśleć. Może im smectę kupię na wszelki wypadek?

– Basia, czy twoja sąsiadka, pani Irena, robi jeszcze na drutach? Tak myślę, żeby mi taki swetropłaszcz wydziergała. Taki, jaki miała na sobie Greta Garbo, kiedy się rzuciła pod pociąg przez Wrońskiego.

– Basia? Basia? Jak to: nie możesz rozmawiać? Maniek o tej porze? Jakie fugi? O tej porze fugi ci poprawia?

– Basia? Aha. To wybacz. Nie wiedziałam, że jesteś zajęta.

– Malina, Malina, jesteś? A jak mam inaczej spytać? Malina, ile dałaś za depilację? Co pytam, co pytam! Pytam i już. Ile?

– Malina, co wypada kupić obcemu mężczyźnie? Coś takiego ekstra, na prezent bez zobowiązań. A co: po co pytam? Pytam i już!

– Basia, Basia, śpisz? Kmicic jest u mnie. Pssst. Oglądamy *Dziewięć i pół tygodnia*. Nie mógł uwierzyć, że nie widziałam. Basia, myślisz, żeby mu pościelić w starym pokoju dziecka? Co dwuznaczne? Mam go na mróz wygonić? Co z tego, że wiosna idzie. Pałki sam upiekł w miodzie. Pssst. Ruszył się.

Wracam do pokoju. Pościelę mu.

– Basia, Basia, a co ty, obrażona jesteś? Zapisalam cię na depilację u mnie koło bloku. Skichasz się z bólu. Przyjdź potem, to mi się pokażesz.

– Malina. Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że jak coś, to ja nie mogę rozmawiać. Dlaczego? Bo wychodzę, Malina. Wychodzę do kina. Maniek

kupił bilety. W środy z Orange jest o połowę taniej.

– Malina, a co tak głośno u ciebie? Jakie meble? Kto się wprowadza? A dowód sprawdzałaś? Co z tego, że znasz KRS budki z kurczakami? Malina, tylko go nie melduj!

– Co ty mówisz, Basia? Na działkę? Motorynką? Podwieje cię, Baśka. Dorosła jesteś, wiesz, co robisz. Nie mogę głośniej. Kmicic odsypia. O trzeciej nad ranem jechał po kurczaki.

– Basia, śpisz? Czy ty wiesz, że ja w ogóle nie myślę o Mieczysławie? Dzwonił kilka razy, nie odebrałam.

– Basia, śpisz? Basia. Mieczysław dzwonił. Odrzuciłam połączenie. Napisałam esemesa, że zaraz przyjedzie. Niedoczekanie! Teraz to jest za późno. Teraz to ja złożę pozew o rozwód. Teraz to ja sobie pożyję. Będę oglądać filmy z Kmicicem, będzie mi piekło.

– Basia, śpisz? Basia, Kmicic poszedł zaprowadzić Mieczysława do samochodu. Wziął go pod pachę, walizkę pod drugą. A nie wiem, Baśka, czy płakał.

– Basia. Miałam to. Jak to co? TO! Jestem szczęśliwa. Basia, Kmicic powiedział, że mnie będzie bronił przed całym światem. Dobrze zrobiliśmy z tą depilacją.

– Malina, Malina. Maniek ma kwaterę. Nie mówię o działce. Ma kwaterę na Powązkach. Dasz wiarę? Czy ty wiesz, Maniek mi mówił, że Powązki to zabytek z osiemnastego wieku?! Jutro idziemy zwiedzać. Będziemy także wybierać litery.

# Magia sprzątania

Pragnąc docenić wielomiesięczne wysiłki Żony wkładane w naukę gotowania, Mąż postanowił zrobić jej prezent ekstra. Coś od serca, bez liczenia się z gotówką. Wspierany w swojej decyzji przez Karka, dał przyjacielowi talerz popisowej zupy Żony (flaczki z bułką) i posiliwszy się, obaj udali się do salonu Empiku. Tam zakupili dwie części światowego bestsellera.

– To się kobita ucieszy! – Kark uśmiechnął się i na głos przeczytał tytuły: – *Magia sprzątania. I Tokimeki. Magia sprzątania w praktyce.*

Korzystając z dobrodziejstw *home office*, Jagoda wybrała się do Mango w celu zakupu pęczka włoszczyzny, który miał stanowić podstawę wywaru na niedzielny obiad. Po pierwszych lekcjach kursu ABC gotowania umiała już przygotować pomidorową, ogórkową, grzybową z pieczarek i krupnik. Zwłaszcza ten ostatni okazał się zupą wdzięczną i zdobył serce Jagody, ponieważ po treściwej tej zupie, w której postawiona w garnku łyżka stała, opierając się w rozgotowanej kaszy, Janusz, który pochłaniał zawsze dwa talerze, zagryzając pajdą chleba, więcej niczego już jeść nie chciał. Przy krupniku kwestia drugiego dania rozwiązywała się zatem sama.

Na niedzielę Jagoda zaplanowała ogórkową i pieczonego kurczaka. Kurczak był i łatwy w przygotowaniu, i ekonomiczny, bowiem po pieczeniu wystarczyło go przekroić na cztery części i – jeśli apetyt Janusza nie został wcześniej zaspokojony zupą – można było mieć nadzieję, że udko lub pierś zostanie na dzień następny. I będzie można zapchać ukochaną paszczę kawałkiem zimnej pieczeni.

Z tymi jakże ważnymi przemyśleniami na temat logistyki kulinarnej weszła Jagoda do Mango, ku rozpaczy swojej wpadając wprost na dwie stałe klientki: rozdartą Marlenę i jej mniejszą kopię Kasię.

– A co robisz w termomiksie? – spytała przyjaciółkę Kasia.



- W oczach miała i podziw, i zawiść, i miłość, i nienawiść.
- Wszystko – odparła z wyższością Marlena. – Wszystko, kochana.
  - Ale co na przykład? – dopytywał piesek, stojąc służalczo na dwóch łapkach.
  - Wszystko, Kasieńko. Wszystko, co się da. Zupy, naleśniki, mięsa, sernik dla teściowej. Wszystko.
  - I wychodzi?
  - Kochana. I to jak wychodzi! Wszystko wychodzi. Wszystko. – Marlena zatoczyła rękami koło. Najwyraźniej koło znaczyło „wszystko”. – Wszystko.
  - I szybko?
  - Szybko.
  - I się nie upieprzysz?
  - No właśnie nie. Zobacz na ręce. – Marlena rozczapierzyła palce. – Pamiętasz, jaką miałam egzemę? Pamiętasz? I kłopoty z lakierem, bo żaden się nie trzymał. Pamiętasz? – Czekąca na potwierdzenie przyjaciółki.
  - Pamiętam, pani Marlenko – pośpieszyła na ratunek Sylwia. – Coś okropnego, że panią to spotkało. Taki niekomfort.
  - A ile to kosztuje? To może ja kupię? – zainteresowała się Jagoda.
  - Marlena spojrzała z zaciekawieniem. Obrączki na palcu nie było. W ogóle nie wiadomo, skąd ta nowa się wzięła. I z kim.
  - Ma to sens wyłącznie w przypadku posiadania rodziny – wypowiedziała się. – U mnie są cztery osoby: ja, mąż i dzieci.
  - O, to ja pomyślę – zastanowiła się Kasia.
  - Poczekaj – ostudziła ją przyjaciółka. – U was rozwód wisi na włosku już od paru lat. Kto ci termomiks spłaci w razie co?
  
  - Janusz, Janusz. Chciałabym porozmawiać.
  - Nie widzisz, że gram? Mów od razu. Po co ten wstęp?

Pani Irena, wysłuchawszy skarg i wniosków złożonych przez Jagodę, a dotyczących braku deklaracji ślubnych lub chociażby romantycznych oświadczeń z prolongowanym terminem zawarcia związku małżeńskiego, dołądziła do kieliszków nalewki z pigwy i powiedziała tylko:

– Życie, kochanie, pisze najlepsze scenariusze. Nie znasz dnia ani godziny. To jedno jest pewne.

Mając w pamięci trzy związki małżeńskie, które zawarł, podobno z własnej i dobrej woli, Janusz, pomimo myśli i uczuć skierowanych w stronę sudoku oraz jakości i różnorodności domowych posiłków, zdawał sobie sprawę, iż pożycie z Jagodą nie przybrało formy, jaką jej deklarował. No, może i nie wprost, nikt go nie będzie z każdego słowa rozliczał, ale w tak zwanym okresie zalotów, sam pamięta, niestety, co szeptał do ucha swojej uroczej, dużo młodszej, ale też i odważnej życiowo (żadna z byłych żon nie zaryzykowała kursu gotowania, by sprostać niełatwej, acz szlachetnej roli żywicielki domu) Jagódki. Pamięta dobrze, co gadał znad serników i czekolad, kiedy puszył się jak ten samiec w okresie godów u Wedla. Będiesz panią naszego domu, będziemy mieli dzieci...

I może nie trzeba by wiekopomnego dzieła Władimira Proppa, ani żadnego innego antropologa kultury, żeby wiedzieć, że zdarzenie przełomowe nadejść musi i że w konsekwencji każda sytuacja jakoś rozwiązać się musi również. Być może jest na to nawet termin naukowy.

Ale ani uczonego Proppa, ani antropologa nie potrzeba było, by głodny Janusz poczuł imperatyw przekroczenia progu kuchni. A kuchnia, odkąd Jagoda na poważnie zabrała się do gotowania i ukończyła kurs mięs, zup, potraw z ziemniaków, sosów oraz ciast i ciasteczek kruchych i półkruchych (teraz zapewne uczy się robić przetwory na zimę, powinna wrócić niedługo), pełna była jedzenia pysznego, jedzenia domowego. Przymierzanego z sercem i od serca. Buszując zatem po szafkach kuchennych i przeglądając zawartość lodówki, ukroił sobie Janusz solidne kawałki pasztetu, posmarował je grubo chrzanem i już sięgał po chleb, kiedy coś mu spadło. Coś leżało koło pojemnika z pieczywem, coś, czego Janusz nie zauważył i stracił, sięgając po chrupiącą bagietkę. Schylił się, sięgnął, stęknął, wyprostował się i zobaczył trochę wyszmelcowany, noszący ślady ni to mąki, ni to cukru pudru notesik kulinarny Jagody.

Z charakteru dyskretny, zajrzał z ciekawością i zobaczył minieseje historyczne o migracji ziemniaka czy ogórka, przepisy kulinarne i notatkę na temat termomiksu.

Termomiks miał mieć sens i zastosowanie wyłącznie w rodzinie. Po tym zdaniu stało wiele znaków zapytania i Janusz poczuł, że coś go ściska, czy to za gardło, czy jak. Wzruszenie czy co? Dobre sobie...

W dniu trzydziestych piątych urodzin, w sukience typu trapez (brudny róż), której pozazdrościłaby jej każda bez wyjątku paryżanka, Jagoda z równie eleganckim Januszem wydawali uroczysty obiad. Przy posiłku tym, na który składały się potrawy przygotowane w termomiksie, zebrani przy stole, przy którym krzesel było więcej niż gości, siedzieli: córka Janusza z mężem, Barbara z Mańkiem, Beata z Cezarem, Malina z Kmicicem od kurczaków, wystrojona w sukienkę ręcznie dzierganą z włóczki typu bawełnica pani Irena oraz potraktowana płukanką do włosów w kolorze róż Janina z szarmanckim wobec niej małżonkiem. Warto wspomnieć, że małżonek Stefan przygotował specjalnie na tę okazję wszelkiego rodzaju kwasy i kiszonki, które miały urozmaicić uroczysty obiad.

A obiad był wyjątkowy, bo i okazja była szczególna. Nie tylko dlatego, że założony przez Jagodę i Beatę blog modowo-kulinarny propagujący paryski styl życia odniósł spektakularny sukces i wkrótce pozwoli dziewczętom rzucić pracę zawodową.

Szczęścia dopełnił fakt sprzedaży mieszkania Jagody i salonów Janusza oraz zakupu wolno stojącego domku na zadupiu.

Jagoda bowiem zgodziła się zostać czwartą, ostatnią i szczęśliwą małżonką Janusza.

# Spis treści

[Wstęp](#)

[Mąż-człowiek](#)

[Fantazje](#)

[Majątek](#)

[Van Gogh](#)

[Matronica Holboella](#)

[Wielki podryw](#)

[Wigilia](#)

[Własne gniazdo](#)

[Żona młodsza](#)

[Krótkometraż. Pożycie](#)

[Żona modna](#)

[Magia sprzątania](#)